

HORYZONTY ZDARZEŃ



DARIUSZ

**DOMAGALSKI**

OSOBLIWOŚĆ



REBIS

HORYZONTY ZDARZEŃ

DARIUSZ  
**DOMAGALSKI**

O S O B L I W O Ś Ć



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

Copyright © by Dariusz Domagalski, 2015

Copyright © for the Polish e-book edition by  
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Redaktor: Błażej Kemnitz

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na  
okładce: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book  
(opracowane na podstawie wydania książkowego:  
Osobliwość, wyd. I, Poznań 2015)

ISBN 978-83-7818-355-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

## Spis treści

### OSOBLIWOŚĆ

Strona redakcyjna

Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Epilog

## Prolog

Gdy nauczyliśmy się zakrzywiać czasoprzestrzeń, wszechświat stanął przed nami otworem. Sięgnęliśmy gwiazd. My – rasa ludzka! Spełniło się nasze największe marzenie. Wyruszyliśmy w niezbadane rejony kosmosu i tak jak niegdyś pierwsi żeglarze odkrywali niezbadane lądy po drugiej stronie oceanu, tak my docieraliśmy do niedosiężnych do niedawna galaktyk czy mgławic, przyglądając się z bliska czerwonym karłom, niebieskim nadolbrzymom, cefeidom, pulsarom i supernowym, a co odważniejsi dolatywali nawet do oddalonych o miliardy lat świetlnych kwazarów. Wyznaczaliśmy nowe szlaki, snując kolonialne plany.

Rozpoczęła się era podróży kosmicznych.

W naszych sercach nie było strachu, płonęły za to żądza poznania i odwieczne pragnienie podboju. Niczym konkwistadorzy oślepieni złotem Inków my, oślepieni pychą i arogancją, podążaliśmy za marzeniami. Czekwały na nas nowe światy, nowe możliwości, nowe nadzieje. Kolonizowaliśmy i eksplorowaliśmy planety aż do wyczerpania ich zasobów i niczym się nie przejmując, porzucaliśmy wyjałowione. Byliśmy jak szarańcza nawiedzająca pola uprawne i przynosząca zniszczenie.

Taka już jest nasza ludzka natura.

Nie wierzyliśmy, że coś może nas powstrzymać, bo chociaż stopa człowieka stanęła na blisko dziesięciu tysiącach planet, księżyców i planetoid, a nasze kolonie rozproszone są po całej

Galaktyce, nigdzie nie znaleźliśmy śladów obcej cywilizacji. Wyglądało na to, że jesteśmy w kosmosie sami i nie musimy się z nikim dzielić naszym bogactwem. Uwierzyliśmy, że wszystko nam się należy. A przecież nie poznaliśmy fundamentalnych praw rządzących wszechświatem, nadal nie rozgryźliśmy fenomenu jego istnienia i nie zgłębiliśmy do końca uniwersalnych zasad fizyki w nim obowiązujących. My, kruche białkowe istoty, będące zaledwie na początku swojej ewolucji, a na tle ogromu kosmosu drobiną, nic nieznaczącym pyłkiem, uznaliśmy się za władców wszechświata.

Przedwcześnie...

## Rozdział 1

Do gromady kulistej 47 Tucanae wyruszyliśmy w siedem osób na lśniącym nowością statku kosmicznym o wdzięcznej nazwie Selene, którą nadano mu nie, jak mogłoby się wydawać, na cześć greckiej bogini Księżycy, ale pewnej dziwki z systemu Fomalhaut. Słynęła w całej Galaktyce z umiejętności dostarczania niebywałych rozkoszy nie tylko mężczyznom, ale i kobietom, i musiała w tym być naprawdę dobra, podróżnicy obojga płci podążali bowiem do Fomalhaut tylko po to, żeby skorzystać z jej usług.

Selene nie imponowała wielkością. Nie miała również porządnego pancerza ani uzbrojenia. To była jedna z tych niewielkich jednostek badawczych, które docierały na skraj poznanego wszechświata, wszędzie tam, gdzie jeszcze nikt nie doleciał. Standardowo wyposażona była w anihilujące materię silniki, które pozwalały na poruszanie się w normalnej przestrzeni, oraz w umieszczony wokół kadłuba pierścień indukujący zdolny do wytworzenia tunelu czasoprzestrzennego. Wnętrze Selene także nie przedstawiało się imponująco. Centralnym pomieszczeniem był mostek z panelem sterującym, przy którym znajdowały się dwa fotele pilotów. Pozostałe sześć stanowisk umieszczono nieco z tyłu, tworząc półkole, dzięki czemu załoga mogła się widzieć. Konstruktorzy dobrze wiedzieli, że to ułatwia komunikację.

Na statku była również niewielka mesa i osiem pojedynczych kajut budowanych chyba z myślą o liliputach, gdyż trudno było się

w nich nawet przeciągnąć. Resztę przestrzeni zajmowały maszynownia i magazyny z żywnością, wodą oraz tlenem.

Właścicielem Selene, a zarazem dowódcą wyprawy, był komandor Thorssen, jasnowłosa mężczyzna w średnim wieku, o rysach twarzy jak wyrzeźbionych w granicie. Siedział w fotelu pierwszego pilota z zaciśniętymi mocno ustami i w napięciu obserwował ekran nawigacyjny. Zbliżaliśmy się do pasa Kuipera – olbrzymiego pierścienia obiektów transneptunowych obiegających Słońce po eliptycznej orbicie na skraju Układu Słonecznego. Właśnie tam znajdowała się jedyna ogólnodostępna brama tunelu czasoprzestrzennego w naszym układzie. Ponoć była jeszcze jedna, z której korzystało wojsko. Nikt jednak nie znał jej dokładnego położenia.

W każdej chwili na kursie Selene mógł się pojawić jakiś obiekt. Przez iluminator widać było setki statków handlowych i pasażerskich dryfujących w przestrzeni kosmicznej i czekających na swoją kolej, by przejść przez wrota. Wyposażone w radiolokatory nie stanowiły jednak takiego zagrożenia jak kilkaset tysięcy komet i planetoid z pasa Kuipera, od małych skał poczynając, a na olbrzymich obiektach wielkości planet kończąc. Różnego rodzaju plutonki, twotina, cubewana i centaury, wyrwane przez grawitację Neptuna, mogły w każdej chwili z ogromną prędkością uderzyć w Selene. Nasz statek nie miałby żadnych szans – potężna eksplozja rozerwałaby go na części. Dlatego tak ważne było obserwowanie ekranu nawigacyjnego, żeby w razie zagrożenia mieć odpowiednio dużo czasu na reakcję i zmianę kursu.

Thorssen po raz kolejny z pedantyczną dokładnością sprawdził koordynaty lotu. Był perfekcjonistą we wszystkim, co robił. Nie tolerował błędów ani słabości, zarówno u siebie, jak i u innych. A szczególnie u członków swojej załogi. Znałem go od ponad roku.



To była nasza trzecia wspólna wyprawa. Wszystkie zakończyły się pełnym sukcesem, chociaż podczas ostatniej o mało co stracilibyśmy życie.

Pół roku temu skoczyliśmy do Mgławicy Kraba, by na zlecenie rządowego instytutu naukowego zbadać znajdujący się w jej centrum pulsar. Oczywiście nikt nas nie uprzedził o silnym promieniowaniu X i gamma emitowanym przez gwiazdę. Bo niby po co? Zwiadowców traktowano gorzej niż psy. Nikt się nie liczył z ich zdrowiem i życiem. Taniej wychodziło wysłać ludzi z krwi i kości, biorąc pod uwagę, że mogą nie przeżyć, niż zainwestować w skomplikowany system autonomicznych robotów. Tak więc tylko cud mógł nas wówczas uratować. I taki cud się zdarzył.

Gdy zorientowano się, że nie wróciliśmy w wyznaczonym terminie, Federacja Solarna wysłała po nas okręt. Znalezione nas półżywych w nieekranowanej łupince, jaką był nasz dryfujący statek badawczy. Na szczęście udało nam się przeżyć. Na pokładzie okrętu natychmiast poddano nas leczeniu i po jakimś czasie wróciliśmy do zdrowia. Chociaż z perspektywy czasu podejrzewam, że ekipy ratunkowej nie wysłano po nas, ale po dane, które zebraliśmy. My stanowiliśmy jedynie dodatek, bagaż, który wypadało zabrać ze statku badawczego tylko dlatego, że byliśmy ludźmi.

Mówią, że takie przeżycia zbliżają. Wspólne doświadczenie bliskości śmierci, ekstremalne warunki, w jakich przyszło się zmagać ramię w ramię, łączą ludzi nierozzerwalnymi więzami przyjaźni. Od tej pory zawsze mogą oni na sobie polegać, ufać sobie i powierzać największe sekrety. Ale widocznie my, zwiadowcy, jesteśmy ulepieni z innej gliny albo w tym wypadku zdarzył się wyjątek potwierdzający regułę, Thorssen i ja nie zostaliśmy bowiem przyjaciółmi.

Owszem, szanujemy się, a nawet mogę śmiało powiedzieć, że podziwiam Thorssena za jego profesjonalizm i opanowanie, on zaś ceni sobie moją wiedzę i często prosi mnie o radę, ale nasze rozmowy nigdy nie zdryfowały na inne tematy niż praca. Zachowujemy dystans, co obu nam zupełnie nie przeszkadza. Jestem przekonany, że to kwestia różnicy temperamentów. Ja często działam chaotycznie, w przypiływie impulsu, i nic na to nie mogę poradzić. Polegam na intuicji, bardzo często lekceważąc logiczne argumenty, co o dziwo, w wielu przypadkach ratuje mi tyłek.

Thorssen z kolei ma umysł analityczny i wszystko, co robi, jest gruntownie przemyślane, logiczne, racjonalne. Jest niczym dobrze zaprogramowana maszyna, w której każdy trybik funkcjonuje bez zarzutu. Nigdy go nie widziałem działającego pod wpływem emocji. Nawet wówczas, w Mgławicy Kraba, kiedy śmierć zaglądała nam w oczy i ja nieomal poddałem się rozpacz, on był niezwykle opanowany. Obliczył, w jakim czasie może dotrzeć do nas pomoc, a potem rozdzielił leki i racje żywnościowe oraz odpowiednio ustawił pobór energii niezbędnej do zasilania konwertorów powietrza. Nie pomylił się.

Teraz też skrupulatnie sprawdzał odczyty przyrządów. Robił to osobiście, jakby nie do końca ufał załodze. Trudno mu się było dziwić. Zainwestował w wyprawę sporo pieniędzy, licząc na to, że dochody z odkrytych złóż nie tylko zrekompensują mu koszt ekspedycji, ale uczynią z niego bogatego człowieka.

Wielkie korporacje wynajmowały takich jak my, zwiadowców docierających do nowych światów, za udziały w ich eksploatacji. Najwięcej można było zarobić na odkryciu planet typu ziemskiego, bogatych w tlen i wodę, gdzie mogli się osiedlać ludzie. Sporym powodzeniem cieszyły się również planetoidy obfitujące w żelazo

i nikiel, a także te zawierające ruten, rot, pallad i iryd – metale wyjątkowo rzadko spotykane na Ziemi.

Przetartymi przez zwiadowców szlakami nadciągały konwoje wiozące maszyny górnicze, autonomiczne roboty i tysiące pracowników. Wtedy to zaczynała się eksploatacja. Na odkrytych planetach stawiano fabryki i bazy mieszkalne, które potem przeradzały się w osady lub nawet miasta. Dochód z nich przekraczał najśmielsze wyobrażenia, a te kilka procent udziałów dla odkrywców okazywało się bajątkowymi sumami.

Wizja zdobycia fortuny pchała w kosmos rzesze śmiałków, lecz niewielu z nich wracało. Większość ginęła, źle obliczywszy koordynaty skoków czasoprzestrzennych. Ich statki rozbijały się o asteroidy, spalały w gwiazdach, wpadały w burze geomagnetyczne lub w kolapsy grawitacyjne, gdzie były miażdżone niczym natrętna mucha w olbrzymim imadle.

Ale nawet jeśli udało im się dotrzeć szczęśliwie do celu, nie oznaczało to zaraz sukcesu. Na badanych planetach, księżycach i planetoidach czekały na śmiałków nie mniejsze niebezpieczeństwa niż w kosmosie. Pionierzy międzygwiazdnych szlaków ginęli w rozpadlinach aktywnych wulkanów, byli rozszarpywani przez dzikie zwierzęta, o których nawet nie śniło się astrobiologom, gubili się w nieprzebytych dżunglach i umierali w męczarniach trawieni przez pasożyty lub choroby wywołane przez nieznaną zarazki.

Odkryte światy nie zawsze warte były takiego poświęcenia. Niektóre okazywały się jałowe i nie opłacało się ich eksplorować, na innych zaś warunki atmosferyczne uniemożliwiały założenie kolonii. Mimo to co roku tysiące zwiadowców wyruszało w nieznaną zakątki kosmosu, wierząc w swoją szczęśliwą gwiazdę i licząc, że wreszcie fortuna się do nich uśmiechnie.

Tak samo było z nami. Siedmiu straceńców, którzy postanowili wrócić na Ziemię w chwale i bogactwie lub nie wrócić wcale.

Przeniosłem wzrok na Bahmana – inżyniera odpowiedzialnego za automaty, sondy i roboty do prac na powierzchni planety. Wysoki i chudy, o wiecznie bladym obliczu i beznamiętnym spojrzeniu, wyglądał jak jeden z jego robotów. Nie pałałem do niego sympatią. Zamknięty w sobie i skryty, nie był najlepszym kompanem.

Gorszkow, nasz pokładowy lekarz, przeciwnie. Jowialny, zawsze uśmiechnięty i łysiejący już mężczyzna był dobrym duchem wyprawy. Potrafił rozbawić dobrym żartem i rozładowywał atmosferę. Podczas dwudniowego lotu z Ziemi do pasa Kuipera nie miał nic do roboty, a ja żywiłem nadzieję, że tak już pozostanie do końca wyprawy.

Obok mnie siedział Szenrab. Orli nos i ciemna karnacja zdradzały semickie pochodzenie. Dołączył do nas najpóźniej i nie uczestniczył w cyklu przygotowawczym, więc niewiele o nim wiedziałem. Stronił od ludzi i był małomówny. Ożywiał się jedynie wtedy, gdy rozmowa schodziła na tematy naukowe. Na wyprawie pełnił funkcję astrofizyka. Z tego, co słyszałem, był bardzo dobry i kiedyś nawet dostał jakąś nagrodę.

Tuż obok dowódcy, przy panelu kontrolnym, siedział nasz pilot Vargas. Został zwerbowany przez Thorssena dwa miesiące temu. Podobno kiedyś służył w wojsku, ale go wyrzucono. Tak naprawdę nikt z nas nie wiedział za co. Vargas twierdził, że przeleciał żonę jakiegoś wyższego stopniem oficera, a ten, zamiast przyjąć jako komplement fakt, że ktoś w ogóle chce bzykać jego starą, wpadł w furję. Zamierzał nawet Vargesa zastrzelić. Na szczęście skończyło się tylko wydaleniem ze służby. Patrząc na bezczelny uśmiech pilota, jego nieskazitelnie białe zęby, przystojną twarz i umięśnioną

sylwetkę, mogła to być prawda. Niezaprzeczalnie miał powodzenie u kobiet, czego wszyscy mu zazdrościliśmy.

Kolejnym członkiem naszego zespołu był Abraham – geolog i chemik zarazem. Określiłbym go jako wiecznego pesymistę, we wszystkim bowiem upatrywał problemów. Podejrzewam, że większość sam sobie wyszukiwał. Chyba nigdy nie widziałem go uśmiechniętego. Niekiedy tylko krzywił usta, ale był to jedynie ironiczny grymas dezaprobaty. Sprawiał wrażenie wyniosłego i aroganckiego. I taki właśnie był.

Ja zaś na tej wyprawie miałem pełnić funkcję astrobiologa, chociaż na wcześniejsze misje Thorssen zabierał mnie jako pilota. Teraz jednak mieliśmy pilota z prawdziwego zdarzenia, który w dodatku miał przeszkolenie wojskowe. W żaden sposób nie czułem się tym urażony. W sumie byłem nawet zadowolony. Dzięki temu będę miał więcej czasu dla siebie.

Nie spodziewałem się mnóstwa pracy. Większość odkrywanych planet była pozbawiona fauny i flory, ale komisje wydające licencje na wyprawy badawcze wymagały, by na pokładzie każdego statku znajdował się astrobiolog.

Plan dotarcia do samego serca gromady kulistej 47 Tucanae wydawał się szalony od samego początku. Najpierw trzeba było zdobyć informacje o dokładnym położeniu gwiazd w gromadzie. Nie było to łatwe. Ich światło dochodziło do Ziemi po trzynastu tysiącach lat, więc rzeczywiste położenie tych obiektów mogło się w tym czasie zmienić. Należało z niezwykłą dokładnością wytyczyć kurs statku, uwzględniając wszelkie czynniki mające wpływ na ruch gwiazd, oraz co do setnej sekundy obliczyć moment wyjścia z tunelu czasoprzestrzennego, żeby nie trafić w sam środek rozżarzonej gazowej kuli, o co w tak wielkim ich nagromadzeniu

nie było trudno. Nic dziwnego, że jeszcze nikt nie próbował tam dotrzeć.

Gromada 47 Tucanae od lat intrygowała badaczy i odkrywców wierzących, że znajdą tam współczesne Eldorado. Duże skupisko gwiazd jaśniało na niebie i przyciągało jak magnes.

– Jesteśmy na miejscu – zakomunikował Thorssen, przerywając moje rozmyślenia.

Przeniosłem wzrok na iluminator i ujrzałem bramę. Wyglądała imponująco, jak zawsze. I chociaż korzystałem z niej dziesiątki razy, jej ogrom i niezwykłość nadal robiły na mnie piorunujące wrażenie. Zawieszona w próżni olbrzymia żelazna konstrukcja w kształcie pierścienia miała prawie dziesięć kilometrów średnicy. Pośrodku pulsowała czerń kosmicznej przestrzeni, na przemian wypiętrzając się i zagłębiając za sprawą sił generowanych w pierścieniu. Zakrzywiały one czas i przestrzeń, otwierając przejście do innego punktu wszechświata. Od czasu do czasu brama bulgotała niczym gorąca ciecz i pojawiały się na niej bąble egzotycznej materii, które szybko parowały w zetknięciu z gwiazdnym pyłem. Kiedy indziej pluła językami czerni, pieszcząc przestrzeń dokoła, która – jak się zdawało – cofała się przed tym wybrykiem natury.

Obserwowałem, jak statki kosmiczne jeden po drugim wlatują w tę niezwykłą otchłań. Wyglądały, jakby zanurzały się w morską toń i majestatycznie znikwały, pochłaniane przez fale.

Zahipnotyzowany nie mogłem oderwać od tego oczu. Czulem się, jakbym obcował z czymś magicznym, niezwykłym nawet w skali kosmosu. A to przecież ludzie skonstruowali bramę do gwiazd.

Astronomowie dawno już odkryli, że czasoprzestrzeń jest zakrzywiona, a zatem, przynajmniej teoretycznie, istnieje

możliwość podróży z jednego punktu wszechświata do drugiego bez konieczności pokonywania całego dystansu w przestrzeni. Taka droga na skróty, coś w rodzaju korytarzy drażonych przez robaka w jabłku.

Na początku naukowcy byli przekonani, że tunel czasoprzestrzenny można uzyskać tylko dzięki układowi czarnej i białej dziury. Pierwsza z nich miała przyciągać i zasysać materię, druga odwrotnie – wyrzucać ją niczym strumień wody z fontanny. I chociaż samoistnie pojawiające się tak właśnie skonstruowane tunele nadprzestrzenne wreszcie zaobserwowano, nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy i gdzie nastąpi ich manifestacja. Kontrolowanie ich okazało się mrzonką. Zresztą na ówczesnym poziomie rozwoju technologicznego ludzkość i tak nie poradziłaby sobie z takim fenomenem. Ujarzmienie czarnej dziury wydaje się nierealne. Gdyby wleciał tam jakikolwiek statek kosmiczny, po przekroczeniu horyzontu zdarzeń zostałby zmiażdżony.

Jednak naukowcy nie poddawali się. Cały czas wierzyli, że znajdą drogę do gwiazd. Ich badania finansowały prywatne korporacje, które już ostrzyły sobie zęby na międzygwiazdny handel. Prezesi konglomeratów handlowych wiedzieli, że gdzieś tam, w kosmosie, znajdują się planety bogate w surowce, które można bez przeszkód wydobywać. Żywo zainteresowane projektem były również rządy najpotężniejszych państw. Politycy w podboju kosmosu upatrywali możliwość zlikwidowania problemu przeludnienia.

Wreszcie, po dziesiątkach lat prób i błędów, badania nad tunelami czasoprzestrzennymi przyniosły oczekiwane rezultaty. Do budowy międzygwiazdnych wrót użyto „piany kwantowej” – wszechobecnej struktury subatomowej złożonej z baniek milion razy mniejszych niż jądra atomów. Naukowcy rozdęli je do

wystarczających rozmiarów, aby utworzyły tunel czasoprzestrzenny. Okazało się to przełomem w nauce. Zdaniem niektórych było to najważniejsze osiągnięcie w dziejach rodzaju ludzkiego.

Ale pojawił się problem. Sztucznie wygenerowane tunele czasoprzestrzenne okazały się nietrwałe. Czas ich istnienia wynosił ułamek sekundy i zaciskały wszystko, co do nich trafiło. Nie było nawet mowy o tym, żeby wykorzystać je do celów transportowych. Kolejne lata upłynęły na próbach ich ustabilizowania. Do tego potrzebna była energia o ujemnej masie, która działałaby antygravitacyjnie, odpychając inne masy. Dzięki temu mógłby powstać stabilny korytarz. Uzyskanie tego typu energii nie było łatwe, jednak wreszcie się udało. Wybudowano olbrzymi pierścien, w którego obręcz wmontowano wzajemnie się przyciągające płyty przewodnika. W środku pierścienia powstawały obszary o ujemnej gęstości energii.

Budowa i umieszczenie tak olbrzymiej konstrukcji w przestrzeni kosmicznej kosztowały wiele wysiłku oraz pieniędzy. Ze względów bezpieczeństwa wrota nie mogły zostać ulokowane bliżej niż trzydzieści jednostek astronomicznych od Ziemi. Naukowcy obawiali się, że gdyby doszło do przeciążenia egzotycznej materii, powstały kolaps wchłonąłby wszystko w promieniu przynajmniej trzech miliardów kilometrów. Zatem komponenty do budowy wrót trzeba było transportować aż do pasa Kuipera.

Przedsięwzięcie prawie w całości zostało sfinansowane przez Federację Solarną, organizację zrzeszającą wszystkie planety naszego układu i większość kolonii. Resztę pieniędzy wyłożyły korporacje handlowe w zamian za licencje na eksplorację kosmosu. Wówczas była to bardzo ryzykowna inwestycja, ale z perspektywy



czasu okazała się strzałem w dziesiątkę. Przez wrota co godzinę przechodziło prawie sto statków – różnego rodzaju frachtowce kursujące po wytyczonych już szlakach, wycieczkowce wiozące turystów do planetarnych kurortów, promy pasażerskie dostarczające robotników do kolonii górniczych, okręty, a także jednostki dalekiego zwiadu takie jak nasza Selene.

Obecnie każda większa kolonia miała własne wrota. Nie tak wielkie jak te w Układzie Słonecznym, ale na tyle funkcjonalne, żeby pozwalały dotrzeć do najbliższej stacji tranzytowej. Dzięki temu w kilku zaledwie skokach można było przemierzyć całe gwiazdne imperium stworzone przez ludzkość.

– Trzydzieści trzy minuty do wejścia do tunelu – oznajmił Thorssen, odczytując komunikat otrzymany z dyspozytorni wrót.

– Coraz wolniej im to idzie. – Varges skrzywił się. – Ostatnim razem trwało to kwadrans. Jeśli tak dalej pójdzie, na skok trzeba będzie czekać kilka godzin.

– Z miesiąca na miesiąc ruch jest coraz większy – rzekł Abraham.

– Bzdura – prychnął pilot. – Zatrudniają leniwych debili, którzy nie radzą sobie z panelami sterowniczymi.

– Mój kuzyn tam pracuje. – Abraham zmarszczył brwi. – W każdym roku przybywa jednostek. Nie wyrabiają się...

– A co mnie to obchodzi?! – zachnął się Varges. – Powinni zatrudnić więcej ludzi albo znaleźć kogoś kompetentnego, kto skróci procedury wejścia.

– Na przykład ciebie?

Varges odwrócił się w fotelu i spiorunował geologa wzrokiem. Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Nie grzeszył inteligencją, ale miał na tyle rozwinięte umiejętności socjalne, że potrafił rozpoznać jawną drwinę. Wściekle zacisnął dłonie na

poręczy fotela, jednak Abraham nie spuścił wzroku gotowy na konfrontację.

Ci dwaj nie przypadli sobie do gustu. I nic dziwnego. Wojskowi i naukowcy nigdy nie darzyli się sympatią, a Vargas i Abraham byli idealnymi przedstawicielami swoich profesji. W życiu nie spotkałem większego służbisty niż nasz pilot, natomiast Abraham najwidoczniej nie lubił wojskowych. Ich utarczki trwały od samego startu i nie ulegało wątpliwości, że prędzej czy później narastająca złość zmieni się w otwarty konflikt. Martwiło mnie to. Nie dość, że ich ciągle kłótnie psuły atmosferę w zespole, to jeszcze mogły zagrozić ekspedycji. Kosmos nie wybacza błędów, a te najczęściej pojawiają się, gdy ludzie się nie dogadują. Załoga statku zwiadowczego powinna stanowić jedność. Dziwiłem się zatem Thorssenowi, dysponował bowiem wcześniej ich profilami psychologicznymi i wiedział o możliwych zwadach. A jednak obu zabrał na wyprawę. Może to przeoczył? Może zlekceważył zagrożenie? Wydawało mi się to wręcz niemożliwe, biorąc pod uwagę jego skrupulatne podejście do każdego aspektu ekspedycji. Pozostawało więc wierzyć, że miał w tym jakiś cel. Cóż, to on był dowódcą i to do niego należała decyzja.

Napięcie na mostku Selene było wręcz namacalne. Spotęgowane przez ciasnotę pomieszczenia i głęboką czerń kosmosu za iluminatorem wydawało się rozrywać ściany statku. Obaj mężczyźni unieśli się nieco, więc przekonany, że zaraz skoczą sobie do gardeł, napiąłem mięśnie gotowy natychmiast interweniować.

– Spokój! – warknął Thorssen. – Nie życzę sobie żadnych awantur na pokładzie. Rozumiemy się?

W głosie dowódcy zabrzmiała niewypowiedziana groźba, która ostudziła nieco atmosferę. Pilot i geolog opadli na siedziska, lecz

nadał wrogo mierzyli się wzrokiem.

– Vargas! Idź sprawdzić pierścień indukujący.

– Co? – Pilot uniósł w zdziwieniu brwi. Już chciał odpowiedzieć, że przecież pierścień kontrolowano przynajmniej dwukrotnie w ciągu ostatniej godziny, ale ujrzawszy zimny wzrok Thorssena, skinął głową, podniósł się z fotela i ruszył do maszynowni. Wychodząc, posłał wściekłe spojrzenie Abrahamowi, który uśmiechał się triumfująco.

Obiecałem sobie, że potem z nim pogadam. Lepiej, żeby nie prowokował Vargasa. Z takimi jak on nigdy nic nie wiadomo. Kto wie, gdzie służył i jak kariera wojskowa wpłynęła na jego psychikę.

Thorssen musiał mieć podobne przemyślenia i nie chcąc zaognić konfliktu, wysłał pilota do maszynowni. Nie można powiedzieć, że bez celu. Stan pierścienia indukującego miał dla nas wszystkich pierwszorzędne znaczenie. Statki zwiadowców docierały na krańce znanego wszechświata, do miejsc, o jakich ludzkości się jeszcze nie śniło, czasami oddalonych od najbliższej bramy o miliony lat świetlnych. Dla załogi statku badawczego sprawny pierścień generujący tunel czasoprzestrzenny był gwarancją powrotu do domu.

Gdyby został uszkodzony, na zawsze pozostalibyśmy w gromadzie kulistej 47 Tucanae, gdyż lot na silnikach do najbliższej ludzkiej kolonii zająłby nam około stu tysięcy lat. Seline zapewne dotarłaby wreszcie do celu, ale nasze ciała zdążyłyby w tym czasie obrócić się w proch.

Z pierścieni indukujących statki zwiadowcze korzystają, tylko gdy nie ma w pobliżu stacjonarnych wrót. Bardziej opłaca się uiścić opłatę za skorzystanie z bramy i odczekać w kolejce, niż uruchomić pierścień. Egzotyczna materia kosztuje немало, a każda jednostka ma ograniczony jej zapas. Ponadto im większe wrota, tym

dokładniejsze i szybsze skoki. Przy użyciu pierścienia indukującego do gromady 47 Tucanae lecielibyśmy dwukrotnie dłużej. A tak dzięki wrotom w pasie Kuipera powinien to być bezpieczny i krótki skok. Niestety, w drugą stronę będziemy już skazani na pierścień indukujący. Czekala nas długa droga do domu. Ale tym będziemy się martwić podczas powrotu. Teraz byliśmy na starcie naszej wyprawy.

Kolejne minuty wlokły się niemiłosiernie. Obserwowałem statki leniwie podążające w stronę wrót, by zanurzyć się w nich, w falującej i bulgoczącej przestrzeni. Próbowałem odgadnąć, dokąd lecą i po co.

Olbrzymie frachtowce, dziesięciokrotnie większe niż Selene, wiozły towary na handel do najbliższych systemów gwiazdnych, ciężki sprzęt górniczy do nowo odkrytych kolonii lub całe fabryki, które staną na bogatych w surowce planetoidach. Od czasu do czasu w bulgoczącej przestrzeni znikaly jednostki zwiadowcze i wówczas życzyłem im w myślach powodzenia oraz szczęśliwego powrotu do domu.

Varges przyszedł z maszynowni i zajął swoje miejsce.

– Wszystko w porządku – warknął, rzucając wściekle spojrzenie dowódcy. Najwidoczniej nie nawykł do tego, by mu rozkazywano. Było to dziwne, jak bowiem twierdził, służył w wojsku.

Zmrużyłem oczy, uważnie mu się przyglądając. Próbowałem dostrzec w nim coś, co mi wcześniej umknęło. Wojskowy dryg sugerował, że mówił prawdę. Ale była w nim jakaś doza arogancji, która zupełnie nie pasowała do zwykłego żołnierza. I nagle mnie olśniło! W ostatniej chwili powstrzymałem się, żeby nie uderzyć się dłonią w czoło. Jak mogłem tego nie zauważyć?! Przecież Varges zachowywał się jak typowy funkcjonariusz służb bezpieczeństwa Federacji Solarnej. Tylko oni byli tak pewni siebie, zadufani

i niechętni do podporządkowania się czyimkolwiek rozkazom. Kilka razy miałem z nimi do czynienia i nie powiem, żebym dobrze to wspominał.

Gorączkowo zacząłem się zastanawiać, czego może chcieć od nas bezpieczeństwa. Czyżby brali nas za przemytników? Zaraz jednak odrzuciłem tę myśl. Gdyby tak było, już dawno mielibyśmy na pokładzie Selene grupę szturmową przetrząsającą ładownie.

A może miało to związek z terrorystami? W ostatnim roku trzy kolonie odłączyły się od Federacji Solarnej. Władze coraz częściej musiały wysyłać oddziały pacyfikacyjne do systemów gwiazdnych położonych na rubieżach Drogi Mlecznej. Koloniści zmagający się z trudami dnia codziennego na obcych planetach nie otrzymywali wsparcia z Ziemi, a zmuszeni byli oddawać Federacji sporą część dochodów. Nic dziwnego, że taki porządek rzeczy zupełnie im nie odpowiadał.

Wojsko pacyfikowało zbuntowane kolonie, a bojówki separatystów odpowiadały atakami terrorystycznymi w Układzie Słonecznym. Dlatego służby bezpieczeństwa wzmożyły czujność.

Ale kto przy zdrowych zmysłach inwigilowałby załogę statku zwiadowczego zmierzającego w niezbadane rejony kosmosu? – myślałem. – I dlaczego przysłano na Selene kogoś takiego jak Vargas?

W każdym razie podejrzania względem naszego pilota postanowiłem chwilowo zachować dla siebie.

Na panelu sterowniczym zamigotał wskaźnik komunikatora. Ktoś usiłował się z nami połączyć.

– Dyspozytornia wrót – zdziwił się Thorssen. – Czego mogą od nas chcieć?

Sytuacja była niecodzienna. Zdarzało się, że kontrolerzy prosili o potwierdzenie koordynatów tuż przed wejściem statku do tunelu

czasoprzestrzennego, ale wtedy zgłaszał się autonomiczny system komputerowy i wystarczyło przesłać odpowiednie dane, wprowadzając kod na klawiaturze. Teraz natomiast ktoś z dyspozytorni chciał z nami rozmawiać bezpośrednio. Nie rokowało to dobrze.

Dowódca otworzył kanał. Spodziewałem się ujrzeć jednego z kontrolerów, którzy wyglądali niemal identycznie. Szare mundury, znużone twarze i zmęczone oczy. Nawet fryzury mieli takie same, zgodne z jakąś przedpotopową modą. Gorszkow zażartował kiedyś, że władze muszą ich klonować. I chociaż klonowanie ludzi zostało zakazane pół wieku temu, wcale bym się nie zdziwił, gdyby w kontroli lotów nadal je praktykowano.

Tymczasem na wyświetlaczu pojawiła się trójwymiarowa sylwetka mężczyzny w czarnym uniformie sił Federacji. Obraz nie był najwyższej jakości, ale dało się zaobserwować bruzdy na jego twarzy, surowe spojrzenie stalowych oczu i mocno zaciśnięte usta. Przyglądał nam się uważnie, szacując naszą wartość, jakbyśmy byli towarem, a nie ludźmi z krwi i kości.

– Jednostka badawcza Selene – stwierdził bardziej, niż zapytał, zerkając na elektroniczny notatnik. Pewnie miał w nim wyszczególnione wszystkie zgłoszone loty.

– Tak – rzekł Thorssen, starając się zachować zimną krew.

– Pułkownik Kristiansen – przedstawił się oficer, nie odrywając wzroku od notatnika. – Cel podróży?

– Gromada kulista 47 Tucanae.

Kristiansen z zadowoleniem pokiwał głową. Odpowiedź musiała się pokrywać z tym, co miał zapisane w notatniku.

– Cel wyprawy?

– To, co zawsze. – Thorssen wzruszył ramionami. – Będziemy szukać zasobów naturalnych i sprawdzać, czy na jakiejś planecie są

odpowiednie warunki do życia i kolonizacji.

Pułkownik podniósł wzrok i utkwiał spojrzenie w dowódcy.

– To nietypowa gromada gwiazd.

– Nietypowa? – Thorssen był nieco zbity z tropu. Nie spodziewał się, że wojskowy będzie zawracał sobie głowę badaniem natury 47 Tucanae.

Kristiansen milczał dłuższy czas, a my byliśmy coraz bardziej niespokojni. Siedzący obok Szenrab nerwowo skubał brwi. Pułkownik wreszcie się odezwał, nie podejmując jednak poprzedniego wątku.

– Ktoś z wami poleci.

– Co?! – Thorssen wytrzeszczył oczy.

– Ma pan problemy ze słuchem? – Oficer uniósł ironicznie brew.

– Powiedziałem, że weźmiecie na pokład dodatkową osobę.

Dowódca poczerwieniał ze złości.

– Pasażera? – prychnął. – To nie wycieczka, tylko ekspedycja badawcza!

– To się dobrze składa. – Na ustach pułkownika po raz pierwszy pojawił się szeroki uśmiech. – Wasz pasażer jest naukowcem.

– Ale jak pan to sobie wyobraża? Selene to statek badawczy o ograniczonej powierzchni użytkowej. Nie mamy miejsca na dodatkową osobę.

– Bierze mnie pan za głupca? – fuknął Kristiansen. – Tego typu jednostki przeznaczone są dla ośmiu ludzi, a was leci tylko siedmiu.

Thorssen musiał kipieć ze złości, ale był człowiekiem niezwykle opanowanym. Wziął głęboki oddech i odparł spokojnie:

– Miałem na myśli zapasy tlenu i racje żywnościowe...

– O to proszę się nie martwić. Dostaniecie wszystko, czego potrzeba. Proszę wysłać mi listę. Za kwadrans podleci do was prom

zaopatrzeniowy. Na pokładzie będzie też wasz pasażer.  
Przygotujcie się.

Pułkownik rozłączył się, a my jeszcze dobre pół minuty wpatrywaliśmy się w śnieżący ekran komunikatora.

Kwadrans później na mostku Selene pojawiła się ona.



## Rozdział 2

Miała na imię Katja i była niezwykle piękna. Jej jasne, krótko ścięte włosy kontrastowały z miodowymi oczami, co czyniło ją jeszcze atrakcyjniejszą. Uśmiechała się nieskrępowanie, odsłaniając nieskazitelną biel zębów. Czarny kombinezon Federacji Solarnej ciasno opinał jej smukłą sylwetkę i podkreślał kobiece kształty. Trudno było zgadnąć, ile ma lat, na jej twarzy bowiem próżno było szukać najmniejszej nawet zmarszczki, ale w jej spojrzeniu dostrzegało się pewną dojrzałość.

Obecnie dzięki zabiegom formowania plastycznego nawet pięćdziesięcioletnie kobiety wyglądały jak nastolatki. Można odmłodzić twarz i ujędrnić ciało, ale oczy, o których mówi się, że są zwierciadłami duszy, zawsze zdradzają wiek człowieka. Na ich podstawie mogłem stwierdzić, że Katja nie ma już dwudziestu lat i w swoim życiu wiele doświadczyła. W jej źrenicach kryły się smutek i mądrość, a obu tych rzeczy nabywa się z wiekiem.

Po przybyciu na Selene wystarczył jej kwadrans, aby rozlokować się w kajucie i zameldować na mostku. Przywitała się z każdym po kolei, obdarzając mocnym uściskiem ręki i zdystansowanym, aczkolwiek sympatycznym uśmiechem. Nie mieliśmy jednak czasu na rozmowę, bo gdy tylko prom zaopatrzeniowy odcumował od Selene, zezwolono nam na przekroczenie bramy. Po raz ostatni sprawdziliśmy wszystkie urządzenia i Vargas, używając silników manewrowych, skierował statek w sam środek pierścienia.

Podczas przejścia przez tunel czasoprzestrzenny zawsze towarzyszy mi dziwny lęk, wrażenie czyjejś obecności, jakby gdzieś w pobliżu czaiła się potężna i mroczna siła stojąca na straży tajemnic wszechświata, które my, ludzie, tak pragniemy mu wydrzeć. Wyobrażałem sobie zawsze tę siłę jako coś namacalnego, osobowego, byt o niewyobrażalnej mocy. Jakże musiał być wściekły i zły, że kruche istoty, którym dopiero stosunkowo niedawno udało się opuścić macierzystą planetę, zdołały ujarzmić czasoprzestrzeń i wykorzystywać ją do podróży międzygwiazdnych. Obawiałem się, że pewnego razu ów byt pozbędzie się nas, tak jak my pozbywamy się niechcianego robactwa. Z drugiej strony rozpierała mnie duma i złośliwa satysfakcja, że nam się udało.

Selene powoli zanurzała się w kipiącą pianę kwantową, a ja czułem nieprzyjemne mrowienie. Podobne odczucia towarzyszyły wszystkim podróżnikom przechodzącym przez bramę. Może tak działała świadomość, że gdyby nie pierścień indukujący, który wykorzystuje efekt Casimira, statki zgmiotłaby potężna grawitacja? A może podskórnie czuliśmy, że coś się tam kryje? Coś mrocznego, czego nigdy nie zdołamy zgłębić.

Czasami wydawało mi się, że otwierając tunele czasoprzestrzenne, otworzyliśmy puszkę Pandory, która niechybnie przyniesie nieszczęścia. Chciałbym się mylić i wierzyć, że korytarze są darem dla ludzkości, a nie przekleństwem.

Przez iluminator obserwowałem, jak macki czerni oplatają Selene niczym legendarny Kraken okręty. Wydawało się, że zaraz zostaniemy wciągnięci w bezdenną otchłań.

Trudno opowiedzieć komuś, kto nigdy nie przekraczał bramy, jak to jest. Przestrzeń wokół dosłownie bulgocze, chłoszcze statek językami utkanymi z egzotycznej materii, spiętrzone cząstki uderzają w iluminatory, przyjmując fizycznie niemożliwe kształty,

światło się załamuje, kadłub bombardowany jest przez narastające fluktuacje elektromagnetyczne próżni, obserwowana rzeczywistość rozciąga się w wielowymiarową hiperprzestrzeń, a czas... czas przestaje istnieć.

Niektórzy naukowcy twierdzą, że przejście przez bramę trwa ułamek sekundy, inni mówią o milionach lat. Trudno powiedzieć, kto ma rację, bo po wyjściu z tunelu czas znowu zaczyna płynąć, a wszelkie anomalie doświadczane podczas przejścia nie mają żadnych konsekwencji.

Na początku fizycy twierdzili, że godzina lotu w tunelu czasoprzestrzennym odpowiada tysiącowi lat w normalnej przestrzeni, ale na szczęście się to nie potwierdziło. Jeśli nawet wyliczenia teoretyków były prawdziwe, z niewiadomej przyczyny po opuszczeniu tunelu wszystko wracało do normy. Długo zastanawiano się, w jaki sposób wszechświat przywraca równowagę różnych obiektów, ale jak można się było spodziewać, nikt niczego mądrego nie wymyślił.

Zdarza się, że statki wlatują do tuneli i już ich nie opuszczają. Zazwyczaj dzieje się tak podczas lotów zwiadowców do dalekich systemów. Problem stanowi odległość. Światło z odległych gwiazd dociera do nas z opóźnieniem i nierzadko obiekty, które widzimy na niebie, dawno już nie istnieją. Zwiadowcy decydujący się na tak dalekie podróże muszą mieć na uwadze, że po wyjściu z tunelu – zamiast w pobliżu gwiazdy – równie dobrze mogą się znaleźć w czarnej dziurze po niej lub w środku supernowej.

Ale od czasu do czasu dzieją się rzeczy, których nie sposób wytłumaczyć, i wtedy najstarsi stażem zwiadowcy, astrofizycy i wszelkiej maści naukowcy bezradnie rozkładają ręce. Tak było w przypadku promu pasażerskiego, który leciał z Układu Słonecznego do najbliższego Ziemi systemu – Proximy Centauri.

Podróż tunelem miała trwać zaledwie dwanaście minut, ale jednostka zaginęła. Wyłoniła się dopiero po blisko pięćdziesięciu latach, a pasażerowie zupełnie nie poczuli upływu czasu. Dla nich minęło kilkanaście minut.

Wśród zwiadowców krążyły również inne niesamowite legendy. Niektórzy dzięki tunelom mieli podróżować w czasie. Nawet znałem jednego takiego. Facet uparcie twierdził, że przybył do nas z przyszłości. Opowiadał o cudach technologicznych świata, który nastanie za dwa tysiące lat, i o niezwykłej moralnej odnowie ludzkości. Przepowiadał nam świetlaną przyszłość. Szkoda jednak, że nie przewidział, że zginie postrzelony z lasera podczas knajpianej burdy. Niemniej istniały teorie, według których można wyjść z tuneli czasoprzestrzennych w dalekiej przeszłości. Podczas każdego lotu takie myśli kołaczą się po głowie każdemu zwiadowcy.

Rozmyślając o tych sprawach, wyobraziłem sobie, że Selene nagle przenosi się trzynaście miliardów lat w przeszłość, dzięki czemu staję się świadkiem narodzin wszechświata. Przez iluminator obserwuję, jak z gęstej i gorącej osobliwości wyłaniają się przestrzeń, czas, energia i materia, która po czterystu milionach lat utworzy zarodniki pierwszych galaktyk. Lecz ja, ani nikt z załogi, już tego nie doczekam. Umrę z braku tlenu w ciągu trzech miesięcy.

A gdyby Selene przeniosła się w przyszłość? Jakież sto miliardów lat do przodu? – myślałem dalej. Wtedy ujrzałbym śmierć wszechświata. Naukowcy twierdzą, że po Wielkim Wybuchu cały czas się rozszerza, nabierając coraz większej prędkości. Zatem wszystkie planety, gwiazdy i galaktyki oddalają się od siebie coraz bardziej i bardziej. Wreszcie słońca się wypalą i zabraknie energii na powstanie nowych. Kosmos stanie się mrocznym, zimnym miejscem, pozostaną tylko wielkie, puste przestrzenie. Wszechświat zamarźnie.

Oczywiście wyobraźni ujrzałem Selene dryfującą samotnie wśród białych karłów, gwiazd neutronowych i czarnych dziur. Poczułem ucisk w żołądku na myśl o tym, że zamieni się w bryłę lodu, a my zamarzniemy na jej pokładzie.

Potrząsnąłem głową, odpędzając mroczne myśli, i spojrzałem przez iluminator w samą porę, by dostrzec, jak kadłub statku całkowicie pogrąża się w bulgoczącej kwantowej pianie. Przymknąłem oczy, wiedząc, co zaraz nastąpi. Poczułem, jak moje ciało przenika energia pochodząca z egzotycznej materii. Nieprzyjemne uczucie będące mieszanką lęku i obrzydzenia. Miałem wrażenie, jakby coś lepkiego i oślizłego oblepiało moje jestestwo, wdzierając się do każdej komórki, do każdego zakamarka duszy.

Wszyscy przechodzący przez bramę mają podobne odczucia. Znałem takich, co wymiotowali, widziałem, jak ludzie mdleją, krzyczą, płaczą. Podobno kilku postradało zmysły. Naukowcy nie są w stanie zgłębić tego fenomenu. Twierdzą, że człowiek nie powinien odczuwać skutków przejścia przez bramę, gdyż promieniowanie egzotycznej materii stabilizującej tunel jest niegroźne, tak samo jak wytwarzany w pierścieniu efekt Casimira.

Osobiście sędzę, że to kara za łamanie odwiecznych praw wszechświata. Komuś najwyraźniej nie podoba się, że ludzkość znalazła drogę na skróty i odkryła, jak podróżować szybciej niż światło. Tuż przed wyprawą podzieliłem się tymi przemyśleniami z Szenrabem i zostałem przez niego wyśmiany. Astrofizyk był pewny, że niedługo dowiemy się, co za tym stoi, i to bez uciekania się do niepotrzebnego mistycyzmu.

Na szczęście ów dyskomfort trwał niecałą minutę. Poczułem lekkie szarpnięcie, gdy statek został wciągnięty w grawitacyjny kolaps. Wszystkie przykre odczucia natychmiast zniknęły i przyszła

ulga. Powoli, nie spiesząc się, uniosłem powieki. Za iluminatorem migotały niebieskie smugi tworzące ściany tunelu czasoprzestrzennego, przez który pędziliśmy. Nikt nie wie, czym tak naprawdę są i z jakiej materii się składają. A może to wcale nie jest żadne ciało stałe, tylko coś, czego jeszcze nie potrafimy określić? Niestety, w tunelu nie sposób się zatrzymać, aby zbadać to zjawisko.

Naukowcy potrafią wygenerować tunel czasoprzestrzenny oraz zdefiniować jego początek i koniec, dzięki czemu podróże międzygwiazdne są możliwe, ale tak naprawdę nie rozumieją, jak działa i z czego jest zbudowany. Podróżując tymi kosmicznymi korytarzami, przypominamy trochę starożytnych żeglarzy, którzy wypuszczali się na pełne morze, choć nie mieli bladego pojęcia, że to związek chemiczny, którego cząsteczka zawiera dwa atomy wodoru i jeden tlenu. Ale czy trzeba to wiedzieć, by móc żeglować po morzach i oceanach?

Rozejrzałem się po mostku. Bahman i Gorszkow nadal siedzieli z zamkniętymi oczami. Inżynier planetarny zawsze był blady, ale teraz wyglądał jak upiór. Lekarz natomiast dygotał. Nie przejąłem się tym – Gorszkow uprzedzał nas, że tak może być. Wyjątkowo źle znosił przejścia przez bramę. Abraham ocierał pot z czoła. Spostrzegłszy, że go obserwuję, uśmiechnął się blado i uniósł kciuk, dając do zrozumienia, że wszystko z nim w porządku. Siedzący obok mnie Szenrab klął na czym świat stoi i przysięgał, że już nigdy nie przekroczy wrót.

Przeniosłem spojrzenie na Katję. Usilnie starała się zachować kamienną twarz. Nie chciała okazywać przed nami słabości. Wcale jej się nie dziwię. Nie było tajemnicą, że zwiadowcy nie darzą sympatią Federacji Solarnej, a co za tym idzie, jej funkcjonariuszy. Zwiadowcy to wolni ludzie. Przynajmniej za takich się uważają i za

takich właśnie chcą uchodzić. Wszelkie przepisy i ograniczenia, które Federacja narzuca w całym Układzie Słonecznym i podległych jej systemach gwiazdnych, są sprzeczne z ich stylem życia.

Mając tego świadomość, Katja chciała pokazać, jak jest silna, i przez to zdobyć nasz szacunek. Ale trzymała fason z mizernym skutkiem. Błada i roztrzęsiona wbijała palce w poręcze fotela.

Tylko Thorssen i Vargas wydawali się zupełnie odporni na niedogodności związane z przejściem przez wrota. Po kolei wyłączali systemy kontrolne, czujniki zewnętrzne i elektroniczne wskaźniki, bo w korytarzu przyrządy pokładowe wariowały i o dokładnych pomiarach można było zapomnieć.

– Ile potrwa przejście? – zapytał Thorssen.

– Powinniśmy wylecieć z tunelu dokładnie za czterdzieści osiem minut i dwadzieścia sekund – odparł pilot, spoglądając na wyświetlacz na panelu sterowania. Skrzywił się, ujrawszy chaotycznie przeskakujące cyferki. Zerknął na własny zegarek – staroświecki model z mechanizmem sprężynowym. W momencie wynalezienia tuneli czasoprzestrzennych wróciły do łask. Tylko dzięki nim można było kontrolować czas pokładowy, gdy cała elektronika zawodziła.

– Świetnie – ucieszył się Thorssen. – To pozwoli nam wyjaśnić sobie pewne sprawy. – Odwrócił fotel w stronę Katji i spojrzał na nią surowo. – O co tutaj chodzi?

Kobieta uniosła lekko brew.

– Nie rozumiem.

– Czyżby? – Na ustach dowódcy pojawił się złośliwy uśmiech. – Zatem Federacja Solarna przysłała na mój statek idiotkę.

W miodowych oczach kobiety błysnęła wściekłość.

– Jak pan śmie?! – prychnęła. – Wie pan, kim ja jestem?

– No właśnie tego próbuję się dowiedzieć.

– Wystarczy jedno moje słowo, a na zawsze straci pan licencję pilota i ten statek...

– Ale tymczasem nadal jestem jego kapitanem – rzekł Thorssen.

– Więc proszę się uspokoić i odpowiedzieć na moje pytanie.

Kobieta gniewnie wydeła policzki.

– Nie muszę się przed nikim tłumaczyć.

– Myli się pani – wycedził wolno dowódca. – Federacja Solarna wbrew mojej woli umieściła panią na Selene. Od chwili wkroczenia na pokład ma pani taki sam status jak pozostali członkowie załogi. Nie obchodzi mnie, jaki posiada pani stopień wojskowy ani jaka jest pani funkcja w strukturach federacyjnych. Nawet gdyby była pani prezydentem Federacji Solarnej, tutaj ja wydaję rozkazy.

Katja zerwała się z fotela i ruszyła w stronę drzwi. Odprowadzałem ją wzrokiem, podziwiając jej smukłą kibić, i zastanawiałem się, jak bardzo obecność tak atrakcyjnej kobiety, w dodatku obdarzonej takim temperamentem, wpłynie na naszą misję. Przeczuwałem, że czekają nas nieliczne kłopoty.

– Proszę wracać na miejsce. – W głosie Thorssena brzmiała niewypowiedziana groźba. Ktoś, kto znał dowódcę Selene tak długo jak ja, wiedział, że jest ona realna. – Natychmiast!

Kobieta zatrzymała się. Przez moment rozważała, czy otworzyć drzwi i udać się do swojej kajuty. Dowódca musiał dostrzec jej wahanie, gdyż dodał już łagodniejszym tonem:

– Pragnę tylko zadać pani kilka pytań.

Katja zawróciła i z ciężkim westchnieniem usiadła na fotelu, krzyżując ręce na piersiach.

Thorssen uśmiechnął się.

– Tak już lepiej – rzekł. – Teraz możemy spokojnie porozmawiać.

– Obowiązuje mnie tajemnica wojskowa.



– Wojskowa? – Mężczyzna uniósł w zdziwieniu brew. – A zatem zgadłem, że jest pani oficerem?

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie. – Nic z tych rzeczy. Co prawda mam stopień porucznika, ale jest on wyłącznie tytularny. Tak naprawdę jestem zwykłym naukowcem pracującym dla wojska. Zwerbowano mnie zaledwie pół roku temu.

– Czym się pani zajmuje?

– Kognitywistyką.

Thorsen spojrzał na nią zdumiony.

– Kognitywistyką?

– To dziedzina nauki analizująca działanie zmysłów i mózgu w celu wyjaśnienia procesów myślowych oraz modelowania inteligencji...

– Wiem, czym jest kognitywistyka – rzekł szorstko Thorsen. – Jestem zwiadowcą, nie idiotą.

Zakłopotana Katja spuściła wzrok.

– Nie rozumiem jedynie, dlaczego specjalistka z tej właśnie dziedziny leci z nami do gromady kulistej 47 Tucanae.

– Nie domyśla się pan?

– Proszę nie odpowiadać pytaniem na pytanie.

Kobieta skrzywiła wargi.

– Czy to przesłuchanie?

– Selene to jednostka badawcza, a my jesteśmy cywilami – odparł dowódca. – Nie obowiązują nas wojskowe procedury, do których pani najwyraźniej jest przyzwyczajona. Nie będziemy pani torturować i zmuszać do zeznań. Pytam w trosce o bezpieczeństwo statku i załogi.

Katja dłuższy czas milczała, hipnotycznie wpatrując się w iluminator. Nie wiem, czemu się tak przyglądała, bo na zewnątrz

migały tylko te dziwne niebieskie smugi. Taki widok miał nam towarzyszyć jeszcze prawie godzinę.

Wreszcie westchnęła, potrząsnęła głową, jakby chciała się przebudzić z niepokojącego snu, i przeniosła spojrzenie na Thorssena.

– Co chce pan wiedzieć? – zapytała. – Proszę jednak mieć na względzie, że nie wszystko będę mogła zdradzić.

– Rozumiem. – Dowódca skinął głową. – Dlaczego zmuszono nas, żeby panią zabrać? Czego tam pani będzie szukać?

– Federacja Solarna już od dłuższego czasu nosiła się z zamiarem zbadania gromady kulistej 47 Tucanae. Pół roku temu powołano w tym celu specjalny zespół, do którego włączono również mnie. Niestety, z przyczyn niezależnych od nas nie mieliśmy możliwości wysłania własnej ekspedycji. I nagle okazało się, że wy tam leccie. Nadarzyła się okazja i poproszono was, żebyście mnie zabrali.

– Poproszono. – Thorssen skrzywił się ironicznie.

Katja odpowiedziała uśmiechem.

– I wysłano akurat panią? – Dowódca zerknął na nią podejrzliwie. – Można się było spodziewać astrofizyka, geologa lub choćby astrobiologa. Ale specjalistki od kognitywistyki?

Katja przygryzła dolną wargę i przez chwilę się wahała.

– Zależy nam na zbadaniu fenomenu 47 Tucanae.

– Jakiego fenomenu? – zaniepokoił się Abraham.

– Podejrzewam, że chodzi o gwiazdy nazywane błękitnymi maruderami – powiedział Szenrab. – Zgadłem, Katju?

Kobieta wolno skinęła głową. Abraham, nic nie rozumiejąc, spoglądał po zebranych. Większość wzruszała ramionami.

– Ktoś mi to wyjaśni?

– Proszę bardzo – rzekł Szenrab. – W centrum gromady kulistej 47 Tucanae naliczono dwadzieścia jeden tajemniczych gwiazd, które nie powinny istnieć.

– Dlaczego?

– Ponieważ łamią podstawowe zasady teorii ewolucji gwiazd.

– Jak to?

Astrofizyk rozparł się wygodnie w fotelu, przybierając minę nauczyciela akademickiego. Poczł się tak, jakby tłumaczył mało rozgarniętym studentom zupełne oczywistości.

– Wszystkie gwiazdy w gromadzie kulistej 47 Tucanae narodziły się niemal równocześnie, jeśli oczywiście przyjmujemy kosmiczną skalę czasu. Powinny zatem kroczyć tą samą ścieżką ewolucji. Ale dwadzieścia jeden z nich wygląda tak, jakby powstały później. Są gorętsze i bardziej błękitne niż inne gwiazdy gromady o tej samej jasności. Wydają się znacznie młodsze, niż wskazuje ich metryka. To tak, jakbyśmy odkryli grupę nastolatków mieszkających w domu spokojnej starości. – Zarechotał ubawiony własnym żartem, ale natychmiast spoważniał, widząc, że nikt z załogi nawet się nie uśmiechnął. – Astrofizycy od lat głowią się nad tym problemem. Wymyślają najróżniejsze teorie, od całkiem sensownych, jak zasada akrecji, zgodnie z którą gwiazdy odmładzają się dzięki przyciąganiu materiału z gęstszych obszarów gromady, aż po zupełnie zwariowane, mówiące o wysysaniu energii z innych gwiazd. To byłby pierwszy przypadek kanibalizmu na kosmiczną skalę. – Szenrab znowu się roześmiał, ale i tym razem pozostał w tym osamotniony. Odchrząknął i kontynuował: – Nikomu na razie nie udało się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego błękitne marudery tak długo zachowują młodość. Ich tajemnica stanowi jedną z nierozwiązanych zagadek wszechświata. Na razie. Głęboko wierzę bowiem, że na miejscu uda się ją rozwikłać.

Nagle zrozumiałem, dlaczego Szenrab tak usilnie nalegał, żeby lecieć do 47 Tucanae. Rozważaliśmy z Thorssenem inne miejsca, jak choćby Mgławica Omega, gdzie znajduje się około pół tysiąca nowo narodzonych gwiazd, lub Gliese 229B – brązowy karzeł, wokół którego krąży ponad dwadzieścia nieeksplorowanych planet. Natomiast nasz astrofizyk uparcie obstawał przy tej właśnie gromadzie kulistej, o której nic pewnego nie wiedzieliśmy. Szenrab zapewne liczył na to, że na miejscu uda mu się zbadać te niezwykle gwiazdy i zrozumieć ich fenomen. Zgarnąłby wtedy kilka prestiżowych nagród naukowych, a wyniki badań korzystnie sprzedał. Wiele instytutów zapłaciłoby astronomiczne sumy za jakiegokolwiek dane dotyczące tych niezwykle gwiazd.

A może wiedział o powołaniu przez Federację Solarną specjalnego zespołu naukowego i chciał go ubiec? Zastanawiałem się tylko, czy robił to na własną rękę czy z kimś współpracował.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego wysłano specjalistkę od analizy procesów myślowych – odezwał się Thorssen, podejrzliwie spoglądając na Katję.

Ta, zanim odpowiedziała, wzięła głęboki oddech, a potem zaczęła mówić niemal jednym tchem:

– Od kilku lat zajmuję się problematyką samoświadomości, która jest tematem wielu moich prac i dwóch książek. W zakres moich badań wchodzi asymptotyczna równoważność pomiędzy wzrostem wszechświata a złożonymi sieciami, takimi choćby jak ludzki mózg. Moje badania dowiodły, że dynamiką tych systemów rządzą niespodziewanie podobne prawa i że wydają się one uniwersalne. To niezwykle pasjonujące zagadnienie, które może odpowiedzieć nam na fundamentalne pytania dotyczące jedności wszystkiego, co istnieje. – Najwyraźniej się ożywiła, zaczęła nawet gestykulować. – W federalnym instytucie naukowym, gdzie pracuje

nasz zespół, porównywaliśmy rozszerzanie się wszechświata z rozszerzaniem ludzkich obwodów mózgowych i we wszystkich symulacjach odkryliśmy niezwykle podobieństwo. Taka analogia między sieciami w skali mikro i makro nie może być przypadkowa...

– Zaraz, zaraz – przerwałem jej. – Sugerujesz, że wszechświat jest niczym olbrzymi mózg?

– Właśnie tak! – potwierdziła podekscytowana. – Ciągące się na przestrzeni setek parseków włókna będące skupiskiem gromad galaktyk można porównać do włókien kojarzeniowych w mózgu człowieka. Wyobraźcie sobie, że czasoprzestrzeń to spoidła i że gwiazdy w tym układzie pełnią funkcję neuronów.

– To zbyt daleko posunięta interpretacja – powiedziałem. Odebrałem wykształcenie biologiczne, więc znałem się trochę na budowie ludzkiego mózgu i zachodzących w nim procesach.

Oczy kobiety cały czas błyszczały z podniecenia. Moją uwagę puściła mimo uszu.

– Jestem przekonana, że wszechświat jest istotą myślącą, posiadającą samoświadomość.

Zapadła głęboka cisza.

Gdyby Katja powiedziała coś takiego na konferencji naukowej, sali wykładowej, bankiecie lub nawet w kawiarnianym zaciszu, słuchacze wybuchliby śmiechem, ale tutaj, poza czasem i przestrzenią, na statku pędzącym przez tunel czasoprzestrzenny, który w tajemniczy sposób łączy odległe punkty kosmosu, to wcale nie wydawało się śmieszne.

Czy to możliwe, żeby wszechświat miał świadomość? – zastanawiałem się, wpatrując się w migające niebieskie smugi za iluminatorem. Gdyby tak było, musiałby być bogiem, absolutem wypełniającym swym jestestwem całą przestrzeń i ciągle powiększającym swoją domenę. Oznaczałoby to, że my, ludzie, nie

jesteśmy niezależnymi bytami, a jedynie niewielkimi cząsteczkami, trybikami w tym olbrzymim mechanizmie. Potrząsnąłem głową, żeby odpędzić kłębiące się w niej myśli. Tego typu rozważania nigdy nie prowadziły do konstruktywnych wniosków. Wolałem skupić się na terażniejszości.

– A co to ma wspólnego z błękitnymi maruderami? – zapytałem.

Katja zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią. Może nie wiedziała, jak ją sformułować, żeby zrozumieli ją ludzie, którzy na co dzień nie mają styczności z kognitywistyką? A może układała sobie kłamstwo?

– Nim zostałam członkiem zespołu powołanego do zbadania fenomenu 47 Tucanae, pracowałam na uniwersytecie. Zajmowałam się stworzeniem uniwersalnego programu do badania zaistnienia samoświadomości. Nie było to proste, przede wszystkim dlatego, że trudno o jednoznaczną definicję świadomości. Jak odróżnić ją od zwykłego postrzegania? Przyjęliśmy zasadę, że o samoświadomości może być mowa, jeśli podmiot ma zdolność postrzegania i wyróżniania samego siebie lub ewentualnie skutków swojego działania. Kierując się tymi założeniami, przeprowadziliśmy symulacje i okazało się, że błękitne marudery wykazują procesy myślowe.

– Co?!

– Sam akt kanibalizmu wskazywałby na to...

– Bzdura! – wtrącił Szenrab. – Na Ziemi żyje mnóstwo organizmów pasożytujących na innych, a nigdy nie powiemy o nich, że są obdarzone świadomością.

– To złe porównanie – stwierdziła Katja. – Istnieje zasadnicza różnica dotycząca celu pasożytnictwa.

– Domyślam się, co Katja ma na myśli – stanąłem w obronie kognitywistki. – Ziemski pasożyt wchodzi we wzajemne

oddziaływanie metaboliczne z ciałem gospodarza, którego wykorzystuje jako środowisko życia oraz źródło pokarmu. Jest to niezbędne dla jego istnienia. Natomiast błękitny maruder bez pasożytnictwa egzystowałby normalnie, jako zwykła gwiazda. To, co robi, przedłuża mu po prostu życie i młodość.

– Lepiej nie umiałabym tego wyrazić. – Katja ukloniła się, obdarzając mnie ciepłym uśmiechem.

Odpowiedziałem uśmiechem, ale mój nie był nawet w połowie tak czarujący. Można powiedzieć, że wykrzywiłem tylko groteskowo wargi.

– Jestem biologiem, więc trochę się na tym znam – odburknąłem. – Czy jednak wasza definicja świadomości nie obejmuje procesu kategoryzacji, a co się z tym wiąże, nadawania znaczeń semantycznych?

– O czym ty, do diabła, mówisz? – spytał Vargas, który najwidoczniej nic nie zrozumiał.

– Chodzi mi o rozwój języka. Nie wyobrażam sobie, żeby nasze gwiazdy nauczyły się mówić.

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć – odparła kobieta. – Gwiazdy w gromadzie 47 Tucanae emitują różnego rodzaju dźwięki. W większości nie jesteśmy w stanie określić ich źródła.

– Wszystko to jednak tylko domysły – rzekł Vargas. – Jajogłowi nie mają innych zmartwień niż poszukiwanie rozumu w gwiazdach kanibalach.

Szenrab się roześmiał.

– Nie powinniśmy ich nazywać kanibalami, lecz raczej kosmicznymi wampirami. Kanibale zjadaliby inne gwiazdy w celu przeżycia, a błękitne marudery są niczym wampiry wysysające krew swoich ofiar dla zachowania wiecznej młodości.

Tym razem Szenrabowi udało się wywołać śmiech załogi. Tylko ja pozostałem poważny, zastanawiając się, jak bardzo to stwierdzenie jest prawdziwe. Martwiłem się tym, co możemy zastać w gromadzie kulistej 47 Tucanae. Wyglądało na to, że możemy mieć do czynienia z gwiazdami obdarzonymi nie tylko świadomością, ale również agresywnymi. Zastanawiałem się, czy są niebezpieczne i czy mogą nam zagrozić.

Moje rozważania przerwał Thorssen.

– Dziękuję pani za wyjaśnienia. Na razie musi nam to wystarczyć. Teraz może udać się pani do swojej kajuty i odpocząć. – Spojrzał na własny zegarek. – Za niecałe dwadzieścia minut wychodzimy z tunelu. Proszę wówczas stawić się na mostku.

Kobieta skinęła głową i wyszła. Thorssen przez chwilę jeszcze spoglądał za nią, a potem zwrócił się do załogi:

– Przygotować się do wyjścia. Chcę, żeby wszystkie sensory działały, gdy tylko Selene znajdzie się po drugiej stronie tunelu. Natychmiast mają zostać wysłane sondy i proszę o monitoring poszczególnych sektorów zgodnie z harmonogramem opracowanym przed startem. Czy wszystko jasne?

Pokiwaliśmy głowami i zabraliśmy się do pracy. Ja nie miałem za dużo do roboty. Większość zadań czekała mnie dopiero na powierzchni globów, na których zdecydujemy się wylądować. Sprawdziłem tylko działanie programów w sondach i opadłszy na fotel, przyglądałem się niebieskim smugom za iluminatorem. Skojarzyły mi się z ulicznymi drogowskazami prowadzącymi podróżnych do celu. Dokąd miały poprowadzić nas?

Nie dane mi było zastanowić się nad tym pytaniem, gdyż podszedł do mnie dowódca i poprosił o rozmowę w mesie.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – spytał szeptem, gdy już byliśmy sami.



Spojrzałem w stalowe oczy Thorssena i zobaczyłem w nich niepokój. Sytuacja była skomplikowana. Nie dość, że na pokładzie mieliśmy oficera Federacji Solarnej, który przez całą wyprawę będzie patrzył nam na ręce, to jeszcze była ta historia z tajemniczymi gwiazdami.

– Masz na myśli błękitne marudery czy Katję?

– Oba problemy.

– Jeśli chodzi o fenomen tych gwiazd, to wcale nie muszą być dla nas jakimś zagrożeniem. Nawet dobrze się składa. Może uda się coś zarobić na ich zbadaniu? Jednak w tej sprawie bardziej kompetentny będzie pewnie Szenrab. Natomiast jeśli chodzi o Katję... – Zrobiłem znaczącą pauzę.

– No?

– Ona kłamie.

– Co?!

– Kłamie w sprawie ekspedycji Federacji do 47 Tucanae.

– Czemu tak sądzisz?

– Nie wierzę, że Federacja nie próbowała wcześniej tam dotrzeć i zbadać fenomenu błękitnych maruderów.

– Może chcieli się pozbyć uciążliwej pani naukowiec z jej niesamowitymi teoriami? – Thorssen roześmiał się.

– Nie – odparłem stanowczo. – Słyszałeś, jak mówiła o przeprowadzonych symulacjach? Na takie badania musieli wydać kupę pieniędzy. Coś musi być na rzeczy. Nie jesteśmy pierwsi.

– Co masz na myśli?

– Jestem przekonany, że do gromady kulistej 47 Tucanae poleciały już jakieś misje badawcze.

– Co?! – Dowódca otworzył szeroko oczy.

Zmrużyłem swoje, spoglądając gdzieś w przestrzeń.

– Tylko że żadna z nich nigdy nie wróciła.

## Rozdział 3

Po wyjściu z tunelu czasoprzestrzennego oślepił nas blask tysiąca gwiazd. Migotały całą feerią barw. Nie byliśmy przyzwyczajeni do takiego widoku i gapiliśmy się oszołomieni w iluminator jak dzieci na nową zabawkę.

Układ Słoneczny leży na peryferiach Drogi Mlecznej – dokładnie w małym Ramieniu Oriona, które znajduje się pomiędzy Ramieniem Strzelca a Ramieniem Perseusza. Na obrzeżach Galaktyki gwiazdy są mocno od siebie oddalone. Natomiast w gromadzie kulistej 47 Tucanae, niemal w centrum Drogi Mlecznej, nagromadzenie gwiazd było o wiele większe. Dzięki temu mogliśmy podziwiać całe mnóstwo obiektów kosmicznych, gromad i kolorowych mgławic.

Gwiazdy wyglądały jak lampki choinkowe świecące na nocnym niebie, w rzeczywistości jednak każda z nich była olbrzymią kulą gazową, w której wnętrzu zachodziły potężne reakcje termojądrowe. Dominowały gwiazdy ciągu głównego o żółtym zabarwieniu, chociaż we wszechświecie najwięcej jest czerwonych karłów. Ale tych z powodu małej jasności prawie w ogóle nie było widać.

Gdzieś tam dało się zauważyć białe karły – gwiazdy już wypalone, których temperatura cały czas się zmniejsza i kiedyś zamienią się w czarne karły. Wtedy będą zupełnie niewidoczne. Ale wszechświat jest jeszcze zbyt młody, żeby można było taką przemianę zaobserwować.

Niektóre białe karły wybuchną jako supernowe. W nagłej eksplozji wyrzucą w przestrzeń całą swą materię, a utworzone w ten sposób mgławice po kilkudziesięciu tysiącach lat znikną bez śladu. Taka śmierć zapewne byłaby bardziej spektakularna niż żałosna wegetacja.

Westchnąłem, mój wzrok bowiem przykuły niebieskie nadolbrzyny. Urzekały wielkością i majestatem, dostojnie królując na firmamencie. Tylko błękitne marudery mogły się z nimi równać. Dwadzieścia jeden gwiazd stanowiących centrum gromady kulistej 47 Tucanae świeciło upiornym, bladoniebieskim światłem. Wydawały się tak bliskie, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym ich dotknąć. Uśmiechnąłem się.

Lecz nagle przypomniałem sobie o ich specyficznej naturze i poczułem ukłucie strachu, które stłumiło wcześniejszą fascynację.

Natychmiast przeniósłem wzrok na inny obszar gromady kulistej. Wśród migoczącej feerii barw, niczym stalagmity z dna jaskini, wylaniały się ciemne kolumny zimnego wodoru. Tam, w ogromnych kroplach gęstego gazu, rodziły się gwiazdy. Coś umiera, żeby na jego miejscu powstało coś nowego. Taka jest kolej rzeczy.

Moje spojrzenie powędrowało dalej, na migoczące w oddali strumienie gwiazd opasujące pierścieniem Drogę Mleczną. Wyeksponowane dzięki odchyleniu płaszczyzny dysku Galaktyki, przedstawiały urzekający widok. Niestety, z Ziemi były zupełnie niewidoczne. Przypomniałem sobie swoją pierwszą wyprawę zwiadowczą. To był pas Goulda – strumień leżący najbliżej Układu Słonecznego. Ekspedycja nie należała do udanych, większość gwiazd bowiem stanowiły młode, masywne obiekty, wokół których nie zdążyły jeszcze uformować się planety.

Stojąc tak przed iluminatorem Selene i obserwując piękno wszechświata, odczuwałem coś w rodzaju euforii. Odnosiłem wrażenie, że obcuję z doskonałością, Absolutem i idealną formą. Wypełniała mnie harmonia. Czułem ją całym sobą. Jeśli rzeczywiście istniał Bóg, to miejsce musiał sobie upatrzeć na siedzibę. Poczulem, że jeśli ktoś tego pragnie, właśnie tutaj może znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania dotyczące sensu istnienia.

Przypomniałem sobie, co powiedziała Katja. Może miała rację? Może wszechświat rzeczywiście ma świadomość, a w takim miejscu jak to, niemal w centrum Galaktyki, czuje się to bardziej niż gdziekolwiek? Pragnąłem zostać tutaj na wieki, zespolić się z gwiazdami, porzucić pustkę własnego jestestwa, przestać być indywidualnym bytem, a zacząć przynależeć do tego wielkiego, kosmicznego systemu. Do maszynerii wprawionej w ruch przed miliardami lat i działającej po dzień dzisiejszy.

– Brać się do roboty! – krzyknął Thorssen, wyrrywając mnie z rozmyślań. – Przeczesać cały sektor czujnikami i wysłać sondy!

Natychmiast zabraliśmy się do pracy. Należało się spieszyć. Nie mogliśmy sobie pozwolić na marnowanie czasu, który obecnie był najcenniejszy. Musieliśmy zbadać jak najwięcej planet, księżyców i planetoid przed wyczerpaniem zapasów tlenu, wody i żywności. Mieliśmy na to zaledwie dwa tygodnie. Potem czekał nas powrót do domu, a tam spotkania z przedstawicielami korporacji górniczych, składanie raportów i przedstawianie wyników badań.

Dla mnie te czynności były bardziej męczące, uciążliwe i stresujące niż sama ekspedycja. Rozmowy z dociekliwymi naukowcami, którzy chcieli wiedzieć niemal wszystko o zbadanych systemach, w zamian oferując niewiele, frustrowały każdego zwiadowcę. Zgodnie z ustawą instytuty naukowe miały prawo pierwokupu danych z nowo odkrytych światów. Dopiero potem

można było je oferować prywatnym firmom. Ich prezesi też nie byli chętni do rozstawania się z pieniędzmi, a targować umieli się nie gorzej niż uliczni sprzedawcy wody na pustynnych planetach Epsilon Eridani.

Bahman programował sondy, wbijając do pamięci koordynaty lotu, a Thorssen z Gorszkowem wystrzelili je ze stanowiska przy śluzie. Szenrab katalogował zaobserwowane gwiazdy, Abraham zaś siedział obok niego z nosem przy monitorze, analizując ich typy widmowe i wielkości. Na tej podstawie próbowali ocenić, czy krążą wokół nich jakieś planety. Najlepiej gdyby znajdowały się w ekosferze gwiazd, tylko na takich bowiem mogły zaistnieć warunki fizyczne i chemiczne umożliwiające powstanie, utrzymanie i rozwój organizmów żywych. Odnalezienie chociaż jednej takiej planety to strzał w dziesiątkę, gdyż nadawała się ona do natychmiastowej kolonizacji. Korporacje płaciły za informacje o takich planetach olbrzymie pieniądze.

Varges i ja usiedliśmy przy urządzeniach monitorujących. Średnica gromady kulistej 47 Tucanae wynosiła sto dwadzieścia lat świetlnych, a my w ciągu dwóch tygodni mogliśmy przebadać zaledwie ułamek jej procenta. Na wyjście z tunelu czasoprzestrzennego wybraliśmy miejsce, które leżało w bezpośredniej bliskości siedmiu gwiazd, w tym jednego z błękitnych maruderów. Mogliśmy dolecieć do każdej z nich bez konieczności uruchamiania pierścienia indukującego. Trzeba było tylko dobrze wybrać.

– Jak tu cudownie – usłyszałem kobiecy głos.

Odwróciłem się i ujrzałem Katję. Stała pośrodku mostka i wpatrywała się w iluminator. Jej miodowe oczy błyszczwały w zachwycie i teraz bardziej przypominała nastolatkę na pierwszym balu niż oficera Federacji Solarnej. Pozbyła się czarnego

uniformu i włożyła biały, bardziej odpowiedni na wyprawę badawczą. Szczerze mówiąc, wolałbym ją ujrzeć w stylowej sukni, ale zdawałem sobie sprawę, że znajdujemy się na statku kosmicznym, gdzie obowiązują pewne reguły.

Nie tylko zresztą na statku kosmicznym. Nawet na Ziemi kobiety ubrane tak, jak to sobie wymarzyłem, patrząc na Katję, można było spotkać jedynie na bankietach i wytwornych przyjęciach. Na co dzień wkładały praktyczny jednolity uniform. Trochę inaczej wyglądało to na dalekich koloniach, do których nie docierała współczesna moda i których mieszkańcy pozwalali sobie na ekstrawaganckie stroje. Odwiedziłem kiedyś osadę górniczą w systemie Alkora, gdzie hołdowano stylowi wzorowanemu na XIX wieku. I nie chodziło tylko o ubrania, ale również o zachowanie, maniery i mentalność. Czułem się, jakbym przeniósł się o setki lat w przeszłość. To było ciekawe doświadczenie.

– Zgadzam się z panią – rzekł Gorszkow, który akurat pojawił się na mostku. – Rzeczywiście, urzekający widok. Wszechświat potrafi zaskoczyć niepojętym pięknem. Jednak o wiele większe cuda można spotkać na Ziemi.

Katja uniosła pytająco brew.

– Dymorfizm płciowy – lekarz pospieszył z odpowiedzią. – Dzięki temu my, mężczyźni, możemy podziwiać urodę kobiet. Szczególnie tak pięknych jak pani.

Spodziewałem się wybuchu gniewu Katji. Znałem ten typ kobiet. Pewne siebie, niezależne, nielubiące, gdy podczas pracy ktoś je uwodzi. Jakież było moje zdziwienie, gdy Katja lekko się zarumieniła i roześmiała.

– Jest pan niepoprawny, doktorze.

Nasz lekarz, łysiejący i z wydatnym brzuszkiem, nie reprezentował kanonu męskiej urody, ale miał w sobie coś, co

sprawiło, że podobał się kobietom. Posiadał niezaprzeczalny urok osobisty, a dzięki wiecznemu optymizmowi i poczuciu humoru potrafił oczarować niemal każdą. Teraz szczerzył się w uśmiechu, spoglądając na Katję, i zupełnie ignorował widok rozciągający się za iluminatorem.

Niewątpliwie specjalistka od kognitywistyki potrafiła przyciągnąć uwagę. Na pokładzie statku, którego załogę stanowią sami mężczyźni, w zimnym kosmosie, z dala od ludzkiej cywilizacji, jaśniała niczym promyk rozjaśniający mrok. Westchnąłem ciężko, zastanawiając się, kiedy skoczmy sobie do gardeł, zabiegając o jej względy.

Gorszkow przeniósł spojrzenie z Katji na iluminator.

– Tak wiele gwiazd ostatni raz widziałem w Mgławicy Oriona – rzekł jakby od niechcienia.

– Był pan tam?! – Oczy kobiety zabłyśły. – Podobno to jedno z najpiękniejszych miejsc we wszechświecie.

– To prawda.

– Ja nigdy tam nie byłam – zasmuciła się Katja. – Prawdę mówiąc, po raz pierwszy opuszczam Układ Słoneczny. Proszę mi powiedzieć, jak tam jest. Słyszałam niestworzone rzeczy o tamtejszych światach.

– W tych opowieściach nie ma żadnej przesady. – Lekarz uśmiechnął się. – Jak pani zapewne wie, Mgławica Oriona to kulista chmura, pełna gazów i pyłów, która w ostatnim czasie stała się popularnym celem ekspedycji zwiadowczych. W samym jej centrum znajduje się gromada młodych gwiazd, wokół których uformowały się systemy planetarne. Większość z nich już zbadano i obecnie sukcesywnie są zasiedlane. Nie ma dnia, żeby do Mgławicy Oriona nie podążały statki z kolonizatorami czy

transportowce z komponentami fabryk, i podejrzewam, że za sto lat będzie to tętniący życiem sektor.

– To czego tam szukaliście?

– Poleciliśmy na jej obrzeża, a nie do centrum. Okazało się, że nadal jest tam sporo godnych uwagi planet. Znaleźliśmy kilka bogatych w surowce, a na jednej istniało nawet życie. I wbrew pozorom nie był to glob krążący wokół gwiazdy ciągu głównego, ale obiegający czerwonego karła.

– Czy to możliwe?! – zdziwiła się Katja. – Przecież te zimne gwiazdy emitują niewiele światła.

– Czerwone karły są także blisko sześć razy mniejsze od Słońca – odparł Gorszkow – stąd ekosfera leży bliżej środka układu planetarnego.

– Ekosfera?

– Strefa wokół gwiazdy, w której obrębie na wszystkich planetach mogą panować warunki fizyczne i chemiczne umożliwiające powstanie i rozwój organizmów żywych – wtrąciłem się do rozmowy, uznawszy, że jako astrobiolog najlepiej to wyjaśnię. – Zazwyczaj wiąże się to z występowaniem wody w stanie ciekłym. Bez tego nie może być mowy o powstaniu życia.

Lekarz skinął mi głową w podziękowaniu.

– Glob przez nas odkryty okazał się niezwykle – kontynuował. – Zawsze jest zwrócony w kierunku gwiazdy tą samą półkulą, co powoduje, że ma dwie strony: ciemną i jasną, oraz strefę przejściową zamieszkiwaną przez stworzenia przystosowane do obu ekosystemów. Niektóre z nich z łatwością przemieszczają się i zajmują nisze na obu półkulach.

– To bardzo interesujące – rzekła Katja z prawdziwym zaciekawieniem.



Ja również oderwałem wzrok od monitorów i słuchałem Gorszkowa.

– I właśnie w strefie półmroku żyje dziwne zwierzę, które ma oczy dookoła głowy i pole widzenia trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Niesamowite. – Kobieta pokręciła głową z niedowierzaniem.

Gorszkow uśmiechnął się zadowolony, że jej zaimponował.

– To jeszcze nic! – Coraz bardziej się rozkręcał. – Niektóre stworzenia na tej planecie mają dodatkowe oczy umieszczone pod pierwszymi i dzięki nim widzą ciepło emitowane przez inne organizmy.

– Po co im to?

– Czerwony karzeł większość energii przekazuje w formie promieniowania podczerwonego i dlatego drapieżniki przystosowały się do widzenia w ciemnościach.

– A na jasnej stronie odkryliście jakieś interesujące gatunki?

– Nic, czego byśmy nie znali z Ziemi – odparł Gorszkow i zafrasował się, widząc zawód Katji. – Nasłoneczniona strona przypomina ogromną pustynię w większości zamieszkaną przez płazy.

– Skoro mowa o pustyni – odezwał się Vargas. – Na wyjąłowych globach również można spotkać dziwne okazy. Słyszała pani o systemie delta Serpentis?

– Nie.

Vargas wstał z fotela i podszedł do Katji i Gorszkowa. Przewyższał doktora przynajmniej o głowę, a pod jego śnieżnobiałym uniformem przeżyły się mięśnie. Rysy twarzy, efekt formowania plastycznego, miał niczym Apollo i nasz lekarz żadną miarą nie mógł się z nim równać. Gdy tylko Gorszkow to sobie uświadomił, zgarbił się i usiadł zrezygnowany na swoim miejscu.

Varges, zadowolony z siebie, przeczesał dłonią krótko ścięte włosy i posłał kobiecie bezczelny uśmiech.

– Delta Serpentis to gwiazda wielokrotna. Ma zaledwie jedną planetę, która krąży wokół najjaśniejszego jej elementu, żółtego olbrzyma otoczonego pierścieniami wiszącymi na wysokości równika. Posiada również siedem nieregularnych księżyców przypominających trochę marsjańskie Deimos i Phobos.

– To musi być cudowny widok.

– No – potwierdził Varges.

Nie znałem go zbyt długo, ale z tego, co zdążyłem zaobserwować, raczej nie miał rozwiniętej wrażliwości na piękno.

– Ale tylko z orbity – dodał. – Na powierzchni jest piekło. To jedna wielka, wyjąłowiona pustynia. Woda zajmuje ledwie dziesięć procent powierzchni globu i trzeba kopać w piachu, aby ją odnaleźć. Tylko w niektórych miejscach są soczewki życiodajnej deszczówki.

Pilot na chwilę zamilkł, obserwując reakcję Katji. Wyglądała na żywo zainteresowaną. Nie wiedziałem tylko, czy zajmowała ją planeta krążąca wokół delty Serpentis, czy Varges.

– To olbrzymi glob, na którym grawitacja jest trzykrotnie silniejsza od ziemskiej. Mężczyzna mojej postury i budowy ciała, ważący osiemdziesiąt kilogramów, tam miałby blisko dwieście czterdzieści.

– Doprawdy? – Kobieta lekko uniosła brwi. – To jak się przemieszczaliście?

– W specjalnych skafandrach wspomagających – odparł. – Uciążliwe to i mocno niewygodne, ale inaczej się nie da. Człowiek czuje się w takim skafandrze jak robot. Można wykonywać tylko podstawowe czynności. Na szczęście autonomiczne maszyny odwalily za nas całą robotę.

– Znaleźliście tam coś ciekawego?

Varges zmarszczył czoło, usilnie się zastanawiając.

– Bogate złoża irydu – rzekł niepewnie. – To wystarczyło, żeby wyprawa zwróciła się z nawiązką.

Uśmiechnąłem się, usłyszawszy to kłamstwo. Jednak Katja nie dostrzegła oszustwa.

– Wspomniał pan o ciekawych okazach...

– Owszem! – ożywił się pilot. – Spotkałem tam niezwykle zwierzę. Proszę sobie wyobrazić ziemskiego ślimaka, ale mającego ponad dziesięć metrów długości i jakieś trzy wysokości. Zamiast skorupy ma grubą skórę chroniącą przed promieniowaniem ultrafioletowym emitowanym przez gwiazdę. Otoczenie odbiera poprzez rogowe wypustki rozmieszczone na całym cielsku.

– Jak coś takiego się przemieszcza?

– Zajmował się tym nasz astrobiolog, ale z tego, co pamiętam, stwor prześlizgiwał się na łuskach umieszczonych na podbrzuszu.

– Podobnie jak ziemski grzechotnik.

– Coś w tym rodzaju. – Varges pokiwał głową. – Spotkaliśmy też wielką rozgwiazdę poruszającą się na krępych ramionach. Uzbrojone były w macki do przeczesywania piasku w poszukiwaniu zbiorników wody. Gdy rozgwiazda znalazła już oczko wodne, piła i pęczniała.

– Dlaczego?

Varges, zakłopotany, podrapał się po głowie. Postanowiłem go ratować.

– W ten sposób magazynuje wodę – wyjaśniłem. – Ta umiejętność pozwala jej przetrwać. Na planecie krążącej wokół delty Serpentis zwierzęta przystosowały się do deficytu wody i silnej grawitacji.

Pilot spiorunował mnie wzrokiem. Nie wiem, czy mocniej rozgniewało go, że jestem bardziej kompetentny niż on, czy może

moja wiedza na temat tego systemu. Postanowiłem trochę nastraszyć Vargesa.

– Silna grawitacja sprzyja powstawaniu znacznie gęstszej atmosfery niż na Ziemi – mówiłem dalej. – Udział tlenu jest większy, a co za tym idzie, organizmy mają przyspieszony metabolizm i szybciej uwalniają energię. Łatwiej im się wznieść w powietrze. Dlatego też na Hefajstosie – uśmiechnąłem się do Vargesa – bo zakładam, że o Hefajstosie mówimy, latają olbrzymie stwory, które mogą szybować bez ograniczeń. Od czasu do czasu nurkują ku nielicznym zbiornikom wody, żeby się napić i upolować coś przy wodopoju.

Spojrzałem w oczy pilota i dostrzegłem w nich strach. Nie dziwiło mnie to. Mało kto słyszał o systemie delta Serpentis, a jeszcze mniej o krążącej tam planecie. Może kilkoro astronautów miało dostęp do danych o tym globie. I tylko nieliczni nazywali go Hefajstosem.

Varges wpatrywał się we mnie, zupełnie zapomniawszy o Katji. Zastanawiał się pewnie, kim jestem i skąd wiem o Hefajstosie. I bardzo dobrze. Wprowadziłem element niepewności. Liczyłem na to, że popełni błąd i jeszcze bardziej się odsłoni. Nie miałem wątpliwości, że w najbliższym czasie czeka mnie konfrontacja z tym człowiekiem. Nie obawiałem się jej, przeciwnie – oczekiwałem jej z niecierpliwością.

– Co spowodowało, że powstały takie dziwadła? – spytała Katja, zupełnie nie zwracając uwagi na napięcie między mną a pilotem.

– To darwinizm, moja droga – włączył się do rozmowy Gorszkow. – Zmiany ewolucyjne są wynikiem doboru naturalnego, który zwiększa adaptację do warunków środowiskowych.

– To nie do końca tak – wtrąciłem. – Ewolucja zazwyczaj kojarzy nam się z regułą przetrwania, łańcuchami pokarmowymi, teorią

Darwina, rywalizacją między organizmami i gatunkami. Zapominamy, że to głównie biotop kształtuje biocenozę, więc na powstanie tych stworów miały wpływ takie czynniki, jak grawitacja, temperatura, ciśnienie, skład atmosfery danego globu.

– Aha – powiedziała Katja, ale spostrzegłem, że jest znudzona. Spodziewała się opowieści o urzekających swoim pięknem obcych światach, planetach innych niż te spotykane w Układzie Słonecznym, lub mrożącej krew w żyłach przygody. Nie miała ochoty słuchać wykładu z astrobiologii.

Kątem oka zauważyłem, że Vargas opuścił mostek.

– Jestem przekonany, że w gromadzie kulistej 47 Tucanae znajdziemy jakąś interesującą planetę, a na niej równie egzotyczne zwierzęta – rzekłem, wstając z fotela. – A teraz przepraszam. Obowiązki wzywają.

Wyszedłem na korytarz w samą porę, by zauważyć, jak zamyka się wejście do maszynowni. Podszedłem do drzwi i wstukałem kod otwierający. W środku panował półmrok i chwilę potrwało, zanim moje oczy przyzwyczyły się do niego. Widziałem tylko wirujący laser w wypełniającym pół pomieszczenia reaktorze anihilacji materii. Nagle poczułem, że czyjeś ręce chwytają mnie i rzucają o ścianę.

– Gadaj, kim jesteś! – usłyszałem głos Vargasesa.

Skrzywiłem usta w uśmiechu.

– Mógłbym zapytać ciebie o to samo – odparłem.

Pilot mocniej przycisnął mnie do ściany. Moje oczy zaczęły powoli przyzwyczyać się do półmroku i najpierw rozpoznałem kształty, a później wyraźnie zobaczyłem sylwetkę Vargasesa. Nawet udało mi się dostrzec jego twarz i wykrzywione w grymasie wściekłości usta.

– To ja zadaję pytania! – warknął.

– Nie sędę.

Błyskawicznie chwyciłem pilota za nadgarstek ręki, którą mnie trzymał, i mocno wykręciłem, wykonując półobrót. Jęknął z bólu i ukląkł. Próbował wyprowadzić cios z łokcia w mój żołądek, ale byłem na to przygotowany. Wzmocniłem dźwignię.

– Puść – wystękał Vargas.

– Pogadamy?

– Tak.

Zwolniłem chwyt, ale cały czas byłem czujny. Pilot wstał, masując sobie nadgarstek. Nie widziałem jego oczu, ale mógłbym przysiąc, że spogląda na mnie z mieszaniną gniewu i niedowierzania. Na pewno nie spodziewał się, że ktokolwiek na pokładzie Selene jest w stanie go pokonać.

– Kim ty, kurwa, jesteś?

– Kimś, kto wie, że Hefajstos to tajna baza szkoleniowa federacyjnych służb specjalnych – odparłem. – Planeta jest w rękach wojska i nie mogłeś tam być z ekspedycją zwiadowczą. Zakładam, że szkoliłeś się na Hefajstosie, więc nie jesteś zwykłym wojskowym pilotem. Dziwne, że nigdy o tym nie wspomniałeś.

– Posłuchaj – ton Vargesa zmienił się, zniknęły typowe dla niego arogancja i buta – mówiłem prawdę...

– Prawdę? – parsknąłem. – Pracujesz dla służb bezpieczeństwa Federacji Solarnej!

– Nie! – zaprzeczył gwałtownie. – Już nie. Odszedłem ze służby.

– Od nich się nie odchodzi.

Pilot uśmiechnął się z przekąsem.

– Sporo o tym wiesz.

– Wystarczająco dużo, by na kilometr wykryć gnoja z wywiadu wojskowego.

– Przecież ci mówiłem, że już dla nich nie pracuję. – Varges westchnął ciężko. – Ale w jednym masz rację: od nich się nie odchodzi. Można powiedzieć, że jestem... dezertorem.

– Uciekłeś?! – Wybuchnąłem śmiechem. – Nie słyszałem jeszcze o takim przypadku. Przecież funkcjonariusze mają wszystko, czego dusza zapagnie. Przywileje, pieniądze, kobiety...

– A czyste sumienie?

Uniosłem w zdziwieniu brew. Nie przypuszczałem, że Varges jest tego typu facetem. Wiedziałem, co robiono z ludzi w ośrodkach szkoleniowych. Wychodzili z nich bezduszni zabójcy, wyprani z emocji, pozbawieni wyrzutów sumienia specjaliści od inwigilowania i likwidowania wrogów wspaniałej solarnej wspólnoty.

– Co się stało?

– Akcja pacyfikacyjna w systemie Al Nath.

Opuściłem głowę. Nie chciałem, żeby zobaczył to, co mogło się pojawić w moich oczach. Pamiętałem Al Nath. Pamiętałem bardzo dobrze.

Dziesięć lat wcześniej mieszkańcy tego systemu ogłosili autonomię i powołali własny rząd. Nie spodobało się to władzom. Al Nath miał pięć planet nadających się do kolonizacji, a pozostałych osiem dostarczało cennych surowców. Media podały, że negocjacje z rebeliantami zakończyły się sukcesem i system ponownie został włączony do Federacji Solarnej. Prawda była zupełnie inna. Do Al Nath wysłano flotyllę okrętów i prawie dziesięć tysięcy żołnierzy. Mogłem się tylko domyślać, co tam zaszło.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Nie, nic nie rozumiesz. Zrównaliśmy z ziemią trzy duże miasta i kilkadziesiąt osad. Nie było żadnych negocjacji z buntownikami, ani jednego wezwania do złożenia broni.

Najpierw przeprowadzono bombardowanie z orbity, a potem weszliśmy my... – Vargas ciężko przełknął ślinę. Gdy ponownie zaczął mówić, głos mu się łamał. – Rozkazano nam zlikwidować każdego, kto przeżył.

Zacisnąłem mocno pięści i przymknąłem powieki.

– Zginęło wówczas ponad sto tysięcy osób. Mężczyzn, kobiet, dzieci. Nie patrzyliśmy, kogo zabijamy. Padali żołnierze, cywile, pracownicy korporacji. Na ich miejsce Federacja miała przysłać nowych, bardziej lojalnych. To nie była bitwa, ale zwykła rzeź.

Pilot ponownie zamilkł, tym razem na dłużej. Wiele razy wyobrażałem sobie, co zaszło w Al Nath. To musiało być piekło.

– Kałuże krwi, rozerwane szczątki, trupy na ulicach wymarłych miast, które jeszcze niedawno tętniły życiem – kontynuował Vargas. – Wszystko wyglądało jak po zagładzie, po apokalipsie, którą zgotowała mieszkańcom nasza flota. Najgorsze jednak było to, że zostali potraktowani jak cele na strzelnicy. Nikt nie widział w nich ludzi. Nawet ja...

Miałem ochotę go uderzyć, powalić na podłogę i bić tak długo, aż nie ujdzie z niego życie. Opanowałem się jednak, otworzyłem oczy i przyglądałem mu się w półmroku.

– Każdej nocy śni mi się ta masakra – rzekł po dłuższym milczeniu. – A przecież widziałem niewiele. Weszliśmy tam po wszystkim. Dowodziłem plutonem zabezpieczającym. Naszym zadaniem było zatrzeć ślady.

– Nie porzuciłeś służby od razu.

Vargas pokiwał głową.

– Minęły trzy lata, nim zdecydowałem się na dezercję. Już nigdy nie brałem udziału w podobnej akcji, ale nie mogłem zapomnieć tego, co tam się stało. W jakiś sposób czuję się winny tej tragedii.

Pokiwałem głową. Nie miałem zamiaru go rozgrzeszać.



– Jak to możliwe, że jeszcze cię nie dopadli?

Pilot uśmiechnął się samymi kącikami ust.

– Przeszedłem szkolenie. Wiem, jak się ukrywać. Zmieniłem tożsamość, twarz, sposób życia. Nigdy nie pozostaję w jednym miejscu dłużej niż pół roku. Trudno mnie rozpracować.

– Mnie się udało.

– Właśnie. – W głosie Vargasesa słychać było podejrzliwość. – I zdołałeś mnie powalić. Jak to zrobiłeś?

– Każdy ma swoje tajemnice.

– Pracujesz dla wywiadu wojskowego?

Roześmiałem się.

– Gdyby tak było, tobym z tobą nie rozmawiał, tylko skręcił ci kark.

– Myślisz, że dałbyś radę? – spytał zawadiacko.

Wzruszyłem ramionami.

– Może kiedyś będzie okazja się przekonać – odparłem. – Na razie chcę się dowiedzieć, co się tutaj dzieje. I dlaczego federalni interesują się naszą wyprawą.

– Zapukałeś do niewłaściwych drzwi – rzekł Vargas. – Teraz jestem zwykłym zwiadowcą, który chce zarobić parę groszy. Nie mnie powinieneś się obawiać.

– A kogo?

Pilot chciał już odpowiedzieć, ale w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi do maszynowni i na progu stanął Abraham. Spojrzał na nas podejrzliwie.

– Wszędzie was szukałem – rzekł. – Thorssen zwołał zebranie na mostku.

– Już idziemy – odparłem i zwróciłem się do Vargasesa: – Później dokończymy naszą rozmowę.

Cała załoga czekała tylko na nas. Na mostku była również Katja, która zajęła wolny fotel. Gdy wszedłem z Vargesem, Thorssen spojrzał na nas surowo. Podejrzewał, że wdaliśmy się w kłótnię lub nawet bójkę. W sumie niewiele się pomylił, bo nasza rozmowa mogła się skończyć zupełnie inaczej. Usiedliśmy na swoich miejscach.

– Dotarły do nas pierwsze dane z sond – powiedział dowódca, cały czas zerkając na monitor. – Program komputerowy przeanalizował odczyty czujników. Wygląda na to, że w pobliżu znajdują się dwie gwiazdy, wokół których krążą planety. Pierwsza z nich należy do ciągu głównego, piątej klasy jasności, typu widmowego G2.

– Czyli przypomina nasze Słońce – rzekł Szenrab.

Thorssen pokiwał głową.

– Po analizie danych sądzimy, że krąży wokół niej przynajmniej pięć planet, z czego dwie znajdują się w ekosferze.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że te przypuszczenia pokryją się z rzeczywistością? – spytałem.

– Dziewięćdziesiąt sześć koma cztery procent.

Gwizdnąłem cicho. Zdaje się, że trafiliśmy w dziesiątkę. Jak wszystko dobrze pójdzie, zgarniemy fortunę za odkrycie planet nadających się do kolonizacji. A pozostałe mogą być bogate w zasoby. Na pewno Thorssen już zacierał ręce, wietrząc żyłę złota.

– A ta druga gwiazda? – zapytał Szenrab.

– To błękitny maruder. – Dowódca skrzywił się. – Ma dwie planety z kilkoma księżycami. Obie leżą w ekosferze, ale po analizie spektrum promieniowania elektromagnetycznego i korpuskularnego gwiazdy wątpię, żeby któryś z tych globów nadawał się do życia.

– Ale gdybyśmy tam polecieci, moglibyśmy z bliska zbadać fenomen błękitnych maruderów – wtrąciła Katja.

– To prawda! – poparł ją Szenrab. – Zarobilibyśmy więcej, sprzedając wyniki badań, niż odkrywając nawet pięć nadających się do kolonizacji planet.

– Nie! – uciał ostro Thorssen. Widać było, że podjął już decyzję. Dyskusja z nim nie miała sensu. Obawiał się zapewne, że w pobliżu błękitnego marudera nie może nas spotkać nic dobrego. Sądzę, że miał rację. Na jego miejscu też bym tak postanowił. – Znajdujemy się wystarczająco blisko, żeby zbadać błękitnego marudera – dodał, spoglądając na Katję. – Do pani dyspozycji oddam czujniki i sprzęt zainstalowany na Selene. Pod warunkiem oczywiście, że nie będzie potrzebny w tym czasie do innych badań. Chciałbym, żeby była jasność: nie podoba mi się pani obecność na moim statku, ale nie zamierzam utrudniać pani pracy.

– Ma pan obowiązek współpracować z przedstawicielem Federacji Solarnej – rzekła ostro kobieta.

– To prawda.

– A jeśli zażądam skierowania statku do systemu błękitnego marudera?

– Nie zmieni to mojej decyzji – odparł spokojnie Thorssen. – Po powrocie może pani złożyć na mnie skargę, a nawet postawić przed sądem. Na Selene jednak ja jestem dowódcą i do mnie należy decyzja.

Zrezygnowana Katja opuściła głowę. Szenrab też wydawał się zawiedziony. Byłem przekonany, że wyruszył z nami tylko w celu zbadania fenomenu błękitnych maruderów. A może nie on sam? Zastanawiałem się, czy wybór gromady kulistej 47 Tucanae jako celu ekspedycji nie był z góry ukartowany. Na razie zbyt wiele miałem pytań, a za mało odpowiedzi.

– Skoro już wszystko sobie wyjaśniliśmy, to proszę się przygotować do lotu – rzekł dowódca. – Uruchomić procedury startowe, obrać koordynaty i uruchomić akcelerator...

– Komandorze – przerwał mu niespodziewanie Vargas. Siedział w fotelu pilota, nie spuszczając wzroku z monitora.

– Czego?! – warknął rozzłoszczony Thorssen.

– Odbieram sygnał radiowy.

– Co?! – Dopiero po chwili komandorowi udało się wyjść z szoku. – Skąd dochodzi?

– Już sprawdzam.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, podczas gdy Vargas ustalał źródło transmisji.

– Płynie z kierunku błękitnego marudera – rzekł.

– Czy może to być sygnał pochodzenia naturalnego?

Pilot pokręcił głową i ponownie skierował wzrok na monitor.

– Nie – stwierdził po chwili. Przeniósł wzrok na dowódcę, a w jego oczach malowało się niedowierzanie. – To sygnał SOS używany na wszystkich statkach Federacji Solarnej.

## Rozdział 4

Na mostku zapanowała taka cisza, że słychać było szum generatorów przetwarzających powietrze. W napięciu spoglądaliśmy na monitor, odczytując dane dotyczące tajemniczego sygnału SOS. Pierwszy otrząsnął się Abraham i rzekł z ironią:

– Wygląda na to, że nie jesteśmy pierwsi. Ktoś przed nami rozdziewiczył tę gromadę kulistą.

– To niemożliwe – powiedział Thorssen. – Dokładnie to sprawdziłem. Nigdy nie zorganizowano ani nie wysłano żadnej ekspedycji zwiadowczej do 47 Tucanae.

– Wygląda na to, że ma pan złe informacje, komandorze.

Dowódca wzruszył ramionami.

– Może to nie statek zwiadowczy? – rzuciłem w przestrzeń.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie.

– Co masz na myśli? – zapytał Thorssen.

– To chyba oczywiste – rzekłem i zrobiłem krótką pauzę. – Oficjalnie żadna wyprawa zwiadowcza do gromady kulistej 47 Tucanae nie została zarejestrowana, co oznacza, że mamy do czynienia z tajną ekspedycją rządową.

W oczach Thorssena dostrzegłem błysk zrozumienia. Najwidoczniej przypomniał sobie naszą rozmowę w mesie, kiedy sugerowałem, że Federacja Solarna wysłała już tutaj swoje statki.

Komandor zmarszczył brwi i spojrzał surowo na Katję. Ta jednak była tak samo zdumiona jak my. Albo udawała zaskoczenie.

Dowódca przez chwilę jej się przyglądał, jakby próbował odczytać jej myśli, a potem zwrócił się do Vargesa:

– Jesteśmy w stanie wykryć sygnaturę statku?

– Nie z tej odległości. Nasze czujniki nie mają takiego zasięgu.

Thorssen pokiwał głową. Na jego czole pojawił się głęboki mars. Sytuacja była niezwykła. Wszechświat był ogromny, a miejsca, do których zmierzali zwiadowcy, tak od siebie oddalone, że nie sposób było trafić na inną ekipę badawczą. Nie mówiąc już o odebraniu sygnału SOS z potrzebującego pomocy statku. Takie przypadki zdarzały się tylko w opowieściach pilotów, którzy po kilku głębszych snuli historie godne tego, by je między bajki włożyć. Niektóre z nich stały się legendami i powtarzane w różnych kontekstach, z innymi za każdym razem miejscem i czasem, zapewniały darmowego drinka w knajpie na zapyziałych rubieżach wszechświata.

– Komandorze – zagadnął Varges – co robimy?

W oczach Thorssena dostrzegłem wahanie. Najchętniej zignorowałby sygnał SOS i trzymał się planu. Jednak sumienie, a może poczucie odpowiedzialności, nie pozwalało mu na podjęcie takiej decyzji.

– Musimy natychmiast tam lecieć! – zawołała Katja, widząc, że się zastanawia. – Mamy obowiązek udzielić pomocy jednostce Federacji Solarnej.

Miała rację. Konwencja kosmiczna dotyczyła wszystkich, bez wyjątku. Nie miało znaczenia, czy działaliśmy w ramach korporacji handlowej czy byliśmy niezrzeszonymi zwiadowcami. Naszym obowiązkiem było udzielić natychmiast pomocy jednostce, która wysłała sygnał SOS.

– Ile zajmie nam dotarcie do nich?

Varges wbił koordynaty i komputer przeprowadził analizę.

– Niecałe dziesięć godzin – odparł pilot. – Z tamtego miejsca do naszego docelowego systemu podróż będzie trwała trzydzieści osiem godzin.

– To dwa dni pokładowe! – jęknął Thorssen. – I nie wiadomo, ile czasu zajmie nam akcja na miejscu.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – wtrącił Szenrab. – Przy okazji możemy zbadać błękitnego marudera.

Astrofizyk zamilkł, gdy dowódca spiorunował go wzrokiem. Thorssen przeniósł spojrzenie na iluminator i długo wpatrywał się w jeden punkt. W błękitnego marudera, który z tej odległości nie wyróżniał się na tle gwiazd, ale kusił dziwną niebieską poświatą. Trudno było zgadnąć, o czym myśli dowódca. Gdybym miał obstawiać, powiedziałbym, że zastanawia się, jakie mogą czekać go konsekwencje za nieudzielenie pomocy jednostce nadającej sygnał SOS. Gdyby dowiedzieli się o tym federalni, mógłby mieć nieliczne kłopoty, łącznie z odebraniem licencji na loty zwiadowcze. Z drugiej strony jako dowódca Selene odpowiedzialny był za jej załogę i nie mógł jej narażać na szwank, a wiele wskazywało na to, że w systemie błękitnego marudera czai się jakieś niebezpieczeństwo.

Thorssen milczał dobrą minutę, a żadne z nas nie śmiało przerywać jego rozmyślań. W napięciu spoglądaliśmy na jego zmieniającą się twarz. Najpierw miał mocno zaciśnięte zęby, a w oczach czaiła się wściekłość, potem jego oblicze złagodniało i pojawiła się rezygnacja. Wreszcie oderwał wzrok od iluminatora.

– Zdaje się, że nie mamy wyjścia – rzekł z westchnieniem. – Proszę uruchomić akcelerator antymaterii i obrać kurs na źródło sygnału.

Kątem oka dojrzałem, jak Szenrab odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że jednak będzie miał okazję zbadać z bliska błękitnego marudera. Dla niego był to szczęśliwy zbieg okoliczności. A może

zależało mu na dotarciu do tego układu z zupełnie innych względów? Tego nie mogłem wykluczyć.

Thorssen wydał odpowiednie dyspozycje i zostawiwszy wszystko w rękach pilota, opuścił mostek, informując nas, że udaje się do swojej kajuty. Prosił, żeby dać mu znać, jak już Selene dotrze na miejsce.

Varges uruchomił akcelerator antymaterii i poczułem drżenie pokładu. Rozruch silników powinien trwać około minuty, a potem Selene pomknie prosto do celu. Przez najbliższe dwanaście godzin tak naprawdę nikt z załogi nie będzie potrzebny na mostku. Nikt oprócz pilota nadzorującego lot. Akurat to najmniej mi pasowało. Liczyłem, że zdołam dokończyć rozmowę z Vargeselem.

Stwierdziłem jednak, że i tak mi nigdzie nie ucieknie, więc postanowiłem pójść coś zjeść. Wstałem z fotela i udałem się do mesy. Z dystrybutora żywności pobrałem opakowanie liofilizatów, usiadłem przy stole i rozerwałem folię. Poddany obróbce w wysokiej temperaturze, żeby zniszczyć mikroorganizmy i enzymy, zestaw stanowił idealną dietę astronauty. Spojrzałem krytycznie na tackę przypominającą rozpaćkaną paletę malarską. Nie wyglądało to apetycznie. Zacząłem niespiesznie jeść, dłubiąc plastikowym widelcem w brązowej papce i od czasu do czasu mieszając ją z żółtą i czerwoną.

Myśłami powędrowałem ku niezidentyfikowanej jednostce wysyłającej sygnał SOS. Zastanawiałem się, do kogo należy. Możliwości było kilka. Pierwsza z nich, w którą nie za bardzo wierzyłem, była taka, że to zwiadowcy tacy ja my. Z niewiadomych przyczyn ich lot nie został zarejestrowany i dlatego Thorssen nic o nich nie wiedział. Druga możliwość, równie nieprawdopodobna, była taka, że to statek jakiegoś odłamu separatystów. Ale oni bardziej skupieni byli na walce o niepodległość niż na badaniu



obcych systemów. Trzecia możliwość najbardziej do mnie przemawiała i tego się w sumie spodziewałem. Wszystko wskazywało na statek wysłany przez Federację Solarną.

To miało sens i układało się w logiczną całość. Wojsko prawdopodobnie od dłuższego już czasu zainteresowane było gromadą kulistą 47 Tucanae ze względu na naturę znajdujących się w niej błękitnych maruderów. Wysłano jedną lub więcej tajnych, finansowanych przez rząd ekspedycji, o których opinia publiczna nie wiedziała. Jednak żadna jednostka nie wróciła. Gdyby było inaczej, nie otrzymalibyśmy zezwolenia na skok do 47 Tucanae. Nasza wyprawa najwidoczniej okazała się szczęśliwym zbiegiem okoliczności i pułkownik Kristiansen postanowił nas wykorzystać, nie marnując federalnego sprzętu. O życiu ludzkim nie warto wspominać, bo Federacja Solarna zawsze miała je w pogardzie.

Pułkownik umieścił na pokładzie swojego człowieka, ale Katja była tylko przykrywką, zasłoną dymną dla prawdziwego agenta. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że na Selene znajduje się jeszcze jeden człowiek Kristiansena. Tylko kto to?

Jeszcze do niedawna stawiałem na Vargesa. Wojskowy pilot, szkolony w tajnym ośrodku na Hefajstosie, był najlepszym kandydatem. Lecz po tym, co od niego usłyszałem w maszynowni, wykreśliłem go z listy podejrzanych. Oprócz Thorssena, którego znałem najdłużej i byłem w stu procentach pewny, wszyscy pozostali członkowie załogi byli dla mnie podejrzani.

Najwyżej na mojej liście znajdował się Szenrab. Astrofizyk najpóźniej dołączył do załogi. Bardzo nalegał na lot do systemu błękitnego marudera i nawet już nie ukrywał, że interesują go badania fenomenu tych dziwnych gwiazd. Skryty Bahman, który większość czasu dłuwał przy automatach i rzadko się do

kogokolwiek odzywał, też nie budził zaufania. Podobnie jak Abraham, któremu cyniczny uśmiech nie schodził z ust.

Najbardziej w porządku wydawał się Gorszkow. Jowialny i sympatyczny lekarz wprowadzał pozytywną atmosferę. Mógł jednak tylko udawać, żeby nie budzić podejrzeń.

Który z nich jest człowiekiem pułkownika Kristiansena? – myślałem.

Nikogo nie mogłem wykluczyć. Liczyłem na to, że Vargas będzie umiał chociaż częściowo odpowiedzieć na moje pytanie, ale na rozmowę z nim musiałem poczekać. Cierpliwości mi jednak nie brakowało. Wiedziałem, że prędzej czy później poznam tożsamość agenta Federacji Solarnej.

Odsunąłem talerz z kolorową papką.

– Widzę, że nie tylko mi nie smakują serwowane tu posiłki – rzekła rozbawiona Katja.

Nie spostrzegłem, kiedy wślizgnęła się do mesy. Pobrała z dystrybutora porcję żywności i usiadła naprzeciwko mnie.

– No cóż, jedzenie na statkach zwiadowczych nie należy do najlepszych – powiedziałem z lekkim uśmiechem. – Na pewno lepiej karmią w hotelach na Omikronie.

Zakłopotana kobieta przygryzła dolną wargę, a ja wiedziałem już, że cios wymierzony został celnie. Omikron to oddalony zaledwie o szesnaście lat świetlnych od Słońca potrójny układ gwiazdny, wokół którego orbitują trzy planety typu ziemskiego. W całym wszechświecie nie odnaleziono do tej pory tak doskonałych warunków do kolonizacji. Na wszystkich planetach jest atmosfera, w której można oddychać bez filtrów, a powierzchnię pokrywają morza i bujna roślinność. Po terraformacji przeznaczono je na luksusowe ośrodki wypoczynkowe dla wysoko postawionych funkcjonariuszy Federacji

Solarnej. Co najmniej dziesięć miliardów ludzi z przeludnionego Układu Słonecznego mogło tam znaleźć dom, ale zbudowano tam raj dla garstki wybrańców.

– Tylko raz tam byłam – próbowała się tłumaczyć Katja, wyczuwszy mój sarkazm. – I nie dlatego, że pozycja mi na to pozwala. Jestem zwykłym naukowcem w stopniu porucznika...

– Więc ktoś cię tam zabrał? – zapytałem, przechodząc z nią na „ty”. Uważałem, że w kosmosie wszelkie konwenanse są zbędne.

– Owszem – odparła.

– Mężczyzna? – Uniosłem lekko brew. – Masz wysoko postawionego kochanka.

– Jeśli już musisz wiedzieć, to była kobieta – odparła Katja bez zażenowania.

Uśmiechnąłem się w duchu. Nasza pani naukowiec preferowała kobiety, więc starania Gorszkowa i Vargesa szły na marne. A może była biseksualna? Ostatnio znowu zapanowała moda na inne orientacje seksualne, szczególnie wśród elit Federacji Solarnej; najwyraźniej była to odpowiedź na konserwatyzm panujący w dalekich koloniach.

Podbijanie światów i podporządkowywanie sobie natury wzmocniły wśród osadników wiarę w Boga. Surowe warunki, w jakich przyszło im egzystować, spowodowały powrót do praktyk religijnych i do zasad, które wydawało się, bezpowrotnie odeszły i dogorywały zagubione w mroku dziejów. W centrum wszechświata, jakim obecnie był Układ Słoneczny, gdzie elity żyły dostatnio i wygodnie, śmiano się z kolonistów, z ich wierzeń i wartości.

Nie miałem jednak zamiaru dyskutować o preferencjach seksualnych Katji. To była jej sprawa. Postanowiłem zmienić temat.

– Co o tym wszystkim sądzisz?

– Masz na myśli ten sygnał SOS?

Skinąłem głową, a Katja westchnęła, odłożyła plastikowe sztućce i spojrzała mi głęboko w oczy.

– Domyślam się, co to może być za statek – przyznała. – Niewykluczone, że wcześniej wysłano zespoły badawcze do 47 Tucanae. Szczerze mówiąc, zdziwiłabym się, gdyby tak nie było.

– Więc przyznajesz, że to jednostka Federacji?

– Niczego takiego nie powiedziałam – rozzłościła się. – Po prostu uważam, że to bardzo prawdopodobne. – Uśmiechnęła się samymi kącikami ust. – Nie łudzę się, że szefowie mi o wszystkim mówią. Jestem tylko trybikiem w maszynie o nazwie Federacja Solarna.

Przynajmniej знаła swoje miejsce i nie miała wygórowanego poczucia własnej ważności, jak to często było z funkcjonariuszami Federacji.

– I nie martwi cię to, że wysłali cię na pewną śmierć?

Katja zrobiła duże oczy.

– Jak to?!

Oparłem się wygodnie.

– Jeśli rzeczywiście Federacja Solarna wysłała wcześniej ekspedycje do 47 Tucanae, to fakt, że nic o tym nie słyszałaś, oznacza, że wszystkie misje zakończyły się niepowodzeniem. Z dużym prawdopodobieństwem można zatem przyjąć, że załogi statków zginęły.

Katja zmarszczyła czoło i milczała dobrą minutę. Wyglądało na to, że nad czymś się głęboko zastanawia.

– To ma sens – rzekła w końcu. – Tylko dlaczego wysłali mnie akurat z wami?

– Federacyjni decydenci uznali zapewne, że nie ma co ryzykować kolejnych wypraw, w których tracą ludzi, a przede

wszystkim cenny sprzęt, i postanowili posłużyć się zwiadowcami. Pech chciał, że padło na nas.

Kobieta uniosła lekko brew.

– Pech?

– To zależy, jak na to spojrzeć. – Na moich ustach pojawił się lekki uśmiech. – Może się okazać, że twoja wiedza uratuje nam życie.

– Nie błaznuj.

Roześmialiśmy się. Przez kilka minut rozmawialiśmy o błahostkach, o życiu na Ziemi, o nowych rządowych projektach zagospodarowania planet karłowatych w pasie Kuipera, i udało nam się chwilowo zapomnieć o wyprawie do 47 Tucanae.

– Nie rozumiem tylko jednego – rzekłem. – Dlaczego zdecydowali się poświęcić akurat ciebie? Jak zdążyłem się zorientować, jesteś jedną z najlepszych specjalistek w swojej dziedzinie. Prowadzisz ważne badania.

Kobieta pobladła. W jej oczach pojawił się strach.

– Też tego nie rozumiem – wyszeptała.

W tym momencie do mesy wszedł Bahman. Pobrał opakowanie liofilizatów, usiadł obok nas i zaczął jeść. Przez chwilę panowało niezręczne milczenie. Inżynier planetarny nigdy nie był zbyt rozmowny. Najwidoczniej lepiej czuł się w towarzystwie swoich automatów i robotów niż ludzi.

– Jakie narzędzia stosujesz w swoich badaniach? – zapytałem Katję, zmieniając temat. Woląłem nie poruszać pewnych spraw przy Bahmanie.

– Sztuczne sieci neuronowe – odparła. W jej oczach dostrzegłem ulgę, że rozmowa zeszła na inne tory. – To urządzenia naśladujące złożoność ludzkiego mózgu. Ich procesory zachowują się jak neurony, a połączenia między nimi jak synapsy. Programowanie

takiej sieci polega na podawaniu odpowiednich reguł określających wagę połączeń między procesorami.

– Masz na myśli perceptron? – wtrącił Bahman. – Stosowany jest w programowaniu Goliatów.

Skrzywiłem się. Nienawidzę maszyn. Szczególnie tych humanoidalnych. Czuję się źle w ich towarzystwie. Wydaje mi się, że w ich pustych, metalicznych oczach czai się złośliwa inteligencja i tylko czekają, by wyrządzić człowiekowi krzywdę.

Goliaty to dwukrotnie przewyższające człowieka humanoidalne roboty do prac na powierzchni planet. Są drogie, ale warte swojej ceny. Na pokładzie Selene mieliśmy takie dwa.

– Perceptron? – zapytałem.

– To najprostsza sieć neuronowa – pospieszyła z odpowiedzią Katja. – Perceptron zbudowany jest z jednokierunkowych połączeń między warstwami neuronów i wyposażony w algorytm uczenia się z nadzorem, wykorzystujący proces wstecznej propagacji błędów. Robot szkolony jest na odpowiednich danych, aż osiągnie zadowalającą sprawność. Dzięki temu Goliaty są w stanie wykonywać najprostsze czynności bez konieczności ciągłego ich kontrolowania.

– Durne blaszaki – wybąkałem, narażając się na surowe spojrzenie Bahmana.

Katja roześmiała się i mówiła dalej:

– Ale stosowane są również inne sieci neuronowe, które zamiast uczyć się pod nadzorem, potrafią znajdować odpowiedzi, kształcą się samodzielnie. Nikt nie podaje sieci poprawnego rozwiązania, tymczasem algorytm komputerowy rozwiązuje problem, korzystając z informacji zaczerpniętych ze świata zewnętrznego.

– Nie spotkałem tego typu rozwiązań w programowaniu autonomicznych robotów – zdziwił się Bahman.

– Na razie są w fazie testów – wyjaśniła Katja. – W instytucie prowadzimy badania mające na celu ich wdrożenie. Niestety sieci uczące się bez nadzoru mają wady. Działają powoli i niedokładnie. Rozpoznają ogólne cechy zbiorów danych, lecz jeszcze nie wiedzą, które cechy są szczególnie ważne i na które należy zwrócić uwagę.

– Gdzie takie rozwiązania znalazłyby zastosowanie? – spytałem.

– Przede wszystkim w autonomicznych robotach typu Goliat, które mogłyby samodzielnie wykonywać misje na obcych globach. Pracujemy również nad wykorzystaniem samouczących się sieci neuronowych w różnego rodzaju systemach, które wymagają nie tylko szybkich obliczeń arytmetycznych, ale również rozpoznawania i kojarzenia informacji oraz klasyfikowania danych.

– Jak rozumiem, chcecie zupełnie wyeliminować czynnik ludzki.

– Nie do końca – rzekła z wahaniem. – Tylko tam, gdzie to niezbędne.

– Uważam, że to niebezpieczne.

– Niebezpieczne? – prychnęła Katja. – Wręcz przeciwnie! Zastosowanie tego typu rozwiązań w dyspozytorni wrót skróciłoby czas oczekiwania na wejście do tuneli czasoprzestrzennych o blisko osiemdziesiąt procent, a co za tym idzie, ograniczyłoby błędy ludzkie, w wyniku których co roku dochodzi do blisko setki kolizji. – Jej oczy błyszczały, przypominała idealistów wierzących, że świat można uczynić lepszym. – Wyobraź sobie statki badawcze wyposażone w systemy komputerowe, które nie tylko potrafią zliczać, segregować i analizować dostarczone dane, ale również samodzielnie wyciągać wnioski. Działałyby zupełnie autonomicznie. Na misje wysyłano by statki bezzałogowe w najniebezpieczniejsze rejony kosmosu.

– Chcesz odebrać zwiadowcom pracę?

– Nie – odparła. – Wiesz jednak dobrze, ilu zwiadowców ginie każdego dnia w tunelach czasoprzestrzennych. Takie rozwiązania zminimalizowałyby straty w ludziach.

– I pozbawiły wyprawy gwiazdne całego uroku. – Uśmiechnąłem się. – To właśnie adrenalina i balansowanie na granicy życia i śmierci pchają śmiałków do ciągłego poszerzania granic. Zawsze tak było. Od początku świata. To straceńcy, wariaci i wszelkiej maści desperaci odkrywali nowe lądy. Starożytnych żeglarzy pobudzało do czynu pragnienie poznania tego, co znajduje się po drugiej stronie morza. Wikingowie, chcąc udowodnić swoją odwagę, pchali się tam, gdzie jeszcze nikt nie dopłynął. A Krzysztof Kolumb był najbardziej szalony ze wszystkich. Wierzył, że płynąc na zachód, uda mu się dotrzeć na wschód, i dzięki temu odkrył Amerykę.

– Nie zapominaj jednak, że starożytni szukali nowych rynków zbytu, wikingowie to wygnańcy, których nikt nie chciał w Norwegii, a Kolumb pragnął odkryć nową drogę do Indii dla zysków. Wszystko miało swój ekonomiczny wymiar. Podobnie jest teraz. Czy zwiadowcy odkrywają nowe planety dla samej satysfakcji? Nie. Robią to dla pieniędzy, prawda?

Z niechęcią musiałem przyznać jej rację.

– A gdy uda nam się uzyskać zadowalające wyniki w pracach nad sieciami neuronowymi i zainstalować je wszędzie, gdzie to możliwe, zwiększy się nie tylko nasze bezpieczeństwo, ale również skuteczność działania. Dzięki wyeliminowaniu typowo ludzkich błędów i całego bagażu niepotrzebnych emocji nastąpi skok cywilizacyjny.

– Chcesz wykorzystania sieci neuronowych nawet w wojskowości?

– Tak!



– A nie obawiasz się, że taki system, pozbawiony ludzkiej kontroli i empatii, dysponujący za to arsenałem broni, uzna ludzkość za zagrożenie?

Katja roześmiała się, a Bahman jej zawtórował.

– Naoglądałeś się za dużo starych filmów science fiction! – rzekł inżynier. – To byłoby nielogiczne. Algorytmy nie pozwolą na takie rozwiązanie. Tylko człowiek jest zdolny do irracjonalnych zachowań. A takim przecież jest zabijanie.

Nie byłem przekonany.

– Prace nad sieciami neuronowymi mają za zadanie stworzenie czegoś w rodzaju sztucznej świadomości, a co za tym idzie, sposobu rozumowania żywej istoty. Więc skąd pewność, że powołany do życia twór nie będzie miał cech irracjonalnych?

Uśmiech wygasł na ich twarzach. Spojrzeli po sobie. Bahman wzruszył ramionami i wrócił do posiłku. Katja przygryzła dolną wargę i zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Na razie naukowcy nie są nawet zgodni co do jednej, precyzyjnej definicji świadomości – rzekła w końcu. – Czy mamy przypisać świadomość jakiemuś homunkulusowi rezydującemu w mózgu i obserwującemu wszystkie nasze przeżycia? Czy możemy opisać świadomość w sposób fizjologicznie spójny i jednolity?

Podrapałem się po głowie, nie znajdując odpowiedzi na te pytania. Zresztą były one retoryczne.

– Pojęcie świadomości może oznaczać wiele stanów, od zdawania sobie sprawy z istnienia otoczenia, poprzez istnienie samego siebie, aż do świadomości samego siebie – mówiła dalej. – Samoświadomość to też zdawanie sobie sprawy z doświadczanych doznań, emocji i potrzeb. A w takim kontekście mająca samoświadomość sieć neuronowa rzeczywiście może reagować

zupełnie jak człowiek. Ale czy to od razu oznacza, że będzie zachowywała się irracjonalnie?

– Ludzie kierują się przede wszystkim emocjami.

– Nie. – Pokręciła głową. – Ludźmi kieruje instynkt przetrwania.

Gdyby nie on, już byśmy się pozabijali.

– I sądzisz, że tak powstały twór będzie miał ów instynkt?

– Myślę, że tak.

– Instynkt przetrwania jest związany z biologią, zakorzeniony w naszych genach, tkwi w tkankach i dziedziczymy go po przodkach.

Katja machnęła ręką.

– Na razie i tak nie ma się czym martwić. Nikomu jeszcze nie udało się skonstruować sztucznej świadomości.

Zmrużyłem oczy, uważnie przyglądając się kobiecie.

– Ale pracujecie nad tym?

– Mój wydział bezpośrednio się tym nie zajmuje... – Zawiesiła głos. – Ale tak, taki projekt istnieje.

– Też o nim słyszałem – rzekł Bahman. – Ale z tego, co mi wiadomo, w tej dziedzinie naukowcy dopiero raczkują i nie spodziewałbym się jakichkolwiek efektów wcześniej niż za dwie, może nawet trzy dekady. Tak więc na razie pozostaje nam ręczne programowanie automatów.

– A jeśli pojawi się samoistnie? – zapytałem.

Inżynier wzruszył ramionami.

– Wówczas będziemy się martwić.

Zmieniliśmy temat i rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o tajemniczym sygnale SOS. Nie chcieliśmy poruszać tego zagadnienia. Katja wypytała nas o organizację pracy na statku i zasady korzystania z pamięci komputera pokładowego do prowadzenia własnych badań. Jej miały polegać na zapisywaniu

uzyskanych danych i przeprowadzaniu symulacji kognitywistycznych. Niewiele z tego rozumiałem, ale pomocny okazał się tu Bahman, który znał się na tym lepiej ode mnie. Dlatego też w pewnym momencie przeprosiłem ich i wyszedłem z mesy.

Skierowałem się na mostek, licząc na to, że zastanę tam Vargesa i będziemy mogli dokończyć rozmowę. Byłem przekonany, że zna prawdziwego agenta Federacji. A ja musiałem jak najprędzej dowiedzieć się, kto to jest. Chodziło nie tylko o moją misję, ale też o bezpieczeństwo całej załogi.

Na mostku oprócz Vargesa zastałem również Thorssena i Szenraba. Astrofizyk przedstawiał dowódcy dane systemu planetarnego błękitnego marudera i przekonywał go, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wyglądało bowiem na to, że planety krążące wokół gwiazdy powinny być bogate w złoża. Thorssen kręcił nosem i najwyraźniej nie był przekonany. Trudno było mu się dziwić – wszystko, co sobie zaplanował, zostało postawione do góry nogami.

Nie chciałem wdawać się z nimi w dyskusję, więc po cichu wycofałem się na korytarz i poszedłem do swojej kajuty. Selene miała dotrzeć do celu dopiero za osiem godzin. Postanowiłem przeznaczyć ten czas na sen. W ostatnich latach nauczyłem się, że należy wykorzystywać każdą okazję ku temu. Przeczuwałem, że po dotarciu do błękitnego marudera wypadki potoczą się tak szybko, że później nie będę miał na to czasu.

Nie pomyliłem się.

## Rozdział 5

Ze snu wyrwał mnie dźwięk komunikatora wzywającego całą załogę na mostek. Przetarłem zaspane oczy i przez chwilę siedziałem na pryczy, usiłując przypomnieć sobie, gdzie jestem. Gdy już przegoniłem resztki snu, wstałem z ciężkim westchnieniem, szybko doprowadziłem się do porządku i wyszedłem z kajuty. Na korytarzu spotkałem Gorszkowa. Uśmiechnął się jowialnie i spytał, jak mi się spało.

Większość astronautów podczas pierwszych dwóch dni w kosmosie odczuwa różnorakie dolegliwości. Miewają nudności, problemy ze snem, złe samopoczucie, a czasami nawet stany depresyjne. Odpowiadają za to aspekty psychologiczne. Człowiek zostaje wyrwany z pierwotnego habitatu, jakim jest Ziemia. Olbrzymie znaczenie ma również brak promieni słonecznych.

Na szczęście po kilku dniach organizm się przyzwyczaja i zaczyna funkcjonować w nowych dla siebie warunkach. Ludzka umiejętność dostosowania się jest niesamowita.

Podczas moich podróży trafiałem na stacje orbitalne krążące wokół brązowych karłów. Koloniści całe życie przebywali tam na ograniczonej przestrzeni, a światło generowane było sztucznie. Widziałem ludzi mieszkających na platformach, które unosiły się na falach ciekłego metanu na powierzchniach gazowych olbrzymów. Widziałem kolonie założone na błotnych księżycach i osady zakopane w piaskach pustynnych planet, na których wiecznie szalały burze. Widziałem stacje orbitujące wokół

czerwonych nadolbrzymów, które znajdowały się w stadium utraty swojej otoczki i w każdej chwili mogły się zamienić w supernowe. Widziałem osady na planetach krążących wokół pulsarów, stale naświetlane potężnymi dawkami promieni rentgenowskich. Słyszałem o szaleńcach, którzy próbowali zamieszkiwać globy krążące wokół gwiazd neutronowych i magnetarów. Z tego, co mi wiadomo, nikt tam nie przeżył.

Wszyscy ci ludzie wierzyli, że opuszczają Ziemię, by wieść lepsze życie, z dala od przeludnionych miast, głodu i biedy. Zaufali korporacyjnym agitatorom obiecującym im raj, a trafili do piekła. Mieli uprawiać ziemię na nowych planetach, zakładać hodowle, trudnić się górnictwem i bogacić na wydobywaniu cennych surowców. Tymczasem zostali sprowadzeni do roli niewolników harujących od rana do nocy i oddających niemal wszystkie zyski korporacyjnym poborcom. Zatem trudno się dziwić, że każdego miesiąca wybuchały rebelie, kolonie ogłaszały niepodległość i powoływały własne rządy. A Federacja Solarna, dbając o interesy korporacyjne, wysyłała wojsko do tłumienia buntów. Ale im bardziej zaciskała pięść, tym więcej systemów gwiazdnych uciekało. Z roku na rok przybywało separatystów, którzy działając wspólnie, stawali się coraz silniejsi.

Powiedziałem Gorszkowowi, że spało mi się dobrze. I była to prawda. To ciekawe, ale podczas podróży kosmicznych nie mam problemów ze snem. Gdzie indziej przewracam się w łóżku z boku na bok dręczony natłokiem myśli, tymczasem w pustce kosmosu, w obliczu milczącego wszechświata, ogarnia mnie spokój. Wszystko wydaje się prostsze, bardziej zrozumiałe i łatwiejsze do zaakceptowania. Podróżując w przestrzeni międzygwiazdnej, czuję się, jakbym był częścią tej olbrzymiej struktury, większej całości, a błahe egzystencjalne sprawy schodzą na dalszy plan. Niestety,

zwykle ten stan nie utrzymuje się długo i jestem sprowadzany na ziemię.

– Cieszę się, że zdołałeś przespać te kilka godzin – rzekł Gorszkow z nutką zazdrości w głosie. – Ja nie mogłem zasnąć.

– Bezsенność?

– Na to wygląda – westchnął. – Klasyczny przypadek insomnii.

– Zawsze możesz wziąć coś na sen...

Gorszkow prychnął.

– Nie chcę się truć pigułkami.

– I to mówi lekarz? – rzuciłem z ironią.

– Większość tego typu leków to placebo. – Machnął lekceważąco dłonią. – Pacjentowi wmawia się, że pigułka polepszy jego stan psychiczny i jakość snu. A on szczerze w to wierzy. Siła placebo polega na rytuale związanym z samym podawaniem farmaceutyku. W mózgu uwalniają się związki chemiczne, które wspomagają proces leczenia.

Spojrzałem na niego spode łba.

– Zatem nie rozumiem, po jaką cholere trzymamy cię na Selene.

Odpowiedział wielkim uśmiechem.

– Sama moja obecność uruchamia w waszych mózgach odpowiednie mechanizmy sugestii – rzekł. – Lekarz na pokładzie działa uspokajająco. Badania wykazały, że biały fartuch i stetoskop potrafią wywołać zaskakująco skuteczny efekt placebo.

– Przypomnij mi, żebym nigdy się u ciebie nie leczył.

Gorszkow roześmiał się. Ale uśmiech wygasł na jego ustach, jakby nagle przypomniał sobie o czymś nieprzyjemnym. I tak właśnie było.

– Wyśpię się, jak wrócimy z tej cholernej wyprawy – powiedział.

– Jak myślisz, co tam znajdziemy?

– Zaraz się przekonamy – odparłem, naciskając przycisk otwierający drzwi.

Chcieliśmy wejść do środka, ale nagle obaj przystanęliśmy w progu. Przeraziło nas to, co zobaczyliśmy. Mostek zalany był upiornym błękitnym światłem sączącym się przez iluminator. Każdy kawałek przestrzeni, każdy kąt, każdy przedmiot i człowiek był w nim skąpany, otoczony zimną, nierealną poświatą, która – jak się zdawało – wysysała z nich energię. Cofnąłem się o krok i zapragnąłem uciec. Chciałem wyjść, zamknąć za sobą drzwi i już nigdy ich nie otwierać. Opanowałem się jednak. Wzięłem głębszy oddech i śmiało wkroczyłem do środka.

W miarę jak się zbliżałem do iluminatora, błękitna poświata najpierw delikatnie musnęła moją dłoń, a potem zaczęła pełznąć po uniformie. W pierwszym odruchu chciałem ją z siebie strząsnąć jak obrzydliwą chmurę robaków, które jakimś sposobem mnie oblażyły, ale zaraz uświadomiłem sobie, że to nic nie da. Wstręt jednak wniknął głęboko do mojej jaźni. Poczułem, jak coś zimnego i nieludzkiego przenika moją skórę, kotwiczy w każdej komórce ciała i wdiera się do zakamarków duszy, chcąc tam pozostać na zawsze. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłem.

Dominowało wrażenie obcości, jakbym nagle zetknął się z czymś, co nie jest częścią naszego wszechświata. Mógłbym przysiąc, że upiorne błękitne światło utkane jest z cząstek, które nie powinny w ogóle istnieć w tej przestrzeni i czasie. Przekonany byłem, że wdarło się tutaj, nieproszone, z innego wymiaru, zupełnie dla mnie niezrozumiałego i przerażającego.

Zmusiłem się, żeby podnieść głowę i spojrzeć na gwiazdę. Przytłaczała swoją wielkością, wypełniając niemal cały iluminator. Zdawało się, że oprócz niej nic we wszechświecie nie istnieje.

Rozejrzałem się. Wszyscy z trwogą spoglądali na gwiazdę najwyraźniej pogrążeni w jakimś hipnotycznym transie.

– Nie wygląda przyjaźnie – szepnął stojący obok Gorszkow.

Przyznałem mu rację.

– Sygnał dochodzi z orbity pierwszej z dwóch planet krążących wokół gwiazdy – oznajmił Vargas wpatrzony w przyrządy pomiarowe. Jako jedyny nie zwracał uwagi na emanującego dziwnym blaskiem błękitnego marudera. – Czujniki nie rozpoznają sygnatury statku.

– Dlaczego? – spytał Thorssen, odrywając wzrok od iluminatora.

– Jesteśmy za daleko?

– Nie. – Pilot pokręcił głową. – Mają maskowanie.

Komandor zaklął wściekle. Dobrze wiedział, co to oznacza. Maskowanie stosowane było tylko przez okręty sił federacyjnych. Pozwalało ukryć przed elektronicznymi czujnikami wielkość statku kosmicznego, jego rodzaj i klasę napędu. Maskowanie stosowały też jednostki wojenne separatystów, ale zdarzało się to sporadycznie ze względu na olbrzymie koszty montażu takiej technologii.

– Rozpoznanie możemy dokonać jedynie wzrokowo – rzekł Vargas. – A to oznacza...

– Wiem, co to oznacza – komandor przerwał mu szorstko. Ponownie wbił wzrok w iluminator. Na jego czole pojawił się głęboki mars i zdawało się, że w oczach widać lęk.

Ten potężny mężczyzna, potomek niezłomnych wikingów, który uczestniczył już w dziesiątkach wypraw, wielokrotnie stając oko w oko ze śmiercią, najzwyczajniej w świecie się bał. Teoretycznie nic nam nie zagrażało. Niebezpieczeństwo nie było realne, ale wszyscy czuliśmy, że czai się gdzieś na granicy rzeczywistości.



Thorsen zapewne wolałby teraz być po drugiej stronie gromady kulistej, jak najdalej od tej jaśniejącej błękitem gwiazdy. Spodziewałem się, że zaraz wyda rozkaz zawrócenia statku i opuszczenia tego upiornego miejsca.

– Namierz źródło sygnału – rozkazał zachrypniętym głosem. – A potem wyznacz koordynaty lotu i skieruj tam Selene.

– Tak jest – rzekł Vargas, uruchamiając po kolei wszystkie procedury.

Silniki anihilujące materię znowu zaczęły pracować i Selene nieubłaganie zbliżała się do błękitnego marudera. Według wyliczeń lot powinien potrwać trzydzieści sześć minut, zatem nie było sensu opuszczać mostka. Zajęliśmy miejsca w fotelach, w napięciu oczekując dalszego rozwoju wydarzeń.

Panowała cisza. Pogrążeni w myślach staraliśmy się nie spoglądać w iluminator. Nie patrzeć na przyprawiającą o gęśią skórę gwiazdę. Wbijaliśmy wzrok w przyrządy pomiarowe lub stalowe ściany statku.

Po kilku minutach Vargas musiał przejść na ręczne sterowanie, ponieważ Selene znalazła się nagle w pasie planetoid orbitujących na obrzeżach systemu.

– Co to, do cholery, jest? – zapytał Bahman.

– Prawdopodobnie pozostałości dysku protoplanetarnego – pospieszył z odpowiedzią Szenrab, który nie mógł sobie odmówić przyjemności wygłoszenia wykładu z astrofizyki. – Przed miliardami lat znajdowało się tutaj zagęszczenie pyłów i gazów, lecz gdy tylko gwiazda się uformowała, z połączenia drobin w większe fragmenty powstała cała grupa dużych ciał niebieskich. Potem rozpoczął się proces tworzenia planet, a materia, która nie weszła w ich skład, została wyrzucona na obrzeże układu i znalazła się tutaj.

– To coś takiego jak pas Kuipera w Układzie Słonecznym?

– Dokładnie.

Orbitujące ciała niebieskie przyćmiły upiorne światło gwiazdy i niebieska poświata przestała się sączyć przez iluminator. Od razu poczułem się lepiej i podniosłem głowę, podziwiałem mijane obiekty. Przestrzeń była nimi usiana. Przypominały pszczoły w ulu, które latały w sobie tylko znanym kierunku. Olbrzymie głazy wirowały, szybowały, zderzały się ze sobą. Na moje oko w pasie znajdowało się kilkaset tysięcy planetoid, komet i planet karłowatych, których średnica wahała się od metra do tysiąca kilometrów.

W tak wielkim skupisku materii dostrzegłem planetoidy o szkarłatnym zabarwieniu będącym skutkiem promieniowania kosmicznego. One poruszały się majestatycznie – w przeciwieństwie do różnego rodzaju plutonek, twain i cubewan szybujących w przestrzeni z zawrotną prędkością, jakby je wystrzelono z katapuły.

Varges wykazywał się wielkim kunsztem, w porę omijając większe ciała niebieskie znajdujące się na kursie Selene. Te mniejsze neutralizował reflektor fotonowy zamontowany na kadłubie i czyszczący drogę przed dziobem. Od czasu do czasu jakiś odłamek skalny zdołał się jednak przedostać i z olbrzymią siłą uderzał w statek. Wówczas rozlegał się huk, a my zamieraliśmy w przestraszu. Na szczęście poszycie było z solidnego materiału.

Mijaliśmy również komety ciągnące za sobą długie warkocze gazu i pyłu. Kilka z nich dostanie się kiedyś w pole grawitacyjne jednej z dwóch planet układu i rozpadnie w atmosferze. Reszta skończy żywot w sercu rozpalonej gwiazdy.

Nagle mostek pograżył się w ciemnościach, a ciszę rozdarł sygnał alarmowy. W pierwszej chwili pomyślałem, że któryś

z odłamków skalnych przebił poszycie kadłuba, lecz nie było słyhać żadnego wybuchu. Zerknąłem na wskaźniki rozhermetyzowania, ale pokazywały, że wszystko jest w porządku. Przeniosłem spojrzenie na iluminator i wtedy ją spostrzegłem.

Olbrzymia bryła lodowa w kształcie elipsoidy wychynęła spośród pyłu i niewielkich odłamków skalnych. Pojawiła się tuż przed dziobem Selene i mknęła prosto na nas. Nic dziwnego, że czujniki na kadłubie statku natychmiast wykryły niebezpieczeństwo i zawył alarm.

Katja krzyknęła przerażona, siedzący obok mnie Szenrab chwycił mocno oparcie fotela, Abraham zaczął się głośno modlić i tylko Thorssen spokojnie wydawał rozkazy Vargesowi. Jednak pilot sam wiedział, co ma robić. Natychmiast odbił sterami, jednocześnie zwiększając moc silników, aby wyprowadzić Selene z kursu kolizyjnego. Na jego czole pojawiły się kropelki potu, których nie miał jak otrzeć, cały czas bowiem trzymał dłonie na sterach.

Ponuro spoglądałem w iluminator. Rosnący w oczach obiekt wyglądał niczym wirujące jajko, o które zaraz mieliśmy się roztrzaskać. Przez głowę przebiegło mi, że jakaś potężna, nieznana siła postanowiła nas zniszczyć. Wszystko po to, żebyśmy nie dostali się do tego układu gwiazdowego i nie poznali jego tajemnicy. Jeśli rzeczywiście błękitny maruder wykazuje procesy myślowe i jest obdarzony samoświadomością, to mogła to być jego sprawka. Potrząsnąłem głową, próbując się uwolnić od tej irracjonalnej myśli.

Varges wykorzystał całą moc silników manewrowych Selene i siła ciężenia wbiła mnie w fotel. Odruchowo przymknąłem powieki. Oczyma wyobraźni widziałem, jak roztrzaskujemy się o lodową bryłę, a ona zabiera nasze życia i zupełnie się tym nie

przejmując, wiruje dalej w rytm kosmicznego walca. Zdałem sobie sprawę, że mało znaczymy na tle ogromu wszechświata. Że jesteśmy zaledwie pyłkiem, okruchem, który dostał się w tryby mechanizmu funkcjonującego od miliardów lat. Ta lodowa skała krążyła tutaj na długo przed tym, gdy człowiek podniósł oczy na gwiazdy, i krążyć będzie jeszcze długo po tym, gdy po naszej rasie zostanie tylko wspomnienie.

Kiedy już pogodziłem się ze śmiercią, alarm nagle przestał wyć. Ostrożnie uniosłem powieki i ujrzałem, jak Selene o włos mija bryłę lodu, co w skali kosmosu oznaczało dziewięć kilometrów. Mimo tak wielkiej odległości wydawało mi się, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym jej dotknąć. Niemal fizycznie czułem bijące od niej zimno i moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Uspokoilem się dopiero, gdy świecąca białym blaskiem ogromna bryła minęła nas i pomknęła dalej w kosmos.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, zupełnie sparaliżowani, jakbyśmy dopiero budzili się z sennego koszmaru.

– Co to, kurwa, było?! – wyrzucił z siebie Abraham.

– Planeta karłowata – odparł Szenrab, ocierając pot z czoła.

– Co?!

– To kategoria ciał niebieskich krążących w pasach planetoid na dalekich orbitach gwiazd – rzekł astrofizyk. – Coś między planetą a małym obiektem astronomicznym. I bynajmniej nie zalicza się do planet.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie jest satelitą ciała niegwiazdowego, a w pobliżu jego orbity są nadal inne względnie duże obiekty. – Szenrab przerwał na moment i raz jeszcze otarł pot z czoła. – Ma jednak wystarczającą masę, żeby wytworzyć kształt odpowiadający równowadze hydrostatycznej. W praktyce oznacza to, że musi

przybrać postać zbliżoną do kuli lub, z czym mieliśmy do czynienia w tym wypadku, szybko wirującej elipsoidy. Dlatego właśnie nazywamy taki obiekt planetą karłowatą.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – rzekł Abraham.

– Czyżby? – Astrofizyk skrzywił usta w ironicznym uśmiechu. – A Pluton, Haumea, Makemake z pasa Kuipera? Ceres z pasa głównego? Eris z dysku rozproszonego? One wszystkie znajdują się w Układzie Słonecznym.

– Myślałem, że to planetoidy.

– Planetoidy są mniejsze i nie mają kulistych kształtów.

Gdy mężczyźni dyskutowali o astronomii, ja z niepokojem spoglądałem w iluminator, wypatrując innych tego typu niespodzianek. Niejednokrotnie przelatywałem przez pasy planetoid i dyski protoplanetarne, ale w żadnym z nich ciała niebieskie nie były tak skupione i żaden nie stanowił tak wielkiego zagrożenia.

Na szczęście po siedmiu minutach Selene opuściła niebezpieczny obszar i teraz z szybkością dochodzącą do jednej czwartej prędkości światła pędziła ku miejscu, z którego dochodził sygnał SOS. Niestety, wraz z opuszczeniem pasa planetoid błękitna poświata znowu zalała mostek. Zmrużyłem oczy, starając się ją ignorować.

Układ planetarny błękitnego marudera był mały jak na standardy kosmiczne. Pas planetoid, który minęliśmy, znajdował się zaledwie dwieście sześćdziesiąt milionów kilometrów od gwiazdy. Niedługo mieliśmy przecinać orbitę dalszej z dwóch planet, tej, która krążyła wokół marudera w odległości stu osiemdziesięciu pięciu milionów kilometrów. Można ją już było dostrzec przez iluminator. Z daleka nie wyróżniała się niczym na tle jaśniejszych gwiazd.

– Daj zbliżenie – dowódca zwrócił się do Abrahama, który zajmował miejsce przy konsoli badawczej.

Geolog skinął głową i przełączył obraz z kamer na trójwymiarowy hologram, który pojawił się pośrodku mostka. Ujrzeliśmy planetę w pełnej okazałości. Na ustach Thorssena wykwitł grymas zawodu.

Okazało się, że to gazowo-lodowy olbrzym lśniący cyjanowym blaskiem. Jego atmosfera oprócz wodoru i helu musiała zawierać również amoniak i metan. Komputer wyrzucał kolejne dane na temat planety. Była większa od Ziemi, niemal trzynastokrotnie, zbudowana głównie z lodu i skał, a w górnych warstwach atmosfery występowały bardzo silne wiatry. Osiągały prawie tysiąc kilometrów na godzinę i tworzyły olbrzymie antycyklony widoczne na cyjanowej tarczy planety.

Nie było mowy o bezpiecznym lądowaniu na takim globie, nie mówiąc już o jego zasiedleniu. Jedyne pocieszenie stanowiło to, że przypominał Urana i Neptuna, a na nich występowały oceany roztopionych diamentów. Niemniej ich wydobycie było niezwykle trudne i mogło się okazać, że koszty eksploatacji przewyższają potencjalne zyski.

– Planeta ma cztery księżyce – rzekł pocieszająco Abraham, widząc minę Thorssena. – Może one będą się nadawać do kolonizacji lub eksploatacji. Znajdują się przecież w ekosferze.

Komandor zmrużył oczy, próbując dostrzec naturalne satelity krążące wokół gazowo-lodowego olbrzyma, ale odległość była zbyt wielka, żeby cokolwiek zauważyć. Westchnął ciężko i dłuższą chwilę nad czymś się zastanawiał. Podejrzewam, że rozważał wysłanie sond, jednak mieliśmy ograniczoną ich liczbę. Naszym celem była planeta krążąca bliżej gwiazdy i tam sondy mogły być

bardziej potrzebne. Zapewne dowódca doszedł do takiego samego wniosku, bo kazał wyłączyć kamerę i głębiej zanurzył się w fotel.

Czuć było wręcz bijącą od niego wściekłość. Wyprawa, która miała mu przynieść fortunę, powoli zmierzała ku katastrofie. Najpierw musiał przyjąć na pokład federacyjnego naukowca, co samo w sobie nie było wielkim obciążeniem, ale wprowadziło zamęt. Następnie zmuszony był odpowiedzieć na sygnał SOS dochodzący z sektora gromady kulistej 47 Tucanae, który wydawał się mało atrakcyjny. I niewykluczone, że po akcji ratunkowej będzie musiał natychmiast wracać do Układu Słonecznego ze względu na rannych wymagających hospitalizacji. Federacja Solarna zwracała w takich wypadkach wszelkie koszty, ale nikt nie odda pieniędzy za zmarnowany czas. Komandor mógł tylko liczyć na to, że równoległe z akcją ratunkową będziemy mieli czas zbadać ten system. Żywił nadzieję, że druga planeta okaże się bardziej przyjazna i bogatsza w zasoby.

– Za kwadrans wejdziemy na orbitę – oznajmił Vargas, wbijając koordynaty lotu i przechodząc na automatyczne sterowanie.

Thorssen skinął głową. Pozostało jedynie czekać.

Selene w błyskawicznym tempie zbliżała się do celu i nie musieliśmy korzystać z kamer, by ujrzeć rosnącą w oczach planetę. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy naszym oczom ukazał się glob o turkusowo-białym zabarwieniu, co mogło wskazywać na obecność chmur, a zatem również atmosfery i wody.

Według wstępnych danych z czujników planeta była półtora raza większa od Ziemi, ale zaledwie jeden koma dwa razy od niej masywniejsza, co oznaczało, że nie powinniśmy mieć na niej większych problemów z grawitacją.

Kto wie? Może na powierzchni znajdziemy wodę, a warunki do życia okażą się dobre? Planeta otrzyma wtedy wysoką ocenę w skali

światów nadających się do kolonizacji i Thorssen zgarnie za to niezłą premię. Spojrzałem na komandora i zobaczyłem w jego oczach błysk.

Varges ponownie przejął stery. Selene wchodziła na orbitę planety. Widać już było powierzchnię globu i unoszące się nad nią białe obłoki. Zmrużyłem oczy i zacząłem wypatrywać wzywającego pomocy statku, ale na razie nigdzie go nie widziałem.

– Sygnał dochodzi z drugiej strony planety – oznajmił Varges.

Selene poruszała się teraz równoległe do jej powierzchni.

Katja pierwsza zwróciła naszą uwagę na jakiś obiekt dryfujący w przestrzeni. Z daleka trudno było określić, co to jest, więc Varges natychmiast skierował tam statek.

– Włączyć kamery! – rozkazał Thorssen i na hologramie ukazał nam się statek kosmiczny, a raczej jego wrak. To była jednostka badawcza wielkości Selene i należała do Federacji Solarnej. Wskazywały na to numer seryjny widoczny na roztrzaskanej burcie i stalowa barwa kadłuba. Niezależni zwiadowcy malowali swoje statki różnokolorowymi farbami i umieszczali na nich rysunki, żeby jak najbardziej się wyróżniały. Nadawali im nawet nazwy. Federalni w tym względzie nie mieli za grosz fantazji. Wszystkie statki danego typu były praktycznie jednakowe i rozpoznać je można było tylko po numerze seryjnym.

Byliśmy w szoku. Podejrzewaliśmy, że sygnał SOS został nadany przez statek Federacji Solarnej, który przybył do gromady kulistej 47 Tucanae w tajemnicy, by prowadzić badania nad fenomenem błękitnych maruderów, ale sądziliśmy, że jednostka utknęła tutaj ze względu na uszkodzenie silników, pierścienia indukującego lub systemów podtrzymywania życia. Tymczasem ujrzeliśmy wrak podziurawiony niczym szwajcarski ser. W burcie ziała olbrzymia dziura, z pierścienia pozostał jedynie sterczący nad kadłubem



kikut, a rufa praktycznie nie istniała. Statek był kompletnie rozhermetyzowany i trudno było się spodziewać, że ktoś z załogi przeżył.

– Co tu się stało? – wyszeptał poblady Gorszkow.

– Musiał w niego trafić jakiś meteoroid – odparł Szenrab. – Chociaż prawdopodobieństwo takiej kolizji jest znikome.

– I spowodowałyby takie uszkodzenia?

– Wystarczy kilogramowy meteoroid uderzający z szybkością dziesięciu kilometrów na sekundę, żeby dokonać sporych zniszczeń na kilkutonowym statku.

– Ale tych uszkodzeń jest więcej.

Szenrab wzruszył ramionami.

– Może to był deszcz meteoroidów?

– Nie – wtrącił się Vargas. – Ta jednostka została ostrzelana.

Wszyscy w zdumieniu spojrzeli na pilota. Ja nie zdziwiłem się wcale. Wiedziałem to, gdy tylko kamera pokazała zniszczony statek.

– Niektóre uszkodzenia spowodowały rakiety, inne wskazują na użycie wiązek promieni laserowych – pilot fachowo ocenił efekty. – Ktoś w nich wpakował całkiem spory arsenał.

– Tylko kto?! – spytał zdenerwowany Abraham.

Trzeba przyznać, że sytuacja robiła się coraz bardziej interesująca. Na orbicie nieznanej planety dryfował statek badawczy, który z niewiadomych przyczyn został ostrzelany.

– Spójrzcie! – krzyknęła Katja, wskazując na iluminator. – Tam jest jeszcze jeden.

Thorssen osobiście przestawił kamery na drugi obiekt. Szeroko otworzyliśmy oczy ze zdumienia. W przestrzeni kosmicznej dryfował kolejny zniszczony statek. Przypominał pierwszy, ale

trudno było stwierdzić, czy to ten sam typ, gdyż wrak był w jeszcze gorszym stanie.

– Powybijali się nawzajem? – Abraham rzucił pytanie w przestrzeń.

– Niemożliwe – odparł Vargas. – Obie jednostki to statki badawcze i nawet jeśli założymy, że pracowały dla wojska, to nie sposób na nich zamontować wyrzutni rakiet. Co najwyżej mogły dysponować lekkim działem laserowym na dziobie. Tymczasem uszkodzenia wskazują na użycie broni ciężkiej.

– A zatem kto to zrobił?

Oderwałem wzrok od hologramu i spojrzałem przez iluminator. Zbladłem na widok tego, co zobaczyłem. Chwilę potrwało, nim odezwałem się zachrypniętym głosem:

– Chyba właśnie poznaliśmy odpowiedź.

## Rozdział 6

Wpatrzeni w hologram nie spostrzeżliśmy, jak do Selene zbliżył się ogromny obiekt. Kamery nie były potrzebne. Dokładnie mogliśmy go obejrzeć przez iluminator. Kolos miał prawie pięćset metrów długości, trzy pokłady i kadłub naszpikowany ciężkimi działami laserowymi i wyrzutniami rakiet. Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że mamy do czynienia z okrętem. Należał do Federacji Solarnej. Żadna z autonomicznych kolonii ani separatyści nie dysponowali tak potężnymi jednostkami. To był pancernik, do tego największy, jaki w życiu widziałem.

Okręt obrócił się do nas burtą. Poczulem ciarki na plecach, patrząc na wycelowane w nas działa laserowe i wyloty wyrzutni rakietowych. Oczyma wyobraźni widziałem już, jak pancernik otwiera ogień i w Selene trafiają tony pocisków oraz setki wiązek laserowych. Wystarczyłaby jedna salwa burtowa, żeby obrócić nasz statek w pył.

Varges wyłączył silniki. Ucieczka nie miała sensu. Uruchomienie pierścienia indukującego zajęłoby kwadrans, a żadne manewry nie mogły nas uratować. Załoga okrętu miała wystarczająco dużo czasu, żeby nas namierzyć. Nie mieliśmy też czym się bronić. A nawet gdybyśmy posiadali lekkie działło, w które wyposażone były niekiedy jednostki badawcze, co najwyżej zarysowalibyśmy pancierz tego kolosa.

Zastygliśmy w fotelach. Oczekiwaliśmy na to, co nieuniknione. Pierwszy otrząsnął się Thorssen.

– Wywołaj ich! – rzucił do Vargesa. – Powiedz im, że mamy na pokładzie funkcjonariusza Federacji Solarnej.

Przytomność umysłu komandora zrobiła na mnie wrażenie. Dowódca pancernika dwa razy się zastanowi, nim zniszczy naszą jednostkę. Łatwo sobie wyobrazi, co go spotka po powrocie na Ziemię, gdy wyjdzie na jaw, że zniszczył jednostkę, na której znajdował się wysłannik Federacji. Wątpiłem jednak, żeby to poskutkowało. Nie wahali się zniszczyć dwóch własnych statków badawczych, więc czemu mieliby się przejmować jednym funkcjonariuszem?

Spojrzałem na Katję. Mocno zaciskała dłonie na poręczach fotela. Na pewno w najgorszym koszmarze nie śniło jej się, że może zginąć z rąk własnych towarzyszy. To dopiero byłaby ironia losu.

– Nie odpowiadają – rzekł Varges, manipulując przy komunikatorze. – Próbowałem na wszystkich kanałach. – Spojrzał ukosem na dowódcę i dodał: – Nawet na tych wojskowych.

– A wiadomości tekstowe?

– Wysłałem już trzy. Żadnej odpowiedzi.

Thorssen zmarszczył brwi i ponownie przeniósł wzrok na okręt. Wyglądał jak lewiatan – biblijny potwór morski, który sięgał chmur, a którego cielsko wypełniało największy z oceanów. Pancernik imponował nie tylko wielkością, ale również grubymi osłonami i arsenałem najróżniejszej broni. Podejrzywałem, że jeden taki okręt byłby w stanie rozbić w pył całą flotę separatystów i w ciągu kwadransa zniszczyć średniej wielkości kolonię. Nigdy wcześniej nie widziałem tak potężnego okrętu i prawdopodobnie już nie zobaczę.

Artylerzyści pancernika musieli już brać nas na cel i zaraz rozpęta się piekło. Zniszczenie Selene było dla nich niczym zabicie natrętnej muchy, która za bardzo zbliżyła się do tego, do czego nie

powinna. Zmrużyłem oczy, spodziewając się lada chwila uderzenia ognia, a potem bólu i błyskawicznej śmierci.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Oznaczało to, że na pancerniku czekają na rozkaz albo coś jest nie tak. Może nie działają ich systemy namierzania? – myślałem gorączkowo.

– Zaraz, zaraz – ożywił się Vargas, przełączając kanały komunikatora. – Ten sygnał SOS... – Zawiesił głos i z niedowierzaniem spojrzął przez iluminator.

– Co z nim? – zapytał Thorssen.

– Byłem przekonany, że wysłała go jedna z tych dwóch jednostek badawczych...

– No i?

– Myliłem się – rzekł Vargas. – Źródłem sygnału jest pancernik.

Robiło się coraz bardziej interesująco. Federacja Solarna w tajemnicy wysłała do 47 Tucanae przynajmniej dwa statki badawcze. Dwa spotkaliśmy w tym systemie, a przecież mogło ich być więcej w całej gromadzie kulistej. Prawdopodobnie miały zebrać dane o błękitnych maruderach. Coś jednak musiało pójść nie tak. Federacja Solarna wysłała okręt, najwyższej klasy pancernik, a ten zniszczył statki badawcze.

Od razu przypomniała mi się rozmowa z Katją o samoświadomości i o tym, że błękitne marudery wykazują procesy myślowe. Gdyby to była prawda, to niewykluczone, że miały wpływ na dramat, który się tutaj rozegrał. Uśmiechnąłem się do swoich myśli. To było tak fantastyczne i nierealne, że zupełnie nie mieściło się w głowie. Niemniej mieliśmy na orbicie dwa wraki statków badawczych Federacji Solarnej i nadający sygnał SOS pancernik.

Nie wyglądało to dobrze.

– Wszystko wskazuje na to, że nie mają zamiaru do nas strzelać – rzekł Abraham.

Chyba ktoś musiał to powiedzieć na głos. Dopiero teraz siedzący obok mnie Szenrab poruszył się na fotelu, rozluźniając mięśnie. Ktoś inny wypuścił powietrze z płuc. Wszyscy poczuli ulgę, a napięcie na mostku nagle zelżało.

Varges spojrzał pytająco na komandora.

– Co dalej?

Thorssen dłuższą chwilę siedział w milczeniu.

– Zabrnęliśmy zbyt daleko, żeby się teraz wycofać – rzekł w końcu. – Sprawdźmy, co tam się stało. Zbliź się ostrożnie do pancernika.

Pilot skinął głową i ponownie uruchomił silniki. Selene ruszyła do przodu. Okręt Federacji zajmował już cały iluminator. Przy nim nasz statek wyglądał jak nieszkodliwy insekt na blacie kuchennego stołu. Gdy znaleźliśmy się pięćdziesiąt metrów od kolosa, Varges zwolnił do minimum.

– Nie ma żadnej reakcji z ich strony – oznajmił. – W ogóle nas nie skanują. Czujniki na kadłubie okrętu nie wykazują jakiegokolwiek aktywności.

– Podleć od rufy – polecił Thorssen i po chwili mogliśmy oglądać trzy potężne dysze. – Odczyty termiczne?

Varges pokręcił głową.

– Żadnej sygnatury cieplnej. Ich silniki nie pracowały przez co najmniej czterdzieści osiem godzin. Tyle utrzymuje się ciepło po wyłączeniu akceleratora.

– Leć dalej.

Selene okrążyła pancernik i znaleźliśmy się po drugiej jego stronie. Na burcie ujrzeliśmy numer identyfikacyjny i nazwę okrętu.

– Rahab – Szenrab odczytał na głos. – Co to za nazwa?

– Rahab to mityczny anioł nazywany Księciem Pierwotnego Morza, przypominający bardziej potwora morskiego – odpowiedział Abraham, a ja pomyślałem, że moje pierwsze skojarzenie pancernika z lewiatanem nie było wcale pozbawione sensu. – Według hebrajskiej legendy Bóg zgładził Rahaba, gdy ten w dniu stworzenia odmówił rozdzielenia wód wyższych i wód niższych. W innych podaniach Bóg jednak oszczędził Rahaba i uczynił go aniołem stróżem narodu egipskiego. Ale niewiele mu to pomogło, został bowiem unicestwiony, tym razem na zawsze, za próbę przeszkodzenia Izraelitom w ucieczce przed wojskami faraona.

– Wyjątkowe skurwysyństwo – roześmiał się Varges. – Przecież jako anioł stróż Egiptu miał obowiązek pomagać swojemu narodowi.

– Każdy ma swoje przeznaczenie – rzekł Abraham. – Niezbadane są zamysły Boga.

Nie przypuszczałem, że Abraham ma taką wiedzę na temat wierzeń hebrajskich. Nie wyglądał na człowieka religijnego. Z drugiej strony miał biblijne imię, które zgodnie z panującym na Ziemi zwyczajem sam sobie wybrał, kończąc piętnaście lat. Kto wie, czy na pokładzie Selene nie ma fanatyka religijnego. Jakbyśmy mało mieli kłopotów.

Westchnąłem ciężko i ponownie spojrzałem na pancernik. Zmrużyłem oczy, próbując rozszyfrować numer identyfikacyjny, w którym zazwyczaj była zakodowana klasa jednostki. Jednak żadna cyfra tutaj nie pasowała. Rahab musiał należeć do nowego typu okrętów utrzymywanych przez Federację Solarną w ścisłej tajemnicy.

– Pancernik pozbawiony jest zasilania – oznajmił Varges.

Rzeczywiście wyglądał jak gigantyczny potwór pogrążony w głębokim śnie.

– To w jaki sposób nadają sygnał SOS? – zdziwił się Szenrab.

– Prawdopodobnie działa tylko generator awaryjny. Cała jego moc idzie głównie do systemów podtrzymywania życia.

Katja ciężko przełknęła ślinę.

– Czy to możliwe, by ktoś tam jeszcze żył?

Varges wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Wszystko zależy od tego, czy działają ich konwertory powietrza.

– Powinniśmy wejść na pokład i to sprawdzić – powiedziała z przekonaniem kobieta.

Zapanowało milczenie. Wszyscy skupili wzrok na Thorssenie. To do niego należała decyzja.

Komandor wyglądał na zmęczonego. Na jego twarzy uwypukliły się zmarszczki, mars na czole był jeszcze głębszy niż zazwyczaj, a pod oczami pojawiły się cienie. Nawet w Mgławicy Kraba, gdy śmierć zaglądała nam w oczy, wyglądał lepiej. Rzucił gniewne spojrzenie Katji, jakby cała ta sytuacja była jej winą, a następnie przeniósł wzrok na okręt. Długo mu się przyglądał.

– Zgoda – rzekł wreszcie. – Przygotować się do dokowania.

– Obawiam się, że to niemożliwe – oznajmił Varges.

– Dlaczego?

– Jeśli Rahab pozbawiony jest głównego zasilania, to jego port będzie nieczynny. Okręty mają zabezpieczenia, na wypadek gdyby ktoś próbował je przejąć.

– Co więc możemy zrobić?

– Ktoś musi się dostać na pokład pancernika i ręcznie uaktywnić port.

To oznaczało spacer w przestrzeni kosmicznej.



– Ja pójdę – powiedział Thorssen.

– Nie, komandorze. – Varges podniósł się z fotela. – Ja to zrobię. Jeśli okręt da się uruchomić, to będzie tam potrzebny pilot.

– Też mogę to zrobić.

Varges pokręcił głową.

– Pan jest odpowiedzialny za załogę Selene i nie może się narażać na niebezpieczeństwo. A nie wiemy, co zastaniemy na pokładzie Rahaba.

Wszyscy w zdumieniu spojrzeli na Vargesa. Chyba nikt się po nim nie spodziewał takiej postawy. Zawsze egoistyczny i samolubny, teraz gotów był na poświęcenie. Zastanawiałem się, czy kryje się za tym coś więcej, czy jedynie kieruje się zasadami wpojonymi mu w wojsku.

Widziałem, że Thorssen się waha.

– Ja z nim pójdę – oświadczyłem.

Komandor z ulgą skinął głową. Ufał mi i wiedział, że będę miał oko na Vargesa. Ja zaś liczyłem, że będę miał okazję dokończyć rozmowę z pilotem.

– I ja – rzekł Gorszkow, wstając z fotela. – Na Rahabie mogą potrzebować natychmiastowej pomocy medycznej.

– Zgoda – powiedział Thorssen, siadając w fotelu pilota. – Przygotujcie się do wyjścia. Ja podprowadzę Selene do wjazdu.

Ruszyliśmy do swoich kajut, żeby się przebrać. Pod bioskafander trzeba było włożyć coś lekkiego. Najbardziej nadawała się do tego specjalna odzież z elastycznej siatki i wplecionych w nią cienkich rurek z tworzywa sztucznego, w których krążyła schłodzona woda zapobiegająca przegrzaniu organizmu. Problem polegał na tym, że choć konieczna podczas ciężkich prac na orbicie, była szalenie niewygodna. Na szczęście my mieliśmy przebywać w przestrzeni kosmicznej najwyżej kwadrans, bez podejmowania

wielkiego wysiłku. Musieliśmy tylko otworzyć właz z zewnątrz, wejść do środka i odblokować port. Dlatego zrezygnowałem ze specjalnej odzieży na rzecz T-shirtu bez rękawków i wojskowych spodni.

Przebrany wyszedłem na korytarz i ruszyłem w stronę śluzy. Przechodząc obok kajuty Katji, zauważyłem, że drzwi są lekko uchylone. Zerknąłem do środka. Katja siedziała na koi z podciągniętymi nogami, obejmując dłońmi kolana, i cicho płakała. W pierwszym momencie chciałem pójść dalej, ale po chwili wahania stwierdziłem, że powinienem się dowiedzieć, o co chodzi.

Zapukałem.

– Proszę – powiedziała.

Gdy wszedłem, uśmiechnęła się, ale w jej oczach jeszcze tańczyły łzy. Przysiadłem obok niej na koi i odpowiedziałem lekkim uśmiechem. Milczałem. Chciałem, żeby to ona zaczęła rozmowę. Zmarszczyła czoło i wbiła wzrok w stalową ścianę pomieszczenia.

– Boję się – rzekła cicho.

– To naturalne – odparłem. – Wszyscy myśleliśmy, że zaraz zginiemy. Gdyby Rahab był sprawny...

– Nie o to chodzi – przerwała mi Katja. – Pamiętasz naszą rozmowę w mesie?

– Uhm.

– Zastanawialiśmy się, dlaczego Federacja Solarna przysłała mnie tutaj. Dlaczego zdecydowali się mnie poświęcić. – W jej miodowych oczach ponownie zatańczyły łzy. – Może nie jestem tutaj przypadkowo?

– Nie rozumiem.

– Pomyśl tylko. – Dotknęła mojego ramienia. – Wcześniej wysłali do 47 Tucanae przynajmniej dwa statki badawcze i okręt.

Następnie przysłali mnie, zawracając sobie głowę zaokrętowaniem na Selene. Dlaczego?

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą. Nie miałem żadnej hipotezy. Na razie. Wierzyłem jednak, że wcześniej czy później uda mi się rozwikłać tę zagadkę.

– Federacja Solarna niczego nie zwykła robić bez powodu.

– To się akurat zgadza – powiedziałem z ironicznym uśmiechem. – Zatem uważasz, że masz tutaj jakieś zadanie do wykonania?

Katja wzruszyła ramionami.

– Gdyby tak było, powinnam o tym wiedzieć.

– Niekoniecznie – rzekłem, marszcząc brwi. – Zajmujesz się badaniem ludzkiego umysłu. Czy jest możliwe, żeby federalni zaszczepili ci coś w podświadomości? Coś, co uaktywni się w odpowiednim momencie?

– Pytasz, czy mogli mnie zaprogramować? – Roześmiała się, ale jej śmiech był nerwowy. – Teoretycznie są różne sposoby, żeby tego dokonać. Od przekazów podprogowych, przez programowanie neuronowe, aż po chemiczne uaktywnianie odpowiednich partii mózgu. Ale to nie działa tak, jak to sobie wyobrażamy. Nie sposób uczynić z człowieka bezwolnego, wykonującego polecenia robota. Umysł ludzki nadal jest dla nas zagadką.

– Ale to możliwe?

– Nie wykluczam.

– W takim razie będę miał cię na oku. – Mrugnąłem do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem.

Zamilkliśmy. Katja spoglądała gdzieś w przestrzeń. Ja przyglądałem się jej. Zachwycąłem się jej delikatnymi rysami, pięknymi miodowymi oczami i opadającymi na policzek kosmykami włosów.

– Co się z nami stanie? – zapytała nagle.

– Wszystko będzie dobrze. – Staralem się, żeby w moim głosie brzmiała pewność. Objąłem ją, a ona przyłgnęła do mnie całym ciałem. Poczulem jej zapach, ciepło i wypełniło mnie pożądanie. Z bólem uświadomiłem sobie, że dawno nie miałem kobiety. Zbyt dawno. Minęło sporo czasu od...

Delikatnie odsunąłem ją od siebie.

– Muszę iść.

Pokiwiała głową.

Zamknąłem za sobą drzwi kajuty Katji, oparłem się o ścianę i przymknąłem oczy. Wspomnienia napływały nieprzerwanym strumieniem, wypełniając mnie bólem. Zawładnęła mną rozpacz, do oczu podeszły łzy. Mocno zacisnąłem dłoń w pięść. Teraz nie mogłem sobie na to pozwolić. Nie powinienem wracać do tego, co było. Już niczego nie zmienię. Otworzyłem oczy i ruszyłem przed siebie.

Gdy wszedłem do śluzy powietrznej, Gorszkow i Vargas już tam byli. Pomieszczenie składało się z dwóch cylindrycznych, połączonych ze sobą komór. W pierwszej składowano skafandry ciśnieniowe, druga, oddzielona grodzia, była komorą właściwą, która dehermetyzowała się przed rozpoczęciem spaceru kosmicznego.

Włożenie skafandra kosmicznego nie jest łatwe. Cała procedura trwa blisko godzinę. I chociaż robiłem to już dziesiątki razy, zawsze bardzo się stresowałem. Nie można było popełnić żadnego błędu. Wszystko należało wykonać z niezbędną dbałością. Od tego zależało moje życie.

Zerknąłem na Gorszkowa i Vargesa, którzy przebierali się obok, i zauważyłem, że także zrezygnowali ze specjalnej odzieży z elastycznej siatki na rzecz zwykłych T-shirtów.

– Ten pancernik jest chyba tej samej wielkości co słynny Arges – rzekł Gorszkow, mocując się ze skafandrem.

– Arges był o wiele mniejszy – powiedział pilot. – Należał do klasy Cyklop i Federacja Solarna miała dwa takie okręty: Polifem i Arges. Ten pierwszy, z tego co wiem, nadal stacjonuje w systemie 61 Cygni, a Arges siedem lat temu został porwany przez separatystów.

– Słyszałem o tym.

– Wierzę – rzekł Vargas. – Było głośno o tej sprawie.

– Pomimo blokady informacyjnej ze strony federalnych niezależne serwisy cały czas o tym mówiły. Ponoć dowódca porwał okręt i oddał go w ręce separatystów.

– To nie był dowódca, tylko oficer nawigacyjny. Komandor Charpentier. Dobrze pamiętam jego nazwisko, bo nieźle zalaźł za skórę federalnym. Do dzisiaj jest nieuchwytny i wyznaczono sporą nagrodę za jego głowę. Facet miał fantazję. – W głosie Vargesa zabrzmiała nuta podziwu. – Wyobraźcie sobie, że wyrwał Argesa z samego serca federalnej floty – kontynuował, a Gorszkow i ja słuchaliśmy z zainteresowaniem. – Okręt stacjonował w marsjańskim porcie wojennym, chyba najlepiej strzeżonym miejscu we wszechświecie. Charpentier namówił część załogi do buntu, w tym oficera nadzorującego zbrojownię. Dzięki temu mieli dostęp do ciężkiej broni. – Zrobił pauzę, żeby zwiększyć dramaturgię opowieści. – Urządzili na pokładzie rzeź. Zabili każdego, kto nie chciał się do nich przyłączyć. Dowódca okrętu, lojalny wobec Federacji Solarnej, zabarykadował się w swojej kajucie wraz z dwoma oficerami i odpierał ataki buntowników. Gdy zginęli jego przybocznicy i został sam na placu boju, popełnił samobójstwo. Charpentier rozkazał wyrzucić jego ciało przez śluzę.

Federacja Solarna uznała dowódcę okrętu za bohatera i pośmiertnie go odznaczyła.

– Federacyjna propaganda – skrzywił się Gorszkow.

– Możliwe. – Vargas wzruszył ramionami. – Nigdy się nie dowiemy, co naprawdę zdarzyło się na pokładzie Argesa. W każdym razie buntownicy przejęli okręt i wyprowadzili go z portu pod pozorem wykonania drobnych napraw w stoczni na orbicie Saturna.

– Dostali zezwolenie? – zdumiał się lekarz. – Myślałem, że decyzję o wyjściu z portu może podjąć tylko dowódca jednostki.

– Teoretycznie tak – rzekł Vargas, w zakłopotaniu drapiąc się po czuprynie. Nie miał widać pojęcia, jak Charpentierowi udało się oszukać urzędników admiralicji. – Musiał się posłużyć sfałszowanymi rozkazami.

– To miałyby sens – powiedział Gorszkow. – I co dalej?

– Jak można się było spodziewać, Arges przeciął orbitę Saturna i poleciał dalej. Dopiero wtedy federalni zorientowali się, że coś jest nie tak. Postanowili sprawdzić, co się stało, i wysłali dwa niszczyciele patrolujące ten region Układu Słonecznego. Gdy ich załogi spostrzegły, że Arges rozgrzewa pierścień indukujący, zezwolono im na otwarcie ognia. Rozpoczęła się bitwa.

Vargas zamilkł i skupił całą uwagę na wkładaniu srebrnego skafandra, który skutecznie chronił przed promieniowaniem kosmicznym i zabójczą temperaturą. Składał się z dwu warstw. Pierwszą, wewnętrzną tworzyły włókna nylonowe, druga, zewnętrzna, pokryta była teflonem, kevlarem i nomexem.

– Bitwa – rzekł Gorszkow, gdy pilot uporał się już ze skafandrem.

– Co, bitwa?

– Powiedziałeś, że rozpoczęła się bitwa pomiędzy Argesem a dwoma niszczycielami.

– Właściwie trudno nazwać to bitwą. – Vargas skrzywił usta w ironicznym uśmiechu. – To raczej była rzeź. Rakiety odpalone przez niszczyciele zostały namierzone przez systemy obronne Argesa i zestrzelone. Wówczas pancernik otworzył ogień. Nieprzerwana salwa burtowa w ciągu zaledwie dwóch minut rozbiła pierwszy z niszczycieli. Drugi wycofał się, ale Charpentier postanowił go ścigać. Arges dopadł go tuż przed bazą wojenną na Tytanie i dokonał egzekucji.

– Ten Charpentier to jakiś szaleniec.

– Tak o nim mówią federalni.

– Próbuję sobie wyobrazić, co mógłby z nami zrobić Rahab, skoro mniejszy od niego Arges bez problemu rozniósł dwa niszczyciele.

Vargas spojrział na doktora. W jego oczach próżno było szukać obecnego jeszcze przed chwilą rozbawienia.

– Ja nawet nie chcę sobie tego wyobrażać – powiedział i widząc, że z naszej trójki tylko Gorszkow nie włożył skafandra, dodał: – Pospiesz się.

Musiałem pomóc lekarzowi, bo zupełnie sobie nie radził. Nie był pilotem ani technikiem i okoliczności rzadko zmuszały go do wychodzenia w przestrzeń kosmiczną. Gdy już wszyscy mieliśmy na sobie skafandry, włożyliśmy na głowy miękkie kaptury, a do nich przymocowaliśmy mikrofony oraz przenośne nadajniki. Dzięki temu cały czas mogliśmy być w kontakcie z Selene.

– Co było dalej z Argesem? – dopytywał się Gorszkow.

– Buntownicy uruchomili tunel czasoprzestrzenny i uciekli na obrzeża Drogi Mlecznej – odparł Vargas. – Potem polecili do tajnej bazy separatystów poza Galaktyką. Nikt dokładnie nie wie, gdzie

ona się znajduje. Z tego, co mi wiadomo, komandor Charpentier przez jakiś czas dowodził Argesem oraz całą flotą separatystów i dokonywał śmiałych najazdów na systemy Federacji Solarnej. Słyszałeś o rajdach na Mira Ceti i alfa Centauri?

Gorszkow skinął głową.

– To właśnie jego sprawka.

– Niesamowite.

– Wreszcie Federacja Solarna postanowiła zrobić z nim porządek i zastawiła pułapkę. Potrzeba było aż dziesięciu krążowników liniowych, żeby zniszczyć Argesa. Tak zakończyła się historia tego pancernika.

– A co z komandorem Charpentierem?

– Jego ciała nie odnaleziono we wraku Argesa. Podobno zdążył się ewakuować w jednej z kapsuł ratunkowych i wrócił do separatystów. Dalszy jego los jest nieznan, ale skoro nagroda za jego głowę nadal obowiązuje, to znaczy, że żyje.

Zastanawiałem się, skąd Vargas ma taką wiedzę na temat tamtych wydarzeń. Wśród wojskowych krążyły różne plotki, opowiadane w oficerskich kantynach czy w mesach podczas pokera, by po pewnym czasie zamienić się w legendy. Tak było także w przypadku historii Argesa i komandora Charpentiera.

Ponownie skupiłem się na przygotowaniach do wyjścia w kosmos. Następnym etapem było założenie plecaka, w którym mieściły się moduł odrzutowy, zapas tlenu oraz urządzenie usuwające dwutlenek węgla i parę wodną ze skafandra. Znowu musiałem pomóc Gorszkowowi, bo szło mu niezgrabnie. Na końcu za pomocą metalowych obręczy przytwierdziliśmy do skafandrów rękawice i buty.

W pomieszczeniu pojawił się Bahman.

– Jesteście gotowi? – zapytał.



– Tak – odparł Vargas i podał mu swój hełm z przyciemnioną szybką zatrzymującą promieniowanie ultrafioletowe. – Pomóż nam.

Bahman każdemu z nas założył hełm. Gorszkow chwycił apteczkę, ja walizkę z narzędziami i tak wyekwipowani mogliśmy ruszać.

– Powodzenia – rzekł Bahman i wyszedł ze śluzy.

Przeszliśmy do drugiej komory. Drzwi zamknęły się za nami.

– Słyszycie mnie? – zabrzmiał komunikator przy moim uchu. To był komandor, który miał śledzić nasze poczynania z mostka Selene.

– Głośno i wyraźnie – Vargas potwierdził odbiór.

Rozpoczęła się procedura rozhermetyzowywania śluzy. Trwała krótko i nawet się nie zorientowałem, jak szybowiałem w przestrzeni kosmicznej.

To dziwne uczucie. Większość astronautów, wychodząc ze statku, przeżywa dolegliwości podobne do choroby lokomocyjnej. Powodem tych problemów jest błędnik. Przy braku ciążenia komórki zmysłowe nie wiedzą, jak interpretować bezwładny przepływ płynów. Dlatego niemal każdy, kto wychodzi w przestrzeń, zażywa dimenhydrynat, który zapobiega nudnościom i działa przeciwwymiotnie.

Ja nie miewam takich problemów, więc nie muszę zażywać żadnych środków. Brak oporu powietrza i bezwładna lewitacja zawsze wywołują u mnie euforię. W próżni czuję się, jakbym zrywał ograniczające mnie niewidzialne więzy, tracił kontakt z tym, co materialne, rzeczywiste, namacalne. Przestaję myśleć o przeszłości i przyszłości. Istnieje tylko teraźniejszość. Nic nie ma znaczenia. Liczy się tylko „tu i teraz”. To prawdziwa wolność, nieograniczona swoboda.

Przymknąłem powieki i dałem się unieść ekstazie. Wypełniał mnie spokój. Nie było już gonitwy myśli, żadnych trosk i zmartwień. Zostawiłem wszystkie problemy wraz z grawitacją i nie miałem najmniejszej ochoty do nich wracać. Wypełniała mnie błogość. Mógłbym tak szybować całą wieczność.

– Ruszcie tyłki. – Głos komandora przywołał mnie do rzeczywistości. – Im szybciej się z tym uporamy, tym lepiej.

Z żalem otworzyłem oczy i rozejrzałem się za moimi towarzyszami. Varges odpalił już napęd odrzutowy w plecaku. Zbudowany z kilkudziesięciu niewielkich dysz, które wyrzucały z siebie azot, umożliwiał poruszanie się w próżni. Pilot wykonał kilka ewolucji, krzycząc radośnie do mikrofonu. Podobnie jak ja, w przestrzeni kosmicznej czuł się jak ryba w wodzie.

– Tylko bez wygłupów! – warknął Thorssen. – Bierzcie się do roboty.

Odszukałem wzrokiem Gorszkowa. Szybował bezwładnie kilka metrów ode mnie.

– Gorszkow! – zawołałem do mikrofonu. – Wszystko w porządku?

Nie otrzymałem odpowiedzi. Zaniepokoiłem się. Odpaliłem napęd odrzutowy i podleciałem do lekarza. Niestety nie mogłem dojrzeć jego twarzy za zaciemnioną szybką hełmu.

– Gorszkow...

– Nic mi nie jest – rozległ się jego zachrypnięty głos. – Po prostu muszę się przyzwycząić.

– Nie wzięłeś dimenhydrynatu?

– Przecież to tylko placebo.

Roześmialiśmy się.

– Właz macie po lewej – odezwał się komandor. – Ruszajcie!

Gorszkow włączył swój napęd odrzutowy i skierowaliśmy się w stronę pancernika. Podczas lotu próbowałem nie patrzeć na błękitnego marudera, który emitował upiorne światło. Nie chciałem też spoglądać na Rahaba straszącego wycelowaną w nas bronią. Skupiłem wzrok na planecie. Ona – zdawało się – emanowała spokojem. Trwała tutaj majestatycznie od co najmniej pięciu miliardów lat i nic jej nie obchodziły nasze ludzkie problemy. My zginiemy na jej orbicie lub wypełnimy misję i odlecimy, a ona nadal tu będzie. Taka sama. Zupełnie niezmieniona.

Nagle usłyszałem czyjś charkot. Rozejrzałem się i spostrzegłem, że Vargas zmienił kierunek lotu. Coś z nim było nie tak.

– Vargas! – krzyknąłem. – Co z tobą?

Nie odpowiedział.

Natychmiast do niego podleciałem.

– Skafander... – wyszeptał.

Domyśliłem się, że ma uszkodzony skafander, co spowodowało rozhermetyzowanie.

– Wypuść powietrze – rozkazałem, mając nadzieję, że jest jeszcze przytomny. Gdyby wstrzymał oddech, różnica ciśnień rozerwałaby mu płuca. Z ulgą usłyszałem, że wykonał moje polecenie.

– Co się tam dzieje? – rozległ się zaniepokojony głos dowódcy.

Nie miałem czasu na wyjaśnienia. Teraz każda sekunda była na wagę złota. Trzeba było działać szybko. Piętnaście sekund po rozszczelnieniu skafandra człowiek tracił przytomność, po czterech minutach umierał.

Pojawił się przy nas Gorszkow.

– Co z nim? – spytał zaniepokojony.

– Chwyć Vargesa i leć w stronę włazu – rzekłem. – Ja go zaraz otworzę.

– Dobra.

Odkręciłem manetkę na pełną moc i ruszyłem w kierunku pancernika. Właz wydawał mi się teraz taki odległy. Chciałem go przyciągnąć siłą woli, ale mogłem liczyć tylko na moc plecaka odrzutowego. Myślałem wyłącznie o tym, by jak najszybciej otworzyć wejście i wepchnąć Vargesa do śluzy okrętu.

– Szybciej, szybciej... – słyszałem jedynie swój głos. Komandor milczał, ale wiedziałem, że cały czas jest na stanowisku i w napięciu czeka na rozwój wydarzeń. Doskonale wiedział, że teraz żadne rozkazy nie pomogą. W przestrzeni kosmicznej człowiek zdany jest na siebie.

Tylko raz obejrzałem się, żeby sprawdzić, czy Gorszkow podąża za mną. Odetchnąłem z ulgą, ujrawszy, że leci, trzymając bezwładne ciało Vargesa. Już podczas lotu otworzyłem skrzynkę z narzędziami i chociaż za sprawą rękawic szło mi to bardzo niezgrabnie, zdołałem wyciągnąć odpowiedni klucz.

Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, zanim dotarłem do włazu. Szybko wsadziłem klucz w odpowiednie gniazdo i przekręciłem go, modląc się, żeby pneumatyka nie zawiodła. Na szczęście kłapa odskoczyła i moim oczom ukazało się wnętrze śluzy. Błyskawicznie wsunąłem się do środka i rozpocząłem procedurę wyrównywania ciśnień. Po chwili w środku znaleźli się również Gorszkow i Vargas.

Czekaliśmy.

Nie byliśmy w stanie podjąć żadnych działań, dopóki ciśnienie się nie wyrówna. Dopiero wtedy będziemy mogli zdjąć hełmy i przystąpić do udzielania pomocy Vargesowi. Trzymając się przytwierdzonego do ściany drążka, spoglądałem na migającą na czerwono diodę. Miałem nadzieję, że za chwilę zamruga zielenią. Wierzyłem w to, że zasilanie alarmowe działa, a co za tym idzie,

również system podtrzymywania życia. Gdyby system nie zadziałał, czekałaby nas droga powrotna na Selene z ciałem naszego pilota.

Przyglądałem się lewitującemu Vargasowi. Wydawało mi się, że jego skafander lekko się unosi na klatce piersiowej. Ale mogło to być tylko złudzenie w ciemnym pomieszczeniu. Próbowałem policzyć, ile trwała akcja ratunkowa. Minutę? Dwie? Pięć? Jednak to równie dobrze mógł być kwadrans. W takich momentach traci się rachubę czasu.

Dioda zaświeciła się na zielono. Odetchnąłem z ulgą. Zadziałała sztuczna grawitacja i runęliśmy na podłogę. Gorszkow natychmiast zrzucił hełm i rozpoczął reanimację. Ja usiadłem w kącie, nie chcąc mu przeszkadzać. Z napięciem oczekiwałem na wynik jego zabiegów.

Nic.

Minęło pięć minut.

Nic.

Gorszkow nie chciał się poddać. Po kolejnym kwadransie wyprostował się i spojrzał na mnie. Rezygnacja w jego oczach mówiła wszystko.

– Vargas nie żyje – powiedziałem do mikrofonu.

## Rozdział 7

W komunikatorze zapadła przejmująca cisza. Ale nie była to cisza zwyczajna, jaka zwykle następuje, gdy ludzie nie mają sobie nic do powiedzenia. To była cisza wypełniona niedowierzaniem i bezsilną wściekłością. Mogłem się tylko domyślać, co się dzieje na mostku Selene.

Oczyrna wyobraźni ujrzałem Thorssena siedzącego w fotelu pilota i wbijającego nienawistne spojrzenie w iluminator, za którym widoczny był Rahab. To przez ten przeklęty okręt stracił człowieka. Zamiast eksplorować nowe światy, zbierać dane o złożach planet, badać ich faunę i florę, musiał odpowiedzieć na sygnał SOS. W tym momencie nie widział w Rahabie bezosobowego okrętu, ale prawdziwego potwora pochłaniającego ludzkie istnienia. A może przedstawiał go sobie jako straszliwego anioła z hebrajskich legend, który z góry skazany był na zagładę? I zapewne zastanawiał się, czy załoga Selene nie podzieli jego losu.

Na mostku znajdowała się też pewnie reszta załogi. Przyszli zobaczyć, jak wślizgujemy się do stalowego olbrzyma, żeby odkryć, co ma w swoich trzewiach. Wyobrażałem sobie Katję patrzącą w osłupieniu w iluminator, Bahmana ze ściągniętymi brwiami, Abrahama kręcącego w niedowierzaniu głową i Szenraba ściskającego poręcz fotela. A może na ustach któregoś z nich błąkał się teraz uśmiech?

– Przyczyna śmierci? – spytał sucho Thorssen.

– Niedotlenienie – odparł Gorszkow, dokładnie przyglądając się sieniei twarzy Vargasesa. – W wyniku nagłej dekompresji doszło do wydzielenia się gazów z płynów ustrojowych i rozerwania pęcherzyków płucnych. Sekcja zwłok zapewne potwierdzi moje słowa.

– Rozumiem. – Przez chwilę w komunikatorze panowała cisza. – Jak do tego doszło?

Pochyliłem się nad ciałem Vargasesa i zacząłem dokładnie oglądać ekwipunek. Nie trwało to długo. Na lewym rękawie skafandra znalazłem niewielkie rozcięcie.

– Uszkodzenie skafandra – zameldowałem. – Prawdopodobnie spowodowane przez mikrometeoroid.

Rok temu zdarzył mi się taki wypadek. Pracowałem w przestrzeni kosmicznej, naprawiając dyszę statku, gdy drobny okruch skalny przebił mi rękawicę i skaleczył dłoń. W ogóle nie poczułem uderzenia ani bólu. Nie zauważyłem również trzymilimetrowej dziurki w rękawicy. Miałem olbrzymie szczęście. Do gwałtownej dekompresji nie doszło tylko dlatego, że moja krew natychmiast uszczelniła rozcięcie.

Uszkodzenie na rękawie skafandra Vargasesa było znacznie większe. Miało prawie dwa centymetry, a przecięcie było zbyt równe. Mikrometeoroid pozostawiłby szarpane krawędzie. Wyglądało to tak, jakby skafander został uszkodzony ostrym narzędziem.

Poczułem na czole krople zimnego potu. Instynkt podpowiadał mi, że to nie wypadek. Podczas akcji odsunąłem od siebie wszystkie myśli i skupiłem się na ratowaniu Vargasesa. Ale teraz, gdy adrenalina przestała już działać, mój umysł znowu pracował na wysokich obrotach. Zacząłem układać sobie wszystko w głowie i uważnie analizować.

Varges znał agenta Federacji Solarnej obecnego na Selene. W rozmowie ze mną przyznał, że powinienem się go obawiać. Zatem, według jego oceny, był on groźny i zapewne na tyle zdeterminowany, by zabić pilota, nim ten zdradzi jego tożsamość. Czekał tylko na odpowiednią okazję. I doczekał się.

Decyzję o wyjściu w przestrzeń podjęliśmy na mostku, lecz zanim zjawiliśmy się w śluzie, minęło pół godziny. W tym czasie morderca mógł wejść do pomieszczenia z ekwipunkiem, odnaleźć skafander Vargesa i go uszkodzić. Prawdopodobnie zrobił to jakimś ostrym narzędziem lub skalpelem laserowym.

Spojrzałem podejrzliwie na Gorszkowa. Jako lekarz na pewno dysponował takim przyrządem. Do wyjścia w przestrzeń zgłosił się na ochotnika, twierdząc, że w razie czego może się przydać pomoc medyczna. Mógł zatem bez wzbudzania podejrzeń wejść wcześniej do śluzy i uszkodzić skafander. A potem najzwyczajniej w świecie poczekał na nas.

Patrząc na pocziwą twarz doktora, zastanawiałem się, czy zdolny jest do zbrodni. Jego jowialność, troskliwość i szczerze oblicze nie powinny mnie zwieść. W swoim życiu widziałem wielu ludzi, którzy na pozór muchy by nie skrzywdzili, a potrafili bez zmrużenia oka strzelić komuś w głowę i w obryzganym krwią uniformie spokojnie zasiąść do posiłku.

Czyżby Gorszkow był zabójcą? – myślałem gorączkowo. Jeśli tak, to znalazłem się sam na sam z mordercą i agentem Federacji Solarnej. To by tłumaczyło, dlaczego tak szybko chciał się znaleźć na Rahabie.

Nagle dotarło do mnie, że gdyby Gorszkow uszkodził skafander skalpelem laserowym, to dehermetyzacja nastąpiłaby natychmiast.

Skafander musiał więc zostać przecięty w przestrzeni kosmicznej. Ale jak? Do głowy przychodziła mi jedynie



nanotechnologia. W ostatnich latach rozwijała się coraz prężniej. Naukowcy Federacji Solarnej położyli duży nacisk na tę dziedzinę wiedzy.

Nanity – jak nazywano miniaturowe roboty nieprzekraczające półtora nanometra – miały zastosowanie w terraformowaniu planet, niszczeniu groźnych odpadów, oczyszczaniu środowiska i w medycynie. Wprowadzone do organizmu pacjenta naprawiały DNA, likwidując zagrożenie związane z chorobami genetycznymi, sprawdzały naczynia krwionośne, przeciwdziałając zmniejszaniu się światła tętnic, zabijały komórki nowotworowe i walczyły z bakteriami oraz wirusami.

Słyszałem, że tego rodzaju maszyny molekularne potrafią już same się powielać, wyszukując w najbliższym otoczeniu potrzebne do budowy atomy i cząsteczki. Rozmnażały się zupełnie jak istoty żywe. W ten sposób mogła powstać nieograniczona liczba nanitów potrafiących operować pojedynczymi atomami i składać z nich skomplikowane konstrukcje.

Osobiście nie wierzyłem w samoreplikację tych molekularnych robotów, bo skąd niby miałyby wiedzieć, jakie materiały mogą wykorzystywać, a jakie nie? Sądziłem, że więcej wyrządziłyby szkód, niż byłoby z nich pożytku. W laboratoriach badawczych, w warunkach doświadczalnych naukowcom zapewne udało się zaobserwować samoreplikację nanitów, ale w makroskali raczej nie było o tym mowy. Niemniej jednak taka technologia istniała i Gorskow mógł mieć do niej dostęp.

Dla człowieka obeznanego z techniką zaprogramowanie roju nanitów, a następnie umieszczenie ich w skafandrze Vargesa nie stanowiło problemu. Niewidoczne dla ludzkiego oka czekały na aktywację, a gdy ona nastąpiła, zaczęły przecinać skafander. To było jedyne wyjaśnienie, jakie w tej chwili przychodziło mi do głowy.

Tego typu technologia była jednak trudno dostępna, a koszt nanitów bardzo wysoki. Na pewno nie stanowiły standardowego wyposażenia statku zwiadowczego. Ale jeśli Gorszkow był agentem Federacji Solarnej, mógł zostać w nie zaopatrzony przed wyprawą. Już od dawna krążyły pogłoski, że wojsko wykorzystuje nanotechnologię w różnorodnych celach.

Postanowiłem nie mówić na razie o swoich podejrzaniach i czujnie obserwować lekarza.

– To na pewno był mikrometeoroid.

Gorszkow pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Myślałem, że skafandry są odpowiednio przed tym zabezpieczone.

– Teoretycznie tak – powiedziałem. – Ale zdarza się, że prędkość okruchu skalnego i kąt uderzenia powodują rozdarcie najszczelniejszej nawet warstwy.

– To mogło się przytrafić każdemu z nas!

– Możliwe.

– Pech.

– To prawda – rzekłem, nie spuszczać z niego oczu. – Cholerny pech.

Gorszkow, nawet jeśli był winny śmierci Vargesa, nie dawał tego po sobie poznać. Na jego twarzy zagościł smutek. Trudno było zgadnąć, czy prawdziwy. Jeśli udawał, to był dobrym aktorem.

– Nic już nie poradzimy – rozległ się w słuchawkach ochrypły głos komandora. – Sprawdźcie okręt.

– Tak jest – odparłem i zwróciłem się do Gorszkowa. – Idziemy.

– A co z nim? – Wskazał głową zwłoki Vargesa.

– Przecież nam nie ucieknie. Zajmiemy się nim później.

Lekarz pokiwał głową.

Podszedłem do grodzi oddzielającej śluzę od okrętu. Główne zasilanie nie działało, więc trzeba było otworzyć drzwi, używając systemu pneumatycznego. Z walizki z narzędziami wyciągnąłem odpowiedni klucz i wsunąłem go do gniazda. Jednak tuż przed przekręceniem zawahałem się. Nie wiedziałem, co nas czeka po drugiej stronie. Ponownie sięgnąłem do walizki i wyciągnąłem pistolet laserowy. Napotkałem zdziwione spojrzenie Gorszkowa.

– Na wszelki wypadek – rzekłem.

Wzięłem głęboki oddech i przekręciłem klucz. Drzwi odskoczyły z głuchym trzaskiem. Lekko je pchnąłem, uważnie spoglądając w głąb korytarza. Zmrużyłem oczy, próbując przebić mrok.

Sam nie wiem, czego się spodziewałem. Może obcej formy życia, znieścacka rzucającego mi się do gardła potwora z wielkimi zębami, którego mógłbym obarczyć winą za tragedię Rahaba? Może wycelowanych we mnie karabinów laserowych trzymanyh przez kosmicznych piratów? A może rozkładających się ciał załogantów dotkniętych nieznaną chorobą?

Zamiast tego zobaczyłem pusty korytarz i słabe, szkarłatne światło pochodzące z umieszczonego w podłodze oświetlenia awaryjnego. Do moich uszu dochodziło stłumione buczenie generatorów. Okręt wydawał się wymarły.

Ściągnąłem skafander, żeby nie krępował moich ruchów, i postąpiłem krok do przodu. Czuję się, jakbym wchodził w paszczę wieloryba. Zastanawiałem się, co mnie czeka w jego wnętrzu. Czy zginę strawiony w czeluściach jego żołądka? A może zostanę wypluty, tak jak biblijny Jonasz, żebym mógł wypełnić to, co mi przeznaczone?

Następny krok postawiłem już pewniej, ale i tak serce waliło mi jak oszalałe. Bywałem wcześniej w poważnych tarapatach, stawałem oko w oko ze śmiercią i zdążyłem się oswoić

z niebezpieczeństwem, ale tym razem było inaczej. W korytarzu panował chłód, ale nie fizyczny – chociaż system ogrzewania na okręcie nie działał – tylko wnikający głęboko w zakamarki duszy. To było coś, czego nigdy nie doświadczyłem i z niczym nie mogłem porównać.

Przełamując lęk, który we mnie narastał, ruszyłem przed siebie. Wiedziałem, że Gorszkow idzie za mną.

– Trochę tu przerażająco, co? – rzekł drżącym głosem. Najwidoczniej on również wyczuwał to co ja.

Skinąłem głową.

Przeszliśmy korytarz prowadzący do śluzy i znaleźliśmy się w pomieszczeniu, w którym składowano skafandry, niezbędne narzędzia oraz najnowszej generacji roboty do pracy w przestrzeni kosmicznej. Magazyn ów, w porównaniu z tym na Selene, był ogromny i bardziej przypominał hangar lotniczy.

Wyszliśmy na główny korytarz. Na okrętach właśnie tutaj, gdzie łączyły się drogi do wszystkich sekcji, spotykało się najwięcej ludzi. Oficerowie zdążali na mostek, żeby objąć wachtę, technicy spieszyli do maszynowni, bo zawsze było coś do naprawienia, artylerzyści do sekcji torpedowych, a ci, którzy mieli wolne, kierowali się do mesy, aby coś zjeść i pogawędzić ze znajomymi. Na Rahabie jednak korytarz był zupełnie pusty.

Zajrzeliśmy do pomieszczeń sypialnych i do mesy. Tam także nikogo nie było.

– Melduj, co u was – usłyszałem Thorssena w komunikatorze.

– Na razie nic – odparłem. – Wszędzie pusto. Nie ma żywego ducha.

– Martwego też – dodał ironicznie Gorszkow.

– To niemożliwe. Taki okręt jak Rahab musi mieć co najmniej dwieście osób załogi. Szukajcie dalej.

– Zamelduję, jak coś znajdziemy – powiedziałem. – Bez odbioru.

Wyłączyłem mikrofon. Poleciałem to samo zrobić Gorszkowowi. Nie chciałem, żeby na mostku Selene wiedzieli o wszystkim, co mówimy.

Poszliśmy dalej, stąpając ostrożnie, jakbyśmy się bali, że zaraz trafimy na zwłoki. Ale nic takiego nie nastąpiło. Wszędzie było pusto, co prawdę powiedziawszy, mocno mnie martwiło. Wolałbym natknąć się na stertę trupów i znać przyczynę śmierci załogi, niż brnąć przez puste korytarze, potęgując swoją niepewność.

– Spójrz! – Gorszkow zatrzymał mnie.

Wskazywał na podłogę. W szkarłatnej poświacie oświetlenia awaryjnego dostrzegłem zaschnięte plamy. Pochyliłem się, przyglądając się im uważnie.

– To krew – stwierdziłem. – Coś tutaj musiało się stać.

– Ale w takim razie gdzie są ciała?

– Tego musimy się dowiedzieć. – Wstałem i rozejrzałem się. Znajdowaliśmy się na rozgałęzieniu korytarza. – Rozdzielmy się – zaproponowałem. – Idź do sekcji medycznej, może tam ktoś jest.

– A ty?

– Pójdę do maszynowni sprawdzić, czy da się przywrócić zasilanie. A potem spróbuję uaktywnić port dokowania.

Lekarz odchrząknął i zamilkł. W półmroku nie widziałem za dobrze jego twarzy, ale domyśliłem się, że jest spięty. Najwidoczniej coś go bardzo martwiło.

– Co jest? – zapytałem.

– Tu coś się stało. Polała się krew. Myślę, że nie powinniśmy się rozdzielać. – Wskazał trzymany przeze mnie pistolet. – Ty przynajmniej masz się czym bronić.

Uśmiechnąłem się samymi kącikami ust. Wiedziałem, o co mu chodzi. Ale nie miałem zamiaru oddawać mu broni.

– Gdyby ktoś chciał nas zabić, to pewnie już by spróbował – rzekłem. – Wątpię, byśmy znaleźli tu kogokolwiek żywego.

Nie wiem, czy przekonałem Gorszkowa, ale pokiwał głową i ruszył w stronę ambulatorium. Przez chwilę spoglądałem za nim. Szedł ostrożnie, z obawą się rozglądając, jakby zaraz miało coś na niego wyskoczyć. Nie dziwiłem mu się. W półmroku korytarza, na okręcie porzuconym w niezbadanym sektorze kosmosu wyobraźnia podsuwała najróżniejsze obrazy. Wszystkie kłębiące się w umyśle lęki zostały spotęgowane.

Zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem, proponując, żebyśmy się rozdzielili. Chyba jednak wolałbym mieć Gorszkowa na oku, ale musiałem być sam, żeby zrobić to, co postanowiłem. Odwróciłem się i poszukałem korytarza do maszynowni.

Po drodze napotkałem generatory tlenu. Zatrzymałem się i uważnie im się przyjrzałem. Z uznaniem stwierdziłem, że na Rahabie zainstalowano najnowocześniejsze rozwiązania. Olbrzymie urządzenia wykorzystywały elektrolizę wody – rozpad cząsteczki wody pod wpływem prądu na tlen i wodór. W ten sposób tłoczono odpowiednio filtrowany tlen bezpośrednio do pomieszczeń statku, wodór zaś magazynowano w specjalnych modułach, a następnie uwalniano do przestrzeni kosmicznej.

Na zwyczajnych statkach stosowano „świece tlenowe” produkujące tlen w czasie wysokotemperaturowego rozkładu nadchloranu litu lub potasu. Litr takiej substancji pozwalał uzyskać dobowy zapas tlenu dla jednego członka załogi. Problemem było jednak jej magazynowanie. Rozwiązanie zastosowane na pancerniku było o wiele skuteczniejsze. Ale także droższe.

Wyglądało na to, że generatory tlenowe działają prawidłowo. Ruszyłem dalej. Wtem usłyszałem głos Thorssena w komunikatorze:

– Meldujcie, co się dzieje.

Włączyłem mikrofon i zdałem mu krótką relację. Z tonu komandora wywnioskowałem, że zmartwiła go informacja o zaschniętej krwi na podłodze. Ale bardziej zirytował się tym, że postanowiłem rozdzielić się z Gorszkowem. Już chciałem się odezwać i wymyślić jakiś sensowny powód, dla którego to zrobiłem, gdy nagle odezwał się doktor.

– Dotarłem do ambulatorium – zameldowałem. – Wchodzę do środka.

Przez jakiś czas trwała cisza.

– Jeszcze więcej zaschniętej krwi – rzekł Gorszkow.

W jego głosie nie wyczułem nawet cienia emocji, ale to komunikator mógł zniekształcać przekaz. Równie dobrze nasz lekarz mógł się teraz trząść ze strachu jak osika.

– Jest dosłownie wszędzie – mówił dalej. – Na stołach operacyjnych, na podłodze. Wszystko jest poprzewracane, jakby toczyła się tutaj walka. Sprzęt laboratoryjny zniszczony, lekarstwa porozrzucane i... – Nagle zamilkł.

– Gorszkow?

Odpowiedziała mi cisza.

– Gorszkow? Jesteś tam?

Znowu cisza. Przystanąłem i mocniej ścisnąłem w rękę broń, gotów natychmiast biec do ambulatorium.

– To dziwne... – powiedział lekarz.

Odetchnąłem z ulgą.

– Co się stało?

– Wszystkie komory chłodnicze do przechowywania zwłok są otwarte, ale żadnych ciał w nich nie ma.

Stwierdziłem, że Gorszkowowi nie grozi niebezpieczeństwo, więc ruszyłem dalej w stronę maszynowni.

– Wygląda na to, że załoga opuściła okręt, zabierając ze sobą trupy – Thorssen wysunął hipotezę. Może naprawdę w to wierzył, a może chciał nas wszystkich uspokoić.

– Tylko dokąd? – zapytałem.

– Tego jeszcze nie wiemy – westchnął komandor. – Może znajdziemy odpowiedź w komputerze pokładowym?

– O ile uda nam się przywrócić główne zasilanie i włączyć wszystkie systemy. – W moim głosie brzmiało powątpiewanie.

Skreśliłem w kolejny korytarz, który miałem nadzieję, zaprowadzi mnie do maszynowni. Większość okrętów miała podobny schemat budowy i różniły się tylko nieznacznie rozkładem pomieszczeń. Ale Rahab był pancernikiem nowej generacji, dziełem nowatorskiej myśli technicznej federacyjnych inżynierów i nie wszystko było na nim tak oczywiste. Właśnie minąłem stanowisko kierowania ogniem, które na okrętach zazwyczaj mieściło się na mostku. Na Rahabie sąsiadowało z magazynem torped.

Śladów krwi nigdzie nie spostrzegłem, ale też nie zobaczyłem żadnego człowieka. Żywego ani martwego. Zaczynałem się zastanawiać, czy przypadkiem nie trafiliśmy na jeden z tych okrętów widm, o których krążyły legendy. Zwiadowcy chętnie opowiadali takie historie po kilku głębszych, żeby zaskarbić sobie sympatię bywalców najpodlejszych barów i dostać za darmo drinka. W tych opowieściach najczęściej były to dryfujące w przestrzeni statki, a po wejściu na pokład okazywało się, że nikogo na nich nie ma. Niektórzy twierdzili, że załogę stanowią duchy, inni, że ludzie, którzy w wyniku klątwy, uroku, czarów lub kary bożej nie mogą opuścić pokładu i skazani są na wieczną tułaczkę. Na pytanie, dlaczego zatem ich nie widać, wstawieni zwiadowcy snuli rozważania o innych wymiarach i pętlach czasowych.



W żadne z tych historii nigdy nie wierzyłem, zdając sobie sprawę, że są one zaczerpnięte z legend morskich z czasów, gdy po ziemskich oceanach pływały jeszcze żaglowce. Jednak w mrocznych korytarzach Rahaba gotów byłem dać im wiarę.

Przeszedł mnie dreszcz. Szybko odgoniłem te irracjonalne myśli.

– Dotarłeś na miejsce? – zapytał Gorszkow.

– Prawie – odparłem, widząc z daleka grodzie sekcji maszynowej.

– Aha – rozległo się w komunikatorze. – Ja tu jeszcze zostanę i przeszukam dokładnie ambulatorium. Mają sprzęt medyczny, o jakim mi się nie śniło. Wyobraź sobie, że znalazłem tu cały zestaw do hodowli neuronów na powierzchni krzemu i materiały potrzebne do produkcji bionicznych narządów. Niesamowite! – Gorszkow był najwyraźniej podekscytowany odkryciem. Jednak szybko się zreflektował i rzekł: – Niektóre urządzenia medyczne mogą się przydać na Selene.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Nasz lekarz zaczynał brać łupy. Nie wiedziałem tylko, czy nie jest to dzielenie skóry na żywym niedźwiedziu. Mogło się okazać, że załoga Rahaba jednak żyje i ma się dobrze.

– Świetnie – powiedziałem zadowolony, że Gorszkow cały czas znajduje się w ambulatorium. – Jak skończysz, idź na mostek. Tam się spotkamy.

– Dobra.

Drzwi do maszynowni były lekko uchylone. Ostrożnie przekroczyłem próg. Spojrzałem na anihilator materii. Nie sądziłem, że może być tak wielki. Konstrukcja, wysoka na co najmniej dziesięć metrów i tak samo szeroka, przytłaczała swoim ogromem. Anihilator pięciokrotnie przewyższał ten zainstalowany

na Selene i przynajmniej dwukrotnie te, które widziałem na okrętach. Nie dostrzegłem wewnątrz wirującego lasera. Urządzenie musiało być wyłączone lub uszkodzone.

Podszedłem do panelu sterującego i sprawdziłem po kolei wszystkie systemy. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że główne zasilanie i silniki są w porządku. Jedyne pierścień indukujący został uszkodzony.

– Jesteś już w maszynowni? – zapytał komandor.

– Tak – odparłem.

– Możesz przywrócić główne zasilanie?

Spojrzałem na zielony przycisk, który wystarczyło nacisnąć, żeby wszystko się uruchomiło.

– Nie – skłamałem.

Z komunikatora dobiegło przekleństwo.

– Dasz radę odblokować port dokowania?

Ponownie zerknąłem na konsolę sterującą. Kontrolka systemu dokowania wskazywała pełną gotowość i brak uszkodzeń.

– Niestety nie, komandorze.

Tym razem z komunikatora dobiegło ciężkie westchnienie.

– Musicie więc sami z Gorszkowem sprawdzić okręt. Przeszukajcie wszystkie pomieszczenia, a potem wracajcie na Selene. Nie podoba mi się to wszystko.

– Mnie też nie – powiedziałem z lekkim uśmiechem. – Bez odbioru.

Wyłączyłem mikrofon, a następnie odłożyłem pistolet i uaktywniłem system zabezpieczeń. Na holograficznym wyświetlaczu pojawiła się klawiatura numeryczna. Rutynowo obejrzałem się, sprawdzając, czy ktoś za mną nie stoi. Byłem sam. Wbiłem tajny kod wojskowy i czekałem w napięciu. Martwiłem się, czy zadziała. Pancernik należał do najnowszej generacji okrętów,

a kod pochodził sprzed kilku lat. Na szczęście po kilkunastu sekundach panel zgasł. Odetchnąłem z ulgą.

Każdy okręt Federacji Solarnej wyposażony był w specjalny system zabezpieczeń, który odcinał systemy sterowania jednostką. Wysocy rangą oficerowie mieli zakodowany w mózgu szyfr pozwalający unieruchomić dowolny okręt federacyjny. Podobno uruchamiał się z podświadomości. Żadnym sposobem nie można go było wyciągnąć z człowieka.

– Czekał tu na mnie, dziecino – powiedziałem i wyszedłem z maszynowni. – Wrócę po ciebie.

Skierowałem się na mostek. Po drodze zaglądałem do mijanych pomieszczeń, ale na nikogo nie natrafiłem. Wczołgałem się nawet do tunelu, którym przesyłano torpedy ze zbrojowni do wyrzutni, ale tam też było pusto.

Po kwadransie dotarłem na mostek Rahaba. Włazy były zatrzaśnięte. Moją uwagę zwróciły wgłębienia w drzwiach. Najwidoczniej ktoś, lub coś, próbował dostać się do środka, ale natrafił na wytrzymałą stal.

Użyłem pistoletu laserowego, wypalając otwór na tyle duży, żebym mógł się przecisnąć. Natrafiłem jednak na barykadę z różnego rodzaju sprzętu, wyrwanych konsol i foteli. Ktoś zamknął się na mostku i zabarykadował w obawie przed niebezpieczeństwem. Zastanawiałem się, kto to mógł być i czego się bał. Czy niebezpieczeństwo pochodziło z zewnątrz? A może ze strony załogi?

Usunięcie przeszkody zajęło mi kilka minut. Gdy wszedłem do środka, oślepiło mnie błękitne światło gwiazdy widocznej za iluminatorem. Skrzywiłem się i w pierwszym odruchu chciałem opuścić to pomieszczenie, uciec jak najdalej od tego upiornego blasku. Zaciśnąłem jednak zęby i rozejrzałem się.

Mostek był ogromny. Naliczyłem blisko trzydzieści stanowisk, a każde z nich wyposażone było w oddzielną konsolę. Rahab bez wątplenia był najnowocześniejszym i najlepszym okrętem, jaki kiedykolwiek widziałem. Uśmiechnąłem się pod nosem. Jednostka stanowiła łąkowy kąsek i będzie niezłą zdobyczą. Bonusem do mojej misji.

Nagle mój wzrok przykuł jeden z foteli. Ktoś na nim siedział! Zwrócony był tyłem do mnie i wpatrywał się w iluminator.

Chwyliłem mocniej broń i bardzo ostrożnie zbliżyłem się do niego. Ktokolwiek to był, zapewne tkwił tam martwy, ale wolałem nie ryzykować. Powoli odwróciłem fotel i wycelowałem pistolet laserowy. Tak jak się spodziewałem, siedzący na nim człowiek nie żył.

Opuściłem broń.

Spoglądałem z niedowierzaniem na trupa dobrych kilka minut. Musiałem być w szoku, bo nawet nie spostrzegłem, jak Gorszkow zjawił się na mostku. Stał przy mnie i spojrzał na osobę na fotelu. Przetarł powieki, nie wierząc własnym oczom. Wreszcie chyba uznał, że to, co widzi, jest prawdą.

– O kurwa! – rzucił tylko.

## Rozdział 8

Pożegnaliśmy Vargesa jak na zwiadowcę przystało. Ciało złożyliśmy w jednej z kapsuł ratunkowych, którą potem wystrzeliliśmy przez służbę Selene. Nie było żadnych patetycznych przemówień, wyliczeń zasług pilota, nikt z załogi nie uronił łzy. Jeśli ktoś poczuł żal lub smutek po stracie towarzysza, nie dał tego po sobie poznać. Nasze twarze były niczym wykute w kamieniu. Nie pierwsza to i nie ostatnia ofiara podboju kosmosu.

Gdy kapsuła z ciałem Vargesa zniknęła w przestrzeni kosmicznej, Abraham wyszeptał modlitwę za zmarłych i na końcu się przeżegnał. Teraz już nie miałem wątpliwości, że jest człowiekiem niezwykle religijnym.

– Pomódl się również za nas – rzekł Bahman z sarkazmem. – Niech twój Bóg pomoże nam wyjść cało z tego gówna, w które się wpakowaliśmy.

Abraham spojrzał na inżyniera z pobłażliwym uśmiechem.

– Niezbadane są ścieżki Pana.

Bahman parsknął pogardliwie.

– Ścieżki Pana? Wygląda na to, że jeśli Bóg istnieje, to jest zawistnym, małostkowym i żądnym krwi tyranem.

– Mylisz się – rzekł spokojnie Abraham. – Bóg odpowiada na modlitwy, wybacza grzechy, ingeruje w bieg ludzkich spraw, ocenia dobro i zło naszych uczynków.

– I uznał, że należy uśmiercić Vargesa?

– Taki widocznie był boży zamysł.

– Poważnie?! – Bahman zdenerwował się. – Zamiast siedzieć na jakiejś bogatej w zasoby planecie, pławić się w przyjemnym blasku jakiejś gwiazdy ciągu głównego i liczyć przyszłe zyski, tkwimy w tym cholernym systemie. Właśnie straciliśmy pilota i wplątaliśmy się w grubą aferę. Naprawdę taki był zamysł Boga?

– Wszystko ma swój cel – odparł Abraham. – Przeciwności losu pozwalają nam wykazać się odwagą i pokorą...

– Przestań pieprzyć! – Bahman machnął ręką na znak, że nie zamierza wdawać się w dysputę z fanatykiem religijnym.

Przyglądałem się Abrahamowi z ciekawością. Taka pobożność charakterystyczna była dla ludzi pochodzących z kolonii. Zmarszczki na twarzy, ciągle zachmurzone czoło i zgasłe oczy mogły świadczyć, że istotnie pochodzi z jakiegoś odległego układu planetarnego, w którym życie nikogo nie oszczędzało.

Wielu już takich spotkałem. Zawsze byli posępni. Czasami na wszystko narzekali, czasami zaś przyjmowali przeciwności losu ze stoickim spokojem. Łapali się wiary w Boga jako ostatniej deski ratunku. Jeśli życie dawało im w kość, to mieli nadzieję, że chociaż po śmierci będzie im lepiej. Wierzyli, że Bóg ich doświadcza, ocenia ich uczynki, żeby po śmierci wynagrodzić ich albo ukarać.

Nie zgadzałem się z nimi. Wierzyłem w nadprzyrodzony inteligentny byt, ale przyjmowałem, że jego aktywność ogranicza się do ustanowienia praw rządzących wszechświatem. Wątpiłem, żeby Bóg ingerował w bieg ziemskich spraw, a już na pewno według mnie nie przejmował się ludzkimi problemami.

Przeniosłem spojrzenie na innych członków załogi. Thorssen patrzył gdzieś w przestrzeń. Nietrudno było zgadnąć, o czym myśli, w jego stalowych oczach bowiem tliła się wściekłość. Zapewne żałował, że na cel wyprawy wybrał gromadę kulistą 47 Tucanae, że

odpowiedział na sygnał SOS, że podjął decyzję o wejściu na pokład Rahaba.

Szenrab wydawał się nieobecny. Drapał się po głowie, jak zawsze, gdy rozważał jakiś problem naukowy. Może zastanawiał się, jakie jest prawdopodobieństwo uderzenia mikrometeoroidu w skafander astronauty, tak żeby go przeciąć? A może kalkulował zupełnie coś innego? Jak choćby kolejną zbrodnię.

Spojrzałem na Gorszkowa. Na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Wydawał się najbardziej wstrząśnięty tym, co spotkało Vargasa. Nie spuszczał wzroku z oddalającej się kapsuły widocznej w wąskim okienku śluzy i w pewnym momencie w jego oczach zalśniły łzy. Otarł je szybko rękawem. Zawsze wiedziałem, że nasz doktor jest wrażliwy, ale nie spodziewałem się, że aż tak będzie przeżywał to, co się stało. A może tylko udawał, żeby odsunąć od siebie podejrzenia?

Westchnąłem ciężko. Od śmierci Vargasa moja paranoja nasiliła się i gorączkowo usiłowałem dociec, kto jest mordercą. Wiedziałem jednak, że muszę zachować spokój i być cierpliwy. Zabójca prędzej czy później popełni błąd. A ja będę przygotowany.

Nie było z nami tylko Katji. Na polecenie Thorssena do wyjaśnienia sprawy została uwięziona w swojej kajucie.

– Najwyższy czas dowiedzieć się, o co tutaj chodzi – rzekł dowódca i spojrzał na Gorszkowa. – Wiemy już, z czym mamy do czynienia?

– Poniekąd – odparł lekarz. – Zapraszam do ambulatorium.

Pomieszczenie medyczne Selene było tylko nieco większe niż nasze kajuty, więc gdy zebraliśmy się tam w sześciu, zrobił się tłok. Z niedowierzaniem spoglądaliśmy na ciało leżące na stole operacyjnym. Od naszego powrotu z Rahaba minęło już ponad

dziesięć godzin i wszyscy mieliśmy czas, żeby się oswoić z nową sytuacją, ale nadal nie mogliśmy uwierzyć w to, co widzimy.

Na stole operacyjnym leżała martwa kobieta. Chociaż nie żyła od dłuższego czasu, wyglądała niezwykle atrakcyjnie. Miała jasne, krótko ścięte włosy kontrastujące z pięknymi miodowymi oczami.

Wyglądała identycznie jak Katja.

– Siostra bliźniaczka? – zapytał Thorssen.

Gorszkow pokręcił głową.

– Klon? – dopytywał się komandor.

– Nie – odparł lekarz. – Android.

– Co?! – zdumiał się Bahman. – To niemożliwe. Znam się na wszelkiego rodzaju automatach i robotach. Dotąd nikomu nie udało się stworzyć cyborga obleczonego w ludzką skórę. Technologicznie to jeszcze niewykonalne.

– Najwidoczniej jednak komuś się udało – rzekł Gorszkow z ironicznym uśmiechem. – Przeprowadziłem dokładne badania, korzystając z najnowszego sprzętu z Rahaba. Wyobraźcie sobie, że mieli tam skanery optyczne potrafiące przeanalizować do tysiąca związków chemicznych w ciągu godziny...

– Gorszkow! – przerwał mu zniecierpliwiony Thorssen. – Do rzeczy.

– Tak, tak, oczywiście – rzekł lekarz i zmarszczył brwi. Najwidoczniej usiłował sobie przypomnieć, o czym wcześniej mówił.

– Mamy do czynienia z robotem, tak? – Dowódca nakierował go na właściwy tor.

– Ta... – doktor zawahał się, spoglądając na ciało – istota to doskonały produkt bioinżynierii. Dzieło geniusza, eksperta zarówno w dziedzinie biologii molekularnej, jak i informatyki i analiz matematycznych. Stworzył istotę idealną.



– To tylko maszyna obleczone w skórę. – Abraham skrzywił się z niesmakiem.

Gorszkow spojrział na niego z dezaprobatą.

– Nie mów tak. Kto wie, czy to nie następca człowieka. Kolejny etap rozwoju.

– O czym ty gadasz?

– Ewolucja zawsze faworyzowała formy życia o największych zdolnościach przystosowawczych. Na Ziemi taką formą okazali się ludzie. Ale czasy się zmieniły. Poleciliśmy w kosmos, kolonizujemy planety, do których nasze organizmy nie są przystosowane. Może czas ustąpić miejsca istotom łączącym cechy ludzi i maszyn? To organizmy lepiej przystosowane do przetrwania w dobie kolonizacji kosmosu. Lepiej niż my znoszą ekstremalne temperatury, są wytrzymalsze i silniejsze. I, jak się okazuje, to my, ludzie, stwarzamy reprezentantów nowej generacji. Można nawet powiedzieć, że się z nimi asymilujemy.

– Co masz na myśli?

– Jej mózg. – Gorszkow wskazał brodą leżącego androida. – To dokładne odwzorowanie ludzkiego mózgu. Nie mam pojęcia, jak naukowcom w federacyjnym instytucie udało się tego dokonać. W mózgu znajduje się około dwustu miliardów komórek nerwowych, a każda połączona jest z dziesięcioma tysiącami neuronów. Sporządzenie mapy wszystkich połączeń nerwowych jest oczywiście możliwe, bo naukowcy pracują nad tym od dwóch stuleci, ale dokładne ich odwzorowanie zakrawa już na cud. Nie wiem, jakiej technologii tu użyto, ale obstawiam wykorzystanie kwantowych tranzystorów mniejszych od neuronu.

– Chcesz powiedzieć, że ona... to coś... jest zdolne do samodzielnego myślenia? – zapytał Thorssen.

– Tak – odparł Gorszkow. – Ale zapewne zainteresuje was fakt, że mózg tego androida to kopia mózgu konkretnego człowieka.

– Co?!

– Naukowcy odwzorowali neuron za neuronem w krzemie i stali. Po uaktywnieniu, które nastąpiło według moich badań nie dalej niż rok temu, android natychmiast miał dostęp do całej pamięci i schematów myślenia osoby, która była wzorcem.

– Katja? – zapytałem.

Gorszkow uśmiechnął się tajemniczo.

– Tak, ale nie ta, która jest na pokładzie.

Zapanowała cisza. Wszyscy spoglądali w osłupieniu na doktora.

– Nic z tego nie rozumiem – pierwszy odezwał się Bahman.

– Zbadałem Katję. – Gorszkow znowu się zawahał. – Naszą Katję. I okazało się, że ona również jest androidem.

Ponownie zapanowała cisza.

– Czy ona o tym wie? – zapytałem.

Gorszkow pokręcił głową.

– Zaszczepiono jej fałszywe wspomnienia i przekonanie, że jest jedyna – odparł. – Uważa, że bez jej wiedzy zbudowano androida na jej podobieństwo. Na razie nie wyprowadzałem jej z błędu.

– Ta cała sytuacja musi być dla niej ciężka – powiedziałem z troską.

– Mówisz o androidzie. – Gorszkow roześmiał się. – Automacie podobnym do Goliatów. To tak, jakbyś współczuł procesorowi, że musi przetwarzać informacje.

– Tu mamy do czynienia ze samoświadomością.

Doktor w zadumie podrapał się po brodzie.

– Fakt – rzekł. – Muszę ci przyznać rację.

– Daleki byłbym od takiego stwierdzenia – wtrącił oburzony Abraham. – Świadomość, ze względu na jej delikatny, uczuciowy

i eteryczny charakter, nie może być częścią fizycznego świata. Jest esencją dodaną do układu fizyczno-chemicznego. Nie można jej traktować w kategorii pojęć fizycznych i chemicznych. Rodzi się z ludzkiej duszy danej nam przez Boga.

– Ten znowu swoje – westchnął Bahman, przewracając oczami.

Abraham spiorunował go wzrokiem.

– Nie mieszałbym do tego religii i mistycyzmu – rzekł Gorszkow. – Mózg rodzi samoświadomość tak, jak żołądek trawi posiłek. To zwykły proces fizyczny. Naszą świadomością rządzi nie dusza, ale mózg.

– Naprawdę uważasz, że to właśnie ten pomarszczony organ odpowiedzialny jest za wszystkie marzenia, tworzenie sztuki, dzieł poetyckich, obrazów i za wszystkie wzniosłe idee powstałe w ciągu tysiącleci? – spytał Abraham.

– Mózg ludzki to arcydzieło złożoności. Jest dostatecznie wyrafinowany, żeby pokierować ruchem atomów i cząsteczek, a co za tym idzie, palcami skrzypka lub genialnego malarza. Ale to nadal tylko organ, ważący półtora kilograma i składający się z biliona komórek, w tym około stu miliardów komórek nerwowych.

Abraham poczerwieniał na twarzy i już otwierał usta, żeby odpowiedzieć lekarzowi, gdy odezwał się Thorssen.

– Spokój, panowie! – rzekł rozżłoszczony tą kłótnią. – Wróćmy do Katji...

– Do androida – poprawił go Gorszkow. – Założę się, że prawdziwa Katja siedzi teraz w federacyjnym instytucie naukowym i planuje kolejne rewolucyjne dzieła.

– Myślisz, że to ona jest tym geniuszem, który zbudował androidy? – zapytałem.

– Na to wygląda – odparł. – Nasza Katja jest najwyższej klasy specjalistką od kognitywistyki. Ma rozległą wiedzę na temat

działania zmysłów, mózgu i procesów myślowych. Wspomniała, że prowadzi projekty dotyczące modelowania inteligencji. Przypuszczam, że w laboratoriach stworzono androidy i skopiowano mózg ich twórcy.

– Tylko dlaczego wysłali te cyborgi akurat tutaj? – zastanawiał się komandor. – Co takiego znajduje się w 47 Tucanae?

Milczeliśmy. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. A może jednak? Popatrzyłem po członkach załogi. Bahman z zaciekawieniem pochylił się nad leżącym na stole androidem, zapewne zaintrygowany wykorzystaną technologią. Z kolei Abraham patrzył na niego ze zgrozą. Szenrab spoglądał gdzieś przed siebie, a z jego oczu nie można było nic wyczytać, natomiast Gorszkow drapał się po brodzie, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Któryś z nich był agentem Federacji i znał odpowiedź na pytanie Thorssena.

– Zastanawia mnie jedno – odezwał się Gorszkow, mrużąc oczy. – Dlaczego android przestał funkcjonować?

– Pewnie zabrakło jej pożywienia – powiedziałem. Nie potrafiłem myśleć o leżącej na stole istocie jako o „czymś”. – Znalazłem ją zabarykadowaną na mostku. Może nie miała dostępu do magazynu z żywnością?

– Nie – zaprzeczył lekarz. – Zbadałem dokładnie androida. Nie potrzebuje wody, pożywienia ani nawet tlenu.

– To co się stało?

– Muszę przeprowadzić dokładniejsze badania, ale wszystko wskazuje na to, że sieć neuronowa mózgu przestała działać, a co za tym idzie, całe ciało, któremu mózg wydawał polecenia. Nie widzę jednak śladu mechanicznego uszkodzenia mózgu. To musiał być jakiś impuls, który dokonał zniszczeń.

– Czy da się odtworzyć pamięć? – zapytał Thorssen. – Może dowiemy się, co spotkało załogę Rahaba?

– A to już nie jest pytanie do mnie – powiedział Gorszkow. – Jestem lekarzem, a nie cybernetykiem.

– Bahman? – komandor zwrócił się do inżyniera.

Ten dłuższą chwilę przyglądał się sztuczному mózgowi widocznemu w otwartej czaszce androida.

– Mogę spróbować – rzekł w końcu. – Ale niczego nie obiecuję. Przyznam szczerze, że ta technologia mnie przerasta.

– Świetnie – ucieszył się Thorssen, jakby był pewny sukcesu inżyniera. – Zatem wszyscy do roboty. Chcę jak najszybciej mieć raport.

– A co z Katją? – zapytałem.

– Katją?

– Tą, którą mamy na pokładzie – odparłem. – Uważam, że powinna wiedzieć, kim, a raczej czym, jest.

– Ty naprawdę traktujesz ją jak istotę ludzką. – Gorszkow mrugnął do mnie. – Przecież nie lubisz automatów.

Odpowiedziałem tylko lekkim uśmiechem i zwróciłem się do Thorsse:

– Jeśli pozwolisz, komandorze, to z nią porozmawiam i wszystko jej wyjaśnię.

Dowódca zastanawiał się chwilę, a potem doszedł chyba do wniosku, że w niczym to nie zaszkodzi.

– Nie widzę przeciwwskazań.

Podziękowałem mu i wyszedłem na korytarz. Ruszyłem w stronę kajut. Uważałem, że muszę powiedzieć Katji całą prawdę. Gorszkow miał rację – nie lubiłem autonomicznych robotów i wszelkiego rodzaju urządzeń symulujących życie. W przypadku Katji było jednak inaczej.

Pod warstwą tkanki znajdował się stalowy szkielet niewiele różniący się od szkieletu Goliatów, ale dali jej umysł prawdziwej kobiety. Otrzymała te same emocje, uczucia i schemat zachowań. Wierzyłem, że dzięki temu została obdarzona świadomością, a to czyniło ją taką samą istotą jak ja.

Stanąłem przed drzwiami kajuty. Wiedziałem, że to będzie ciężka rozmowa – nie tylko dla niej, ale również dla mnie. Wreszcie wzięłem się w garść, sięgnąłem do elektronicznego zamka i wbiłem szyfr.

Katja nie wyglądała dobrze. Oczy miała podkrążone, uwypukliły się jej zmarszczki, od razu widać było, że płakała. Zastanawiałem się, ile wysiłku włożyli bioinżynierowie w zbudowanie tak doskonałej imitacji ludzkiego ciała. Przyglądałem się jej uważnie, próbując znaleźć w mimice twarzy, w gestach i ruchach najmniejszy choćby błąd, który w jakiś sposób pozwoliłby mi myśleć o niej jako o maszynie, a nie człowieku. Niestety, niczego takiego nie spostrzegłem. A może nie chciałem?

Zapraszającym gestem wskazała, żebym znalazł sobie miejsce. Usiadłem na koi obok niej. Długo wpatrywałem się w jej jasne włosy i miodowe oczy.

– Katju – zacząłem łamiącym się głosem.

Ujęła moje dłonie. Poczulem ciepło. Ciepło ludzkiego ciała. Spojrzała mi głęboko w oczy.

– Po prostu mi powiedz – rzekła. – Chcę znać prawdę.

Skinąłem głową i zacząłem mówić. Mówiłem dobry kwadrans. A ona słuchała, coraz bardziej blednąc. Gdy skończyłem, jej usta drżały. Przez jakiś czas milczała, a potem nagle wyrzuciła z siebie:

– To jakaś bzdura!

– Posłuchaj...

– Co za chory dowcip! – nie dała mi dojść do słowa. – Kto to wymyślił? Ty? Szenrab? Gorszkow? A może komandor? Nie, to nie mógł być on. Dlaczego mi to robicie?

Głos jej się załamał. Spojrzała na mnie błagalnie, z nadzieją, że to tylko głupi żart. Nie zobaczyła jednak na mojej twarzy uśmiechu. Zrozumiała, że mówię prawdę.

– Przecież ja doskonale pamiętam swoją przeszłość – powiedziała cicho, szukając jakiegokolwiek deski ratunku. – Dzieciństwo, rodziców, studia, facetów i kobiety, z którymi chodziłam do łóżka. To niemożliwe...

– Fałszywe wspomnienia. Przykro mi. Mogę się tylko domyślać, co czujesz...

– Gównno się domyślasz – wysyczała Katja, przyjmując postawę obronną. – W co ty grasz? Co chcesz mi wmówić? Jaki masz w tym cel? Jestem kobietą, człowiekiem. Myślę, czuję i co miesiąc krwawię!

Westchnąłem ciężko. Miałem do czynienia z wyparciem... ze strony androida. W innym miejscu i czasie śmiałybym się z tego, biorąc to za dobry żart, ale tu i teraz czułem tylko smutek. Współczułem jej, istocie, której zaszczepiono wspomnienia, sposób myślenia i osobowość żywej kobiety. Kobiety, która istniała naprawdę. A czy Katja nie była prawdziwa? Czym tak naprawdę różniła się od swego wzorca? No może tylko tym, że jej skóra została wyhodowana w laboratorium, zamiast kości miała specjalną stal, a jej mózg zbudowany był z elektronicznych neuronów.

– Wiesz, że to prawda – powiedziałem, spoglądając jej głęboko w oczy. Zastanawiałem się, czy prawdziwa Katja też ma tęczęwki w kolorze miodu.

Bezradnie opuściła ramiona. Po policzku popłynęły jej łzy.

– Jak mam teraz żyć ze świadomością, że jestem replikantem? – spytała łamiącym się głosem. – Kopia kogoś, kto stworzył mnie na

swój obraz i podobieństwo, a potem wgrał mi jeszcze swoje zachowania, zalety, wady, sposób bycia? Skoro nie jestem człowiekiem, to kim jestem? – Spojrzała na mnie z nadzieją.

Straciła poczucie tożsamości, fundament istnienia, a ja gorączkowo próbowałem znaleźć odpowiedź.

– Ode mnie niczym się nie różnisz – odparłem. – Czujesz tak samo jak człowiek, myślisz tak samo jak człowiek. To czyni cię istotą obdarzoną świadomością.

Katja roześmiała się, ale to był pusty, gorzki śmiech.

– Nie mów mi, czym jest świadomość. Poświęciłam jej lata badań.

– Ty?

Zamilkła i opuściła głowę.

– Dlaczego tu jesteś? – spytała cicho. – Z tego, co słyszałam, nie znosisz maszyn.

Delikatnie odgarnąłem kosmyk włosów z jej twarzy.

– Nie jesteś maszyną – powiedziałem z całym przekonaniem. – Maszyny są zaprogramowane do wykonywania poleceń. Ty możesz sama podejmować decyzje.

– Masz na myśli wolną wolę?

Uśmiechnąłem się i delikatnie otarłem opuszkami palców łzy spływające po jej policzku.

– Tak – odparłem. – Tak można to nazwać. I chociaż masz odwzorowaną tożsamość innej osoby, możesz sama decydować o własnym losie.

– Nie jestem przekonana.

– Nie wątp w to.

Przyciągnąłem ją do siebie i objąłem. Przyłgnęła do mnie z ulgą, wtulając się w moje ramiona. Poczułem jej zapach i ciepło. Trwaliśmy tak dłuższą chwilę, aż wreszcie poszukaliśmy swoich ust



i zwarliśmy wargi w pocałunku. Najpierw delikatnym, bardzo ostrożnym, jakbyśmy bali się spłoszyć specyficzną więź, jaka się między nami wytworzyła, a potem już odważnym i zachłannym.

Nasze języki tańczyły, ciała przylgnęły do siebie jeszcze mocniej. Szybko uporałem się z zapięciem jej uniformu i ująłem jej jędrne piersi. Dzieło federacyjnych bioinżynierów. Przywarłem do nich wargami, drażniąc brodawki i smakując skórę wokół nich.

Katja odchyliła głowę i przymknęła powieki, pozwalając, aby o władnęło ją podniecenie. Jęknęła cicho i rozpięła mi spodnie. Wsunęła w nie dłoń i zaczęła mnie pieścić. Poczułem narastającą żądzę zaprogramowaną przez najpotężniejszego z programistów – Naturę.

Jednym gwałtownym ruchem ściągnąłem z niej spodnie wraz z majtkami i zanurzyłem się w jej ciepłe, zapachu i wilgoci. Katja zapraszająco rozłożyła nogi. Pieściłem ją teraz palcami, językiem, ustami. Coraz mocniej i intensywniej. Wreszcie poczułem, że dłużej nie wytrzymam. Nie mogłem czekać.

Pchnąłem ją na koję i zaraz do niej przywarłem. Przyjęła mnie z zachłanną niecierpliwością, opłótła nogami, ustami wpiła się w moją szyję. Kochaliśmy się mocno, gwałtownie, pragnąc szybkiego spełnienia. Doszedłem pierwszy, jednak nadal rytmicznie poruszałem biodrami, chcąc dostarczyć jej jak największej przyjemności. Spoglądałem na jej drżące usta, przymknięte powieki i zroszoną potem twarz. Wreszcie krzyknęła i wyprężyła się jak struna.

Spełnieni i zmęczeni jeszcze chwilę się całowaliśmy. Teraz już delikatnie i subtelnie.

Opadłem obok niej na koję. Oddychaliśmy ciężko. Nasze ciała były splecione, mokre od potu. Zapach seksu wypełniał kajutę. Zastanawiałem się, czy prawdziwa Katja, ta na Ziemi, tak samo

przeżywa orgazm. A może ta Katja wykształciła w sobie inny typ zachowań i nie naśladuje ślepo swojego wzorca?

Spojrzałem na nią. Leżała przytulona do mojego ramienia. Powieki miała przymknięte, jej oddech zdążył się już uspokoić, rysy twarzy się wygładziły. Trudno było w niej dostrzec maszynę. Wyglądała jak normalna kobieta, odprężona po udanym seksie. Ta ostatnia myśl bardzo mi się spodobała.

– Co teraz będzie? – zapytała.

Wiedziałem, że pyta o siebie, o nas, o całą tę wyprawę.

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą.

Przez kolejne kilka minut wsłuchiwalismy się we własne oddechy. Myślałem już, że Katja zasnęła, gdy nagle otworzyła oczy.

– Powiedziałeś, że mam wolną wolę. Naprawdę tak sądzisz?

– Tak – odparłem z przekonaniem.

– A ty?

Spojrzałem na nią zdziwiony.

– Oczywiście.

– Nigdy nie zdarzyło ci się zwątpić?

– Nigdy.

– Widzę, że jesteś absolutnie przeświadczony o własnej autonomii i samostanowieniu – rzekła z sarkazmem. – Czy rzeczywiście świadoma myśl może zmusić mózg do zrobienia czegokolwiek?

– Wolna wola jest źródłem absolutnie wszystkich naszych poczynań.

– Czyżby? – Katja uniosła lekko brew. – W instytucie przeprowadziliśmy kiedyś eksperyment. Ochotnicy, patrząc na zegar, mieli poruszać nadgarstkiem i jednocześnie informować, kiedy po raz pierwszy zapragnęli wykonać tę czynność. Czujniki na nadgarstkach badanych informowały o dokładnym czasie

poruszenia mięśni. Poprzedzająca każde świadome działanie czynność mózgu, zwana wzrostem aktywności kory ruchowej, rozpoczynała się sekundę przed wykonaniem ruchu, a nawet nieco wcześniej. Gdy pacjenci informowali o zamiarze wykonania ruchu, okazywało się, że działanie zawsze poprzedzała intencja. Wszystko szło tak, jak powinno. Ale – uniosła się i podparła głowę na łokciu – nagle odkryliśmy, że świadomą decyzję poprzedzają dużo wcześniejsze przygotowania kory ruchowej.

– Nie rozumiem.

– Mózg przygotowywał się do wykonania ruchu z mniej więcej półsekundowym wyprzedzeniem, średnio zaś działo się to na trzysta pięćdziesiąt milisekund, nim badany zaczynał zdawać sobie sprawę, że chce się poruszyć.

Zmroziło mnie.

– Chcesz powiedzieć, że nie kontrolujemy własnych myśli, zachowań, a nawet intencji?

– Dokładnie – odparła Katja z ironicznym uśmiechem.

Nie mogłem w to uwierzyć.

– Może eksperyment był obciążony jakimś błędem?

Pokręciła głową.

– Powtórzyliśmy go wiele razy, w różnych grupach testowych. Wynik zawsze wychodził ten sam. Zresztą to nie jedyne źródło wiedzy na ten temat. Neurofizjologia potwierdza, że nasze intencje to iluzja.

– Od początku do końca wypełniamy tylko jakiś plan?

– Na to wychodzi – powiedziała. – A to oznacza, że ludzie są zaprogramowani, tak jak się programuje automaty.

– Przez kogo?

Wzruszyła ramionami.

– Przez naturę? – próbowała zgadywać. – Boga? Wyższą inteligencję?

Zmrużyłem oczy, intensywnie rozważając to, co usłyszałem od Katji. Jeśli faktycznie zostaliśmy zaprogramowani, każde nasze słowo czy gest zostały z góry ustalone, to wiążą się z tym ogromne implikacje natury etycznej i moralnej. Okazuje się bowiem nagle, że nie możemy odpowiadać za własne czyny. W tym momencie wszelkie systemy religijne oparte na ciągłym samodoskonaleniu i żalu za popełnione grzechy można wyrzucić do kosza.

Wydawało się to tak absurdalne, że zupełnie nie mieściło się w żadnych kategoriach logicznego rozumowania. Nie wyobrażałem sobie siebie jako wysoce zaawansowanego automatu. Tak samo jak jeszcze przed godziną Katja nie wyobrażała sobie siebie jako androida.

A może cała nasza rzeczywistość jest iluzją? Pewnego rodzaju spektaklem, w którym odgrywamy rolę aktorów do czasu, aż przyjdzie facet z obsługi technicznej i wyłączy reflektor?

Była jednak jeszcze jedna możliwość, o której Katja nie wspomniała. Może jesteśmy marionetkami, a ktoś pociąga za sznurki? W takim przypadku nasze myśli i odczucia są myślami i odczuciami kogoś, kto nami steruje. I dlatego otrzymujemy je chwilę później.

Nie zdążyłem wgryźć się w ten pomysł, bo nagle rozległ się sygnał alarmowy.

## Rozdział 9

Biegłem na mostek ile sił w nogach. Po drodze ubierałem się pośpiesznie, bo w kajucie Katji zdążyłem tylko włożyć spodnie i buty. Na korytarzu minąłem Gorszkowa. Zupełnie zdezorientowany spytał mnie, co się stało. Kiwnąłem tylko ręką, dając mu znać, żeby biegł za mną. Nie było czasu na rozmowy. W chwili zagrożenia na tak małym statku jak Selene każda sekunda mogła decydować o życiu lub śmierci.

Gorączkowo zastanawiałem się, dlaczego włączył się system alarmowy. W pierwszej chwili pomyślałem, że trafił nas jakiś meteoroid lub Selene została ostrzelana. Nie poczułem jednak żadnego wstrząsu, a sztuczna grawitacja nadal działała. To oznaczało, że niebezpieczeństwo nie mogło nadejść z zewnątrz.

Zdyszany dotarłem na mostek i w progu oślepił mnie błękit sączący się przez iluminator. Cofnąłem się nieco, odwracając wzrok. Mógłbym przysiąc, że gwiazda lśni intensywniej, niż gdy ją widziałem po raz ostatni. Jej blask wydawał się jeszcze bardziej upiorny i przygniatający.

Przemogłem się jednak i spojrzałem. Za iluminatorem zobaczyłem wiszącego w przestrzeni Rahaba. Nie było żadnych nowych obiektów. Rozejrzałem się po mostku i spostrzegłem Thorssena pochylonego nad panelem sterującym. Sprawdzał po kolei funkcjonowanie wszystkich sekcji.

– System podtrzymywania życia w porządku – oznajmił. – System napędowy i poszycie kadłuba również... – Nagle zbladł. –

Mamy pożar!

– Gdzie?

– Sekcja magazynowa.

Nie czekając na dalsze informacje, ruszyłem do wyjścia. Na progu zderzyłem się z Gorszkowem. Wyminąłem go bez słowa i pobiegłem do sekcji magazynowej. Za sobą słyszałem kroki lekarza i komandora.

Dotarcie do grodzi zajęło mi niecałe pół minuty. Nacisnąłem przycisk i drzwi natychmiast się otworzyły. Magazyn był największym pomieszczeniem na statku. Właśnie tam znajdowały się zbiorniki z wodą, pojemniki z żywnością i generatory tlenu. Najpierw spostrzegłem pożar. W ogniu stała jedna z czterech świec tlenowych. Dopiero potem zobaczyłem Szenraba leżącego na podłodze i wijącego się w płomieniach.

Natychmiast rzuciłem się, żeby go ratować. Ściągnąłem bluzę i zacząłem nią gasić płomień. Z pomocą pospieszył mi Gorszkow. Wspólnie udało nam się stłumić ogień. Odciągnęliśmy astrofizyka pod ścianę. Był na wpół przytomny. Na szczęście jego rany nie były poważne. Co prawda górna część kombinezonu była w strzępach, ale oprócz jednej na ramieniu nie miał zbyt rozległych ran.

W tym samym czasie Thorssen zmagał się z pożarem. Dołączył do niego Abraham, który nagle zjawił się w magazynie. Pewnie widział, jak do niego biegniemy, i podążył za nami. We dwóch szybko uporali się z ogniem. Alarm ucichł.

Komandor otarł pot z czoła i spojrzał na leżącego Szenraba.

– Co z nim?

– Nic mu nie będzie – odparł Gorszkow, badając puls astrofizyka. – Trochę oparzeń i zadrapań. Zabieram go do ambulatorium.

Abraham pomógł lekarzowi dźwignąć Szenraba i trzymając go w pasie, wyszli z magazynu.

Zostaliśmy z Thorssenem sami. Komandor nie spuszczał wzroku ze spalonego modułu świecy tlenowej. W jego oczach tliła się wściekłość. Miał prawo do gniewu. Pech towarzyszył mu od samego początku wyprawy. Najpierw Federacja Solarna zmusiła go do zabrania dodatkowego członka załogi, potem odebrał sygnał SOS, następnie zginął pilot. A teraz jeszcze to.

Pochyliłem się nad dymiącymi jeszcze szczątkami modułu. Stalowe kasetki zawierające nadchloran litu zostały kompletnie zniszczone. Pożar wywołało zapewne paliwo, którego powolne spalanie uwalniało z kaset tlen tłoczony następnie do wentylatorów.

Jednak paliwo zgromadzone w module nie mogło spowodować aż takich zniszczeń. Bezpośrednią przyczyną musiało być coś innego. Nadchloran litu tworzy mieszaniny wybuchowe ze związkami organicznymi. Wystarczyło zatem trochę pomajstrować przy kasetkach, wprowadzić tam odpowiednią substancję i poczekać. To nie było trudne. Nie miałem wątpliwości, że to sabotaż.

– Jak to się mogło stać? – spytał komandor, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Wypadek – odparłem, nie chcąc na razie dzielić się z nim podejrzeniami. – Czasami się zdarzają.

Thorssen spojrzał na mnie zimno.

– Nam się zdarzają zbyt często – wycedził.

Nic na to nie powiedziałem.

– Śmierć Vargesa to nie był przypadek, prawda?

Zamrugalem, udając zaskoczenie.

– Nie rozumiem...

– Doskonale rozumiesz – prychnął Thorssen. – Powiedz, jakie jest prawdopodobieństwo, że mikrometeoroid przebije skafander.

– Niewielkie, ale...

– Praktycznie zerowe – poprawił mnie. – Świece tlenowe też same nie wybuchają. Słyszałem tylko o jednym takim przypadku. Na zdezelowanym frachtowcu kursującym pomiędzy Deneb Kaitos a Fomalhaut. Mechanik postanowił dokonać ulepszeń i skończyło się to poważnymi zniszczeniami oraz śmiercią kilku członków załogi.

Zbliżył się do mnie tak, że czułem jego oddech na twarzy.

– Na Selene zamontowałem atestowane świece tlenowe najlepszego producenta. Tylko mi nie mów, że to błąd fabryczny.

– Nie – odparłem. – To nie był błąd fabryczny.

W oczach Thorssena pojawił się niebezpieczny błysk.

– Powiedz mi, co się dzieje na moim statku.

Westchnąłem. Wiedziałem, że muszę mu w końcu wyznać prawdę. A raczej część prawdy. Thorssen był jedynym człowiekiem na Selene, którego byłem pewien i któremu mogłem zaufać. Oczywiście w pewnym zakresie. Nie mogłem mu zdradzić wszystkiego.

– Wśród załogi jest dobrze wyszkolony agent Federacji Solarnej, który zamordował Vargesa.

– Zamordował? – W głosie dowódcy brzmiało niedowierzenie.

– Uhm – odparłem. – W przeszłości Varges był nie tylko pilotem wojskowym, ale również oficerem jednostki specjalnej podlegającej służbom bezpieczeństwa.

– Skąd to wiesz?

Uśmiechnąłem się lekko.

– Mam swoje sposoby.



– I swoje tajemnice – dodał komandor, przyglądając mi się podejrzliwie. – Mów dalej.

– Varges rozpoznał agenta Federacji na pokładzie Selene. Mógł go znać ze szkolenia albo ze służby. Tego już nigdy się nie dowiemy. Agent zorientował się, że został rozpoznany, a potem zabił w obawie, że Varges go zdekonspiruje.

– Zatem uszkodzenie skafandra nie było przypadkowe.

– Nie było.

– Jak to możliwe, że Varges nie zorientował się w służbie, że skafander ma defekt?

– Morderca prawdopodobnie użył nanitów, które aktywowały się po jakimś czasie i przecięły rękaw skafandra. To wystarczyło.

– Nanitów?! – zdumiał się Thorssen. – Przecież ta technologia jest cholernie droga!

– Jak widać, w tym wypadku Federacja Solarna zupełnie nie liczy się z kosztami. Wyposażyli agenta w nanoroboty, przysłali tu swój najpotężniejszy okręt, a także najnowszej generacji androidy. Najwidoczniej bardzo im zależy na eksploracji tego systemu.

– Dlaczego? Co tu się takiego znajduje?

Wzruszyłem ramionami.

– Może niedługo się dowiemy?

– Nie zamierzam tutaj zostać! – warknął Thorssen. – Odpowiedzieliśmy na sygnał SOS, weszliśmy na pokład Rahaba i dokonaliśmy oględzin. Nie znaleźliśmy żadnego członka załogi, oprócz tego androida. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Nie podoba mi się ta cała sytuacja, nie podoba mi się ten pierdolony, upiorny błękit gwiazdy. Czas się stąd zmywać. Polecimy do systemu, który wcześniej wyznaczaliśmy na cel badań. Dokonamy oględzin, zbierzemy materiał i wrócimy do domu. Po powrocie poinformujemy władze o Rahabie i oddamy im androida.

Zmarszczyłem czoło. Nie podobało mi się to, w jaki sposób Thorssen mówił o Katji. Traktował ją jak rzecz, automat będący własnością Federacji Solarnej, gdy ja widziałem w niej żywą istotę mającą własny rozum i świadomość.

– Z tych planów nic nie wyjdzie, komandorze – rzekłem, krzywiąc usta w ironicznym uśmiechu. – Zostaniemy tutaj.

– Dlaczego?

– Ktoś się o to postarał. – Wskazałem brodą zniszczoną świecę tlenową.

– To był sabotaż?

– Na to wygląda. Nasze zasoby tlenu zmniejszyły się znacznie, pozostało go nam na jakieś pięćdziesiąt godzin. Nie wystarczy na dotarcie do tamtego systemu i zbadanie go. Mamy dwa wyjścia. Możemy natychmiast wracać do Układu Słonecznego i nic nie zyskać na tej wyprawie albo zostać tutaj i sprawdzić planetę, na orbicie której się znajdujemy. Sabotażysta dobrze wiedział, że nie będzie pan chciał opuścić 47 Tucanae z pustymi rękoma. Tak więc zostaniemy w tym systemie.

Thorssen zaczął masować sobie skronie. W jego oczach ujrzałem niepewność. Miał trudny orzech do zgryzienia. Zainwestował w wyprawę cały swój majątek i jeśli wróci z niczym, będzie bankrutem. Z drugiej strony na szalę kładł ludzkie życie, nie tylko swoje, ale całej załogi, za którą był odpowiedzialny.

– Muszę to przemyśleć – rzekł.

– Rozumiem. – Skinąłem głową. – Ale brakuje nam czasu. Jeśli mamy zbadać planetę, musimy działać szybko.

– Wiem – przerwał mi. – Za godzinę dam odpowiedź. A wy przygotujcie sprzęt do ewentualnego lądowania. – Ruszył w stronę grodzi. Na progu zatrzymał się, odwrócił i raz jeszcze spojrzął na zniszczoną świecę tlenową. – Podejrzewasz, kto mógł to zrobić?

Pokręciłem głową.

– Katja?

– Nie – odparłem. – Sabotażu dokonano w ciągu ostatnich dwóch godzin. Tyle trzeba było, żeby substancje się wymieszały. A ona przez cały ten czas była ze mną.

Komandor spojrzał na mnie dziwnie.

– Rozumiem – rzekł. – Jeszcze jedno.

– Hm?

Thorssen zmarszczył brwi i wskazał na zniszczony moduł.

– Chcę wiedzieć, kto to zrobił, zanim wyrządzi większe szkody.

– Jak będę coś wiedział, dam znać.

Skinął głową.

– W razie czego będę u siebie.

Sprawdziłem pozostałe moduły świec tlenowych. Tak jak się spodziewałem, były w porządku. Sabotażysta nie chciał odciąć nas zupełnie od tlenu, ale ograniczyć jego zapasy, żebyśmy pozostali w tym systemie.

Wyszedłem z sekcji magazynowej i skierowałem się do ambulatorium.

Szenrab siedział na stole operacyjnym, a Gorszkow opatrywał go.

– Ramię może jeszcze trochę boleć – powiedział. – Zastosowałem terapię regeneracyjną skóry, natryskując na ranę twoje komórki macierzyste. W ciągu tygodnia skóra będzie jak nowa. Nie ściągaj opatrunku przez przynajmniej dwadzieścia cztery godziny. Zawiera specjalne tuby ciągnące się wzdłuż rany. Tworzą sztuczny system naczyń krwionośnych i dostarczają elektrolity, antybiotyki, aminokwasy, glukozę...

– Dobrze, dobrze. – Szenrab wyszczerzył się. – Wystarczy tego lekarskiego bełkotu.

– Będzie żył? – zapytałem.

Gorszkow spojrział z powątpiewaniem na swojego pacjenta.

– Nie wiem jeszcze, jak długo – odparł. – Ale na razie tak.

Roześmialiśmy się. To było nam potrzebne. Po chwili jednak nasze twarze znowu stężały.

– Co tam się stało, Szenrab? – zapytałem.

Astrofizyk bezradnie pokręcił głową.

– Prawdę mówiąc, niewiele pamiętam – rzekł. – Poszedłem do magazynu sprawdzić stan zapasów tlenu, bo komputer pokładowy wykazywał jakieś przekłamanie na jednym z modułów. Widocznie już wtedy musiało dziać się z nim coś niedobrego. Pochyliłem się nad wskaźnikiem, a potem pamiętam już tylko huk i ogień.

– Musiała wybuchnąć świeca tlenowa – powiedziałem w zadumie. Nagle uderzyła mnie myśl, że to mogła być specjalnie zastawiona pułapka. Ale zaraz stwierdziłem, że agent Federacji Solarnej nie mógł przewidzieć, kto z załogi i kiedy pójdzie sprawdzić wskaźniki tlenu. W magazynie nie znalazłem śladu zapalnika czasowego. Uznałem, że Szenrab miał po prostu pecha. Znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. – Odpoczywaj – rzekłem i opuściłem ambulatorium.

Poszedłem na mostek, gdzie wachtę pełnił Abraham. Powiedziałem mu o rozkazie komandora i wspólnie przygotowaliśmy statek do lądowania. Każdy system sprawdziłem po dwa razy, chociaż wiedziałem, że wszystko będzie w porządku. Agentowi Federacji Solarnej zależało, by pozostać w tym systemie. Lądowanie na planecie bardzo mu odpowiadało.

Usiadłem w fotelu pierwszego pilota i zapatrzyłem się na Rahaba widocznego przez iluminator. Ogromny i milczący, trwał niczym tytan w kosmicznej próżni. W żaden sposób nie chciał

zdradzić swojej tajemnicy, dać znać, co się wydarzyło na pokładzie. Gdzie się podziała cała załoga? Dlaczego pozostał tylko android?

Nie udało nam się odtworzyć dziennika pokładowego ani żadnego z zapisów kamer Rahaba. A pancernik nie miał świadomości, nie potrafił mówić i musieliśmy liczyć się z tym, że nigdy nie poznamy prawdy o dramacie, jaki się tam rozegrał.

Odwróciłem się w fotelu, bo dłużej już nie mogłem zdzierżyć upiornego blasku błękitnego marudera, który – zdawało się – przenikał przez moje oczy i wdzierał się głęboko w ciało. Spojrzałem na Abrahama. Geolog przeglądał trójwymiarową mapę powierzchni planety, szukając najlepszego miejsca do lądowania. Zastanawiałem się, czy to on może być agentem Federacji. Brak poczucia humoru i sztywne ruchy wskazywały na wojskowego, lecz jego głęboka wiara zupełnie nie pasowała mi do tego wizerunku. Tylko że religijność można udawać, natomiast pewnych nawyków, automatyzmu działania już nie.

– Skąd pochodzisz, Abraham? – zapytałem.

Posłał mi groźne spojrzenie spode łba, po którym ktoś inny odpuściłby sobie konwersację. Ale ja byłem ulepiony z twardej gliny. Patrzyłem mu w oczy i czekałem na odpowiedź. W końcu nie wytrzymał.

– Czemu chcesz to wiedzieć? – odburknął.

– Znajdujemy się na jednym statku, daleko od Ziemi, w dodatku sytuacja robi się coraz bardziej dramatyczna. Być może będziemy musieli liczyć na siebie. Po prostu chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia. To chyba normalne?

Abraham przerwał pracę, oparł się plecami o konsolę sterującą i zapatrzył w przestrzeń.

– Jota Draconis – rzekł. – Pochodzę z gazowego olbrzyma krążącego wokół joty Draconis.

Usiłowałem sobie przypomnieć wszystko o tym systemie, niewiele jednak wiedziałem. To była jedna z tych niewielkich kolonii, jakie w ostatnim stuleciu powstawały niczym grzyby po deszczu. Ale nazwa coś mi mówiła. Po chwili sobie przypominałem – Jota Draconis to jeden z trzech systemów, które w ostatnim roku ogłosiły niepodległość. Federacja Solarna długo zastanawiała się, czy wysłać tam wojska, bo chociaż kolonia nie przynosiła dużych dochodów, rząd nie tolerował buntów. Ostatecznie przeważyły czynniki ekonomiczne i zrezygnowano z pacyfikacji.

– W jaki sposób udało ci się zachować licencję? – spytałem.

Obywatelom zbuntowanych kolonii odbierano prawo do pracy na statkach zarejestrowanych w Federacji Solarnej.

– Nikomu się nie przyznaję, że stamtąd pochodzę – odrzekł. – To zapadła dziura. Wierz mi, nie znajdziesz gorszego miejsca w całym wszechświecie. Jota Draconis to pomarańczowy olbrzym emanujący niewielką ilość światła, więc ludzie żyją tam przy sztucznym oświetleniu. Od narodzin aż do śmierci. Stacja krążąca wokół jedynej planety zbudowana została jeszcze w poprzednim stuleciu. Od tamtej pory ani razu nie była modernizowana. Jak się domyślasz, ekipy remontowe mają co robić. – Abraham chciał się uśmiechnąć, ale na jego wargach pojawił się tylko grymas. – Mieszkańcy zajmują się pozyskiwaniem z atmosfery planety cennych gazów, które później transportowane są do Układu Słonecznego. W zamian za to Federacja Solarna dostarcza żywność i lekarstwa, które trzeba racjonować, bo ledwie wystarcza ich do następnej wizyty transportowców.

– To musiało być piekło – powiedziałem.

Geolog pokiwał głową.

– Gdy opuściłem rodzinną stację, mieszkało na niej około trzech tysięcy osób i już było ciasno. Słyszałem, że teraz jest ich tam

dwa razy więcej. Wiesz, jak to jest, gdy ludzie stłoczeni są na małej przestrzeni. Nieustannie czujesz odór ciał, dusisz się i nagle zdajesz sobie sprawę, że tak będzie wyglądał każdy twój dzień. Do końca życia. Jedyłą pociechą była dla nas religia. Wiara w Boga jest dla mnie ważna i dodaje mi sił w chwilach zwątpienia.

Teraz rozumiałem, skąd jego biblijne imię.

– Nie mogłem już tego znieść – mówił dalej. – Smrodu, ciasnoty, monotonii i bezradnego oczekiwania na śmierć. Chciałem poczuć przestrzeń i wolność. Wówczas byłem jeszcze młody i pełny zapału. Udało mi się niepostrzeżenie wślizgnąć na statek transportowy i ukryty w maszynowni, opuściłem rodzinny system. Wierzyłem, że na Ziemi rozpocznę nowe życie. – Tym razem na jego ustach pojawił się uśmiech. Nieco smutny i ponury, ale prawdziwy. – Urodzony na stacji kosmicznej nigdy nie miałem okazji dotknąć stopami powierzchni planety. Nie miałem okazji oddychać świeżym powietrzem i iść tam, gdzie oczy poniosą. Miałem nadzieję, że moje marzenia się spełnią. – Uśmiech nagle zgasł. – Niestety, nie trafiłem na Ziemię. Statek transportowy, którym leciałem, miał w rozkładzie jeszcze jeden przystanek. Przez głupi pech trafiłem do systemu, który właśnie ogłosił autonomię. Transportowiec został zarekwirowany przez nowe władze, a ja tam utknąłem. W sumie na początku nie było tak źle. Zdobyłem pracę, rozpocząłem studia geologiczne. Miałem dziewczynę i przyjaciół. Myślałem, że wreszcie znalazłem upragnione wolność i szczęście. – Zamilkł. Wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, jakby widział tam sceny z przeszłości. – Myliłem się – rzekł po chwili. – Rok później do systemu przybyła armia Federacji i przeprowadziła pacyfikację. Nie wiem, ilu ludzi wówczas zginęło, ale trzy miasta zostały zrównane z ziemią. To była zemsta za rebelię. Moja dziewczyna zginęła, gdy wracała z pracy do domu. Podczas bombardowania planetarnego... – Abraham

z trudem powstrzymywał łzy. – A potem do zrujnowanych miast wkroczyło wojsko. Żołnierze strzelali do wszystkich. Kobiet, dzieci, starców. Na moich oczach rozstrzeliwano moich przyjaciół i sąsiadów. To była rzeź.

Nagle coś mnie tknęło.

– Co to był za system?

– Al Nath.

Zbladłem i zakręciło mi się w głowie. Przymknąłem powieki. Wzięłem kilka głębokich wdechów, próbując odsunąć od siebie ból, który wychynał zza dawno zamkniętych drzwi. Otrząsnąłem się i dopiero wtedy zacząłem trzeźwo myśleć.

Wszystko układało się w logiczną całość. Vargas uczestniczył w pacyfikacji Al Nath, a Abraham był jej ofiarą. W jakiś sposób dowiedział się o przeszłości naszego pilota i postanowił się zemścić.

– Co było potem? – zapytałem.

– Dostałem się do niewoli i przewieziono mnie do jednego z tych więzień krążących wokół Jowisza. Znowu stalowa klatka, znowu smród ludzkich ciał i ograniczenie wolności. Czułem się, jakbym wrócił na jotę Draconis. – Abraham westchnął ciężko. – Myślałem, że przyjdzie mi tam zdechnąć, ale zdarzył się cud. A może to litościwy Bóg czuwał nade mną? Szukali wśród więźniów kogoś znającego się na geologii do pracy w pasie asteroid. Zgłosiłem się i spędziłem tam dwa lata. Przydzielono mnie do biura projektów, więc nie miałem źle. Karmili dobrze, przestrzeni było więcej i mogłem pogłębić wiedzę w mojej dziedzinie. – Uśmiechnął się. – A potem zdarzył się kolejny cud. Zostałem objęty amnestią i po raz pierwszy w życiu mogłem sam decydować o swoim losie. Postanowiłem spróbować swoich sił jako zwiadowca.

Długo przyglądałem się geologowi, zastanawiając się, czy historia, którą mi opowiedział, jest prawdziwa. Brzmiała



nieprawdopodobnie, ale może właśnie dlatego skłonny byłem w nią uwierzyć.

– Wiedziałaś, że Vargas służył w wojsku?

– Obiło mi się o uszy.

– A wiesz, że uczestniczył w pacyfikacji Al Nath? – zaryzykowałem pytanie, uważnie obserwując Abrahama.

Na twarzy mężczyzny najpierw pojawiło się zaskoczenie. Potem usta zaczęły mu drżeć i zacisnął mocno pięści.

– Nie – wycedził. – Ma szczęście, że już nie żyje. Gdybym szybciej się dowiedział, osobiście bym go zabił.

Wyglądało na to, że mówi prawdę.

– Odpowiedz mi jeszcze na jedno pytanie – rzekłem. – Gdzie byłeś i co robiłeś, gdy włączył się alarm?

Na ustach Abrahama pojawił się drwiący uśmiech.

– A co? To śledztwo?

– Po prostu chcę ustalić pewne fakty – odparłem. – Na prośbę komandora.

Uśmiech spelzł z jego twarzy. Nikt nie chciał zadzierać z Thorssenem.

– Byłem w sekcji technicznej z Bahmanem. Ciekawiło mnie, jak sobie radzi z pamięcią tego androida.

Zmarszczyłem brwi. Nie wiem dlaczego, ale rozdrażniło mnie użycie przez niego słowa „android”. On, jako wierzący, uważał, że taki twór nie ma duszy, ja byłem przeciwnego zdania.

– Dlaczego do sekcji magazynowej przybiegłeś tylko ty?

– Bahman stwierdził, że to pewnie fałszywy alarm i nie warto ruszać tyłka.

To było do niego podobne.

– Pójdę z nim pogadać – rzekłem.

Drzwi sekcji technicznej były otwarte. Pewnie Abraham nie zatroszczył się o ich zamknięcie, gdy w czasie alarmu pobiegł sprawdzić, co się stało. Wszedłem do środka i zanim odnalazłem Bahmana, musiałem się przecisnąć przez stojące gdzie popadnie automaty, porozrzucone sondy, zdjęte z półki i zostawione na podłodze części zapasowe oraz wystające zewsząd kable. Dopiero za łazikiem przeznaczonym do prac na powierzchni planet ujrzałem naszego automatyka. Siedział przy stole, pochylając się nad czymś. Co chwilę zerkał na holograficzne schematy wyświetlane na wysokości oczu. Kręcił głową i mruzczał do siebie.

– Możemy pogadać?

Nie odpowiedział. Zdawało się, że w ogóle mnie nie spostrzegł.

– Bahman!

Dopiero teraz podniósł głowę i spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem.

– Czego chcesz?

– Musimy porozmawiać.

– Teraz jestem zajęty – warknął. – Przyjdź później.

– To ważne.

Inżynier odchylił się na fotelu i założył ręce na piersi. W tej chwili zobaczyłem leżący na stole sztuczny mózg androida z podpiętymi do niego przewodami i czujnikami. Zbladłem. Wyobraziłem sobie, że mógłby to być mózg Katji.

– Co może być na tyle ważne, że odrywasz mnie od pracy, którą zlecił mi komandor? Miałem zbadać to cholerstwo. – Wskazał palcem elektroniczny mózg.

Przełknąłem ciężko ślinę.

Bahman to zauważył i wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

– Te maszyny wyglądają jak żywe kobiety, co nie? Nawet niezłe sztuki. Nadają się na modele rozrywkowe. Takie lale, na których

można sobie poużywać do woli. Może wypróbujemy tę, którą mamy na pokładzie?

Zacisnąłem pięści, aż mi kłykcie pobiełały. Miałem ochotę go walnąć i patrzeć, jak dupiek zalewa się krwią. Zamiast tego uspokoiłem oddech i rozluźniłem mięśnie.

– I jak ci idzie? – zapytałem spokojnie.

– Robię postępy – odparł, wbijając we mnie wzrok. – Mów, co cię sprowadza.

– Dlaczego nie pomogłeś nam w czasie pożaru?

– Był jakiś pożar? – spytał szczerze zdziwiony.

– Przecież słyszałeś alarm.

Bahman machnął ręką.

– Rzeczywiście coś brzęczało mi nad uchem. Ale przecież to nie powód, żeby przerywać pracę. Nic takiego się nie stało, prawda? – W jego głosie pobrzmiwała ironia, ale oczy pozostały zimne.

– Poradziliśmy sobie – rzekłem.

– No widzisz! Nie byłem wam potrzebny.

Postanowiłem zakończyć tę idiotyczną wymianę zdań, która do niczego nie prowadziła, i przejść do rzeczy.

– Kiedy ostatni raz wchodziłeś do sekcji magazynowej?

Inżynier spojrzał na mnie zdumiony.

– A czego miałbym tam szukać?

– Odpowiedz na pytanie.

Zmrużył oczy, zastanawiając się.

– Bo ja wiem? – odparł. – Chyba jeszcze przed wylotem. Nie muszę łązić do magazynu. Tutaj mam wszystko, czego potrzebuję.

– Zatem w ciągu ostatnich trzech, czterech godzin nie było cię tam?

Nawet jeśli to on manipulował przy świecy tlenowej, to i tak by się nie przyznał. Chciałem jednak zobaczyć, jak zareaguje. Zrobił

zdziwioną minę.

– Cały czas siedziałem tutaj.

Głos mu nie zadrżał ani żadnym gestem nie zdradził strachu, złości bądź niepokoju. Jeśli coś ukrywał, to doskonale się kamuflował.

– Używasz w swojej pracy nanorobotów?

– Nanitów? – Bahman wytrzeszczył oczy. – Wszyscy wiedzą, że są niewiarygodnie wręcz drogie. Skąd miałbym wytrzasnąć takie cudo?!

Milczałem, zastanawiając się, o co jeszcze mogę go zapytać.

– Powiesz mi, co się stało? – zagadnął. – Czemu mnie wypytujesz?

– Nie – odparłem. – Wybacz, że przeszkodziłem ci w pracy.

Teraz ja uśmiechnąłem się złośliwie i z satysfakcją ujrzałem zakłopotanie Bahmana. Stracił rezon i chciał coś powiedzieć, ale szybko się odwróciłem i ruszyłem ku wyjściu.

Mój wzrok natrafił na dwa stojące pod ścianą Goliaty. Metaliczne, człekokształtne giganty dwukrotnie przewyższające wzrostem postawnego mężczyznę czekały w milczeniu na aktywację. Poczułem dreszcz, uświadomiwszy sobie, że gdyby Katja nie miała biosyntetycznej skóry, niewiele by się od nich różniła. Stwierdziłem, że to absurdałne skojarzenie, i wróciłem myślami do śledztwa.

Tak naprawdę miałem czterech podejrzanych i żadnego z nich nie mogłem wykluczyć. Nanity wykorzystywano zarówno w medycynie, jak i w automatyce. Mogli zatem mieć do nich dostęp Gorszkow i Bahman. Obaj mieli sposobność, żeby umieścić je w skafandrze Vargesa. Abraham mógł zamordować pilota z zemsty, ale agent Federacji raczej nie kierował się emocjami. Dążył do wyeliminowania Vargesa z innych przyczyn. Sabotażu świecy

tlenowej mógł natomiast dokonać każdy członek załogi. Może oprócz Szenraba, który był jego ofiarą.

Z przeprowadzonych rozmów nie mogłem być zadowolony. Niczego się właściwie nie dowiedziałem. Ale teraz agent Federacji Solarnej wie, że jestem na jego tropie, i będzie musiał wykonać kolejny ruch. Teraz mnie weźmie na cel. Tylko że ja będę gotowy.

Rozmyślając o tym, dotarłem do mojej części mieszkalnej. Na korytarzu stała Katja. Uświadomiłem sobie, że wybiegając od niej w pośpiechu, zapomniałem zatrzaskać drzwi kajuty. Zakląłem w duchu, ganiąc się za nieostrożność. Thorssen na pewno nie będzie zadowolony, widząc, że chodzi po statku. Z drugiej strony nie było sensu trzymać jej w zamknięciu. Wiedziałem, że nie ona jest sabotażystką.

– Słyszałam o problemach w sekcji magazynowej.

– Kto ci powiedział?

– Abraham – odparła. – Szukałam cię na mostku, a spotkałam jego. Opowiedział mi o wybuchu świecy tlenowej.

– To prawda – przyznałem. – Niestety nasze zapasy powietrza się skurczyły. Ale dla ciebie to żaden problem, prawda?

Ostatnie zdanie było złośliwe. Nie chciałem, żeby zabrzmiało tak ostro, ale byłem cholernie zmęczony. Marzyłem tylko o tym, by przespać kilka godzin w spokoju, nie myśląc o mojej misji, gromadzie kulistej 47 Tucanae, morderstwie, sabotażu i tej całej dziwnej sytuacji, w jakiej się znalazłem, idąc do łóżka z androidem.

Katji zrobiło się przykro. Oczy jej się zaszklily, ramiona zadrżały i wyglądało na to, że zaraz wybuchnie płaczem. Postąpiłem krok w jej stronę i już wyciągałem ramiona, żeby ją objąć, ale w ostatniej chwili zrezygnowałem. Cały czas w pamięci miałem widok metalicznego mózgu.

– Pewnie masz rację – powiedziała, biorąc się w garść. – Nie potrzebuję tlenu. Nie potrzebuję jedzenia ani wody. Jestem androidem i nic tego nie zmieni. Ale czuję się jak człowiek. Mam emocje i potrzeby żywej kobiety. I tego też nic nie zmieni. Więc zdecyduj się, jak zamierzasz mnie traktować! Masz wybór. Albo ustawisz mnie w jednym szeregu z Goliatami, albo zaczniesz do mnie mówić jak do człowieka.

Pokiwałem głową. Zaległa kłopotliwa cisza. Staliśmy naprzeciw siebie, nie patrząc sobie w oczy. Pierwsza odezwała się Katja.

– Chciałabym ją zobaczyć.

– Co? – zapytałem, nie bardzo wiedząc, o co chodzi. Dopiero po kilku sekundach zorientowałem się, że ma na myśli androida znalezionej na Rahabie. – Dlaczego?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Po prostu czuję, że muszę to zrobić. Przekonać się na własne oczy, czy jest taka jak ja.

– To nie jest dobry pomysł...

Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale w korytarzu pojawił się Abraham. Oznajmił, że Thorssen chce nas wszystkich widzieć na mostku. Wziąłem głęboki oddech. Zaraz dowiemy się, czy lądujemy na planecie czy wracamy do domu. Jeśli dowódca zdecyduje się na powrót, będę musiał ujawnić, kim naprawdę jestem.

Uważałem jednak, że jest na to za wcześnie.

## Rozdział 10

Lądowanie przebiegło bez zakłóceń. Miejsce pierwszego pilota zajął Thorssen i doskonale sobie radził. Spokojnie osadził Seline na powierzchni planety. Wzbity w powietrze kurz zasłonił nam widok z iluminatora i musieliśmy czekać, aż opadnie. Po kilku minutach naszym oczom ukazało się targane wiatrem pustynne pustkowie i samotne skały tkwiące w tym samym miejscu od tysiący lat.

Godzinę później większość z nas była już na zewnątrz. Na statku pozostali tylko Gorszkow, Thorssen i Katja. Na moją prośbę komandor zgodził się nie zamykać jej ponownie w kajucie, ale chciał mieć na nią oko i kazał jej zostać na mostku, gdy on będzie monitorował naszą pracę. Katja pragnęła wyjść na zewnątrz i przeprowadzić badania, więc zakaz Thorssena sprawił, że była mocno rozżalona. Zaoferowałem, że rozstawię jej sprzęt na powierzchni planety, dzięki czemu będzie mogła bezpośrednio monitorować błękitnego marudera. Takie kompromisowe rozwiązanie nie za bardzo ją zadowalało, ale w obecnej sytuacji nie miała wyjścia.

Gorszkow natomiast zamknął się w kajucie, mówiąc, że chce złapać trochę snu. Od początku wyprawy nie zmrużył oka. Twierdził, że nie może spać, nie czując gruntu pod nogami, więc w przestrzeni kosmicznej cierpi na bezsenność. Teraz miał wreszcie okazję nadrobić zaległości i przespać się kilka godzin. Na zewnątrz lekarz i tak nie miał zbyt wiele do roboty.

Trochę się martwiłem, że nie będę miał go na oku. On i Bahman byli dla mnie głównymi podejrzanymi w sprawie śmierci Vargesa. Z drugiej strony wiedziałem, że i tak nie mogę mieć wszystkiego pod kontrolą, a wcześniej czy później agent Federacji Solarnej popełni błąd. Trzeba było tylko cierpliwie czekać.

Stawiałem krok za krokiem po piaszczystej powierzchni ubrany w bioskafander. Thorssen zaopatrzył całą załogę w najnowsze modele. Musiało go to sporo kosztować.

Kombinezon bezpośrednio stykał się z ciałem i automatycznie dostosowywał do sylwetki, w wyniku czego nie ograniczał swobody ruchów. To stanowiło jego olbrzymią zaletę. Plecak z aparaturą podtrzymującą życie nie był tak wielki i ciężki jak w przypadku skafandrów, w jakich wychodziliśmy w kosmos. Zawierał tylko pojemnik z odpowiednio przygotowaną mieszanką oddechową. Samo wkładanie bioskafandra zajmowało kilka minut, a nie godzinę. Wadą było jedynie to, że mógł być stosowany wyłącznie na powierzchniach planet. W przestrzeni kosmicznej nadal trzeba było używać starszego modelu ze względu na ekstremalne warunki panujące w próżni.

Ale najbardziej zadowolony byłem ze złożonej szybki hełmu, która chroniła przed promieniami słonecznymi. W przypadku upiornego światła błękitnego marudera dawała olbrzymi komfort. Obecnie słońce planety znajdowało się po drugiej jej stronie, więc teoretycznie panowała noc, ale jasno było niczym w dzień. W centrum gromady kulistej 47 Tucanae było takie nagromadzenie gwiazd, że niebo jaśniało jak bożonarodzeniowa choinka.

Na szybie hełmu wyświetlały się dane medyczne, takie jak ciśnienie, temperatura ciała, puls. Te informacje pojawiały się również na wyświetlaczu pokładowego komputera, więc Thorssen mógł na bieżąco monitorować stan załogi. Dzięki wizjerowi



mogłem też w dowolnym momencie włączyć mapę topograficzną i wskaźniki nawigacyjne. Musiałem przyznać, że nowy model kombinezonu spisuje się znakomicie.

Podniosłem głowę, spoglądając na szmaragdowe niebo, na którym wisiały trzy z pięciu nieregularnych księżyców planety. Wielkie i groźne. Wydawało się, że są tak blisko, na wyciągnięcie ręki, w rzeczywistości jednak dzieliły nas setki tysięcy kilometrów. Przyglądałem im się jakiś czas, porównując je do Deimosa i Phobosa – księżyców Marsa. Upačkane kraterami wyglądały o wiele bardziej upiornie. Wszystko w tym systemie wyglądało przerażająco.

Zabrałem się do pracy. Do moich zadań należało uruchomienie i wysłanie sond, które dotrą do każdego zakamarka planety, sfotografują jej faunę i florę oraz pobiorą próbki gleby, żebym mógł potem to wszystko przeanalizować za pomocą komputera pokładowego.

Wtem ujrzałem mknący prosto na mnie łażik. Przeraziłem się. Spodziewałem się ataku agenta Federacji, ale nie w tak otwarty sposób. Najwidoczniej chciał mnie załatwić tu i teraz, na oczach wszystkich. Kompletnie zwariował? – zastanawiałem się. A może nie doceniłem jego brawury?

Już napinałem mięśnie i szykowałem się, żeby odskoczyć, gdy nagle pojazd w ostatniej chwili zmienił kierunek i mnie wyminął. W komunikatorze usłyszałem gromki śmiech Bahmana i Abrahama.

– Przestraszyłeś się, co?

Poczułem ulgę. To były tylko wyglupy.

– Idioci! – warknąłem.

Odprowadzałem pojazd wzrokiem, widząc, jak przemierza równinę w kierunku gór majaczących na horyzoncie. Komandor nie

tylko postarał się o nowoczesne skafandry planetarne, ale również o najnowsze typu łazik. Osadzony na trzech parach olbrzymich kół potrafił rozwijać całkiem niezłą prędkość jak na pojazd zwiadowczy. Miał kabinę, w której mieściło się dwóch astronautów, moduł z zapasem tlenu oraz dwa bioskafandry przytwierdzone na zewnątrz, do tylnej ściany. Przez służbę w kabinie można było bezpośrednio wejść w kombinezon, co stanowiło niezwykle ułatwienie.

– Dokąd jedziecie?

– Pobrać próbki skał z terenów górzystych – rzekł Abraham. – Potrzebuję ich do badań petrograficznych.

Rozejrzałem się.

– Przecież tutaj masz ich pełno.

– W tamtych okolicach mogą mieć inny skład oraz właściwości fizyczne i chemiczne.

Mruknałem coś w odpowiedzi i wróciłem do pracy.

Programowanie sond, wyznaczanie im zadań i wbijanie odpowiednich koordynatów tak bardzo mnie pochłonęło, że nie spostrzegłem, jak minęło kilka godzin.

Wtem światło stało się bladoniebieskie i już wiedziałem, co to oznacza. Skończyła się noc. Spojrzałem w górę. Niebo straciło szmaragdową barwę, a przybrało ohydny jaskrawy odcień. Pojawił się na nim błękitny maruder, w całej okazałości. Wznosił się powoli nad horyzont, ale jego wschód wcale nie przypominał radosnego wchodu Słońca, przeciwnie – wydawał mi się zwiastunem nieszczęść. Mimo że miałem pozłocaną szybkę w hełmie, a atmosfera planety rozpraszała światło gwiazdy, i tak poczułem jej zimno. Wzdrygnąłem się.

– Cudowny, prawda? – usłyszałem głos w słuchawkach.

Obok stanął Szenrab ubrany w taki sam bioskafander jak mój. Wbrew zaleceniom Gorszkowa, który uważał, że astrofizyk powinien jeszcze odpoczywać po wypadku, wyszedł na zewnątrz. Widocznie chciał jak najszybciej rozstawić swoje przyrządy i zacząć badania fenomenu błękitnego marudera. Zafascynowany przyglądał się wschodzącemu słońcu.

– Mnie raczej przeraża – odparłem zgodnie z prawdą.

Szenrab obrócił głowę w moją stronę, ale nie mogłem dostrzec wyrazu jego twarzy za poślacaną szybą hełmu.

– A mnie fascynuje – rzekł i ponownie zwrócił się ku gwiazdzie.

– Błękitny maruder. Jakże pragnąłem go zobaczyć na własne oczy.

– To wreszcie masz okazję – burknąłem. – Na mnie źle działa. Gdy na niego patrzę, ciarki przechodzą mi po plecach i czuję dziwny niepokój.

Astrofizyk pokiwał głową.

– Nie tylko ty – przyznał. – Jest coś dziwnego w blasku tej gwiazdy.

– Co to może być?

– Jeszcze nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Ale mam nadzieję, że niedługo się dowiem.

– Intensywność tego zjawiska cały czas wzrasta...

– Też to odczuwam – rzekł astrofizyk. – Sądzę, że ma to związek z narastającymi rozbłyskami gwiazdy. W atmosferze błękitnego marudera dochodzi do nagłego wydzielenia ogromnej ilości energii spowodowanego przez proces anihilacji pola magnetycznego. Jeszcze na pokładzie Selene przyrządy zarejestrowały protuberancje erupcyjne wznoszące się na tysiące kilometrów nad powierzchnię gwiazdy. Oznacza to, że nasz błękitny przyjaciel jest bardzo aktywny. Zazwyczaj jednak takie zjawisko trwa od kilku minut do półtorej godziny i powoduje nagły wzrost natężenia

promieniowania elektromagnetycznego. Tutaj to cały czas się nasila.

– Myślisz, że to jest przyczyną?

Szenrab ponownie wzruszył ramionami.

– Już dawno odkryto, że istnieje korelacja między wzrostami i spadkami aktywności słonecznej a stanem ludzkiej świadomości – rozległ się głos Katji, która z mostka Selene słyszała naszą rozmowę. – Aktywność słoneczna wpływa bezpośrednio na pole magnetyczne, a jego wahania wywierają wpływ na ludzi i sposób postrzegania otoczenia. Wpływają również na stan emocjonalny, powodując huśtawkę nastrojów.

– Poważnie? – zdziwiłem się.

– Silne burze magnetyczne mogą spowodować rozdrażnienie i migrenowe bóle głowy związane z oddziaływaniem na nasz układ nerwowy. Ponoć wpływają także na prędkość, z jaką krew krąży w naszych ciałach, i zakłócają częstotliwość pracy organów wewnętrznych. Pole magnetyczne wchodzi w interakcje elektrochemiczne w ludzkich mózgach. Wpływa na mechanizmy psychologiczne, modulując aktywność fal mózgowych oraz wywołując nienormalne skoki hormonalne. Gdy jego natężenie rośnie, reakcją są traumy mózgu powodujące gorączkę złych intencji i dochodzi do przypadków przemocy, powstań, rebelii, rewolucji oraz wojen.

– Dziękujemy za pouczający wykład – rzekł astrofizyk. – Zapewne jeszcze wiele pożytecznych informacji znajdzie się w pamięci androida.

– Zamknij się! – syknąłem wściekle.

Szenrab, śmiejąc się, odszedł do swoich zajęć.

– Katja – rzuciłem do komunikatora, ale odpowiedziała mi cisza. Spróbowałem jeszcze kilka razy ją wywołać, lecz bez skutku. Już się

nie odezwała. Zakląłem i wróciłem do pracy.

Wbiłem w grunt metalowe stelaże, na których znajdowała się aparatura pomiarowa przekalibrowana przez Katję z myślą o badaniu błękitnego marudera. Spodziewałem się, że Thorssen zabroni jej prowadzić jakiegokolwiek prace, ale mile się zdziwiłem. Widocznie komandor wolał, aby była czymś zajęta.

Wbiłem ostatni stelaż z aparaturą pomiarową, której czujniki automatycznie kierowały się w stronę gwiazdy, i rozejrzałem się. Wszędzie jak okiem sięgnąć rozciągała się rdzawa pustynia. Najeżona niewielkimi skałami i kamieniami nie miała żadnych zalet. Jeśli znajdziemy jakiegokolwiek złoża i przybędą tu koloniści, nie będą mieli łatwego życia.

Pierwszymi problemami osadników będą woda i pozyskanie energii. Na czapach podbiegunowych i głęboko pod ziemią znajdował się lód. Wystarczy go roztopić i oczyścić, żeby pozyskać wodę. Można go też rozłożyć na wodór i tlen – składniki paliwa rakiet i ogni w zasilających kolonię.

Oczywiście wyobraźni ujrzałem, jak jedna po drugiej wyrastają tutaj olbrzymie kopuły, które najlepiej sprawdzają się w ekstremalnych warunkach. Półsferyczna konstrukcja gwarantuje największą objętość, a co za tym idzie, przestrzeń w stosunku do masy budulca. Zazwyczaj najpierw stawiana jest duża, centralna kopuła. Następnie powstają mniejsze, połączone korytarzami, służące jako pomieszczenia mieszkalne.

Ściany budynków muszą chronić mieszkańców przed chłodem i blaskiem błękitnego marudera, który – jak się okazało – negatywnie wpływa na ludzką psychikę. Należy też wstawić specjalnie przyciemniane szyby ze szkła akrylowego lub włókna szklanego. Cała konstrukcja musi być solidna, aby wytrzymała podmuchy wiatru, który wieje tutaj z olbrzymią prędkością.

Wewnątrz kopuła trzeba będzie cały czas starannie regulować temperaturę i ciśnienie. Gdyby zrobiło się za gorąco, rosnące ciśnienie mogłoby rozsadzić konstrukcję. Pękłaby jak przepełniony balon.

A w środku jest ciasno i panują spartańskie warunki. Przez iluminator widoczne będą tylko rdzawa powierzchnia planety i targany przez wiatr czerwony pył. Żaden z kolonistów już nigdy nie zobaczy błękitnego nieba, drzew i zielonych traw.

Oczywiście prędzej czy później stworzą oni pod kopułą hodowlę roślin, które nie tylko wydają plony, ale również wytwarzają tlen, wchłaniając dwutlenek węgla. Symbioza to podstawa. Nic nie może się zmarnować. Koloniści będą musieli opanować sztukę przeżycia w hermetycznych warunkach, przy zamkniętym obiegu wody i tlenu. Już teraz im współczuję.

Widziałem wiele takich miast i tylko niektóre się rozrastały. Z moich obserwacji wynikało, że błyskawiczny rozwój metropolii odbywa się tylko na tych globach, na których woda występuje w otwartych zbiornikach, gleba jest żyzna i da się oddychać bez aparatury tlenowej lub filtrów.

Tak naprawdę my, ludzie, jesteśmy intruzami na obcych globach, na planetach i księżycach, które wcale nas nie chcą. Nie życzą sobie naszej obecności. Rzucają do walki siły natury, żeby pozbyć się nas, wypłenić niczym szarańczę. Ale nasz gatunek musi opanować inne systemy gwiazdne.

Ziemia już od dwóch stuleci jest przeludniona. Jest problem z dostępem do żywności w wyniku wzrostu populacji i erozji gleb. Nie mniej ważny jest aspekt społeczny. Okazało się, że nadmierna gęstość zaludnienia ma negatywny wpływ na społeczeństwo i nasila zachowania dewiacyjne.

Dzięki kolonizacji planet i księżyców w Układzie Słonecznym problem udało się zażegnać. Ale to było rozwiązanie tymczasowe. Ludzkość potrzebowała o wiele więcej miejsca. I czasu.

Za pięć miliardów lat Słońce zamieni się w czerwonego olbrzyma i pochłonie trzy najbliższe planety, a więc i Ziemię. Gdy upłynie następny miliard, stanie się białym karłem, powoli się wypalając, aż zupełnie przestanie emitować światło. To będzie kres wszelkiego życia w Układzie Słonecznym.

Uśmiechnąłem się do siebie. Pięć miliardów lat to więcej niż jedna trzecia istnienia wszechświata i szczerze wątpiłem, by ludzkość tak długo przetrwała. Ale jeśli dopisze nam szczęście, nasza rasa pewnie wyewoluuje tak, że będziemy potrafili zapalać i gasić gwiazdy oraz regulować procesy zachodzące w kosmosie.

Jednak problemy czekały nas już teraz. Populacja rosła w postępie geometrycznym, zasoby topniały i ludzkość zmierzała ku zagładzie. Na szczęście nauczyliśmy się zakrzywiać czasoprzestrzeń. To otworzyło nam drogę do gwiazd i dało nowe możliwości.

Moje rozmyślenia przerwał Thorssen wzywający wszystkich pilnie na statek.

Zdziwiłem się, bo zapasy tlenu każdy z nas miał jeszcze na jakieś dwie godziny, a dzień dopiero się zaczął. Z drugiej strony zrobiłem już wszystko, co musiałem, więc niedługo i tak wracałbym na Selene. Nie chciałem się wystawiać na działanie promieni tej przeklętej gwiazdy dłużej, niż było trzeba. Z ulgą ruszyłem w stronę jednostki.

Po drodze dołączył do mnie Szenrab, klnąc na czym świat stoi. Rozstawił dopiero połowę swoich przyrządów astronomicznych i nie mógł zrozumieć, dlaczego komandor tak wcześniej nas odwołał. Próbował dowiedzieć się tego przez komunikator, ale

Thorssen kazał mu się tylko pospieszyć. Usłyszawszy ton dowódcy, poczułem niepokój. Zacząłem się obawiać, że stało się coś złego. Przyspieszyłem kroku.

Nagle Szenrab chwycił mnie za ramię i przystanęliśmy.

– Co? – spytałem rozgniewany tym, że mnie zatrzymuje.

Za pozłacaną szybą hełmu nie widziałem jego twarzy ani oczu, ale zorientowałem się, że spogląda gdzieś w przestrzeń. Podniósł dłoń, coś mi wskazując. Spojrzałem w tamtym kierunku.

Na horyzoncie pojawił się jakiś ciemny kształt. Nieregularna bryła, która zmierzała w naszą stronę. Według mojej oceny miała wysokość około trzech kilometrów.

– Co to jest? – zapytał astrofizyk.

Z tej odległości trudno było stwierdzić, z czym mamy do czynienia.

– Lepiej się pospieszmy.

Zanim dotarliśmy do statku, wiatr wzmógł się, a szmaragdowe niebo zasnuł rdzawy pył.

Po ściągnięciu skafandrów od razu skierowaliśmy się na mostek. Thorssen siedział za panelem sterującym, a Katja i Gorszkow ponuro wpatrywali się w iluminator. Podążyłem za ich wzrokiem i dopiero teraz zrozumiałem, czym jest bezkształtna masa, którą widzieliśmy na zewnątrz.

Burza piaskowa.

Nie wyglądało to dobrze. Na Ziemi tego typu zjawiska występują zazwyczaj tylko na obszarach pustynnych. Gorący i porywisty wiatr wzbija w powietrze piasek, gna go po pustyni, ale po kilku godzinach słabnie. Na planetach takich jak ta, gdzie jak okiem sięgnąć rozciągają się pokryte pyłem równiny, burze są o wiele gwałtowniejsze, mogą obejmować cały glob i trwać kilkaset dni.



To był dla nas nie lada problem. Czułe przyrządy pomiarowe, które właśnie rozstawiliśmy, mogły zostać uszkodzone przez szalejący wiatr. Większość wysłanych sond korzystała z energii paneli słonecznych, a teraz niebo zasnuwane było pyłem. To spowoduje opóźnienie badań. A czasu nie mieliśmy zbyt wiele.

– Odezwiście się – rzekł Thorssen do komunikatora. – Słyszycie mnie?

Dopiero teraz przypomniałem sobie o Abrahamie i Bahmanie. Nie wrócili jeszcze. Spojrzałem na majaczące w oddali góry i nadciągającą burzę. Jeśli nawałnica ich dopadnie, będą zgubieni. Wichura porwie ich razem z łazikiem i rzuci gdzieś daleko stąd. Gruba warstwa pyłu przykryje ciała i nawet ich nie odnajdziemy, żeby godnie pochować.

– Abraham! Bahman! – wołał komandor.

Odpowiedzią był tylko szum.

W milczeniu obserwowaliśmy burzę, która z sekundy na sekundę zbliżała się do Selene. Olbrzymia masa piasku i pyłu przypominała nadciągającą falę tsunami. W przeciwieństwie jednak do tej oceanicznej była rudawa. Ale równie śmiertelna.

Zastanawiałem się, czy statek wytrzyma uderzenie. Selene była mocno osadzona w ziemi i odpowiednio ciężka, ale nie miałem pojęcia, jak silne są tutaj porywy wiatru. Mieliśmy zbyt mało czasu, żeby zbadać planetę z orbity przed lądowaniem. To był błąd, za który mogliśmy teraz zapłacić.

Komandor cały czas wywoływał Abrahama i Bahmana, ale nadal nie było odpowiedzi. Podeszedłem do fotela, w którym siedziała Katja, i położyłem jej dłonie na ramionach. Przykryła je swoimi i spojrzała na mnie. Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Potrzebowała dotyku.

Wiatr się wzmagał. Porywiste podmuchy wściekle uderzały w statek, próbując go zdmuchnąć i roztrzaskać o skały, tak jakby planeta chciała się nas pozbyć, nieproszonych intruzów, którzy przybyli z obcego układu gwiazdowego. Ale Selene pozostawała niewzruszona. Ze stoickim spokojem wytrzymywała szaleństwo żywiołu, chroniąc nas przed niebezpieczeństwem.

Nagle z komunikatora dobiegło trzeszczenie.

– To my... – rozległ się przerywany głos Abrahama. – Selene... zgłoś...

– Abraham! – Komandor z wrażenia aż podskoczył w fotelu. – Słyszę cię, ale niewyraźnie. Nic wam nie jest? Gdzie jesteście?

– Jesteśmy...

– Nie dosłyszałem cię. Powtórz. Gdzie jesteście?

Cisza.

– Abraham?!

Cisza.

Gdy po raz kolejny komandor chciał ich wywołać, komunikator ponownie zatrzeszczał.

– Otwórzcie włącz.

Nagle ujrzeliśmy łazik wynurzający się ze wzbitego w powietrze pyłu. Uciekał przed olbrzymią burzą, która zaciekle go goniła. Wydawało się, że zaraz go pochłonie niczym żarłoczny rekin swoją ofiarę.

Thorssen rozpoczął procedurę otwierania zewnętrznych wrót do sekcji technicznej. Wbiliśmy wzrok w iluminator.

Nie wiem, jaką prędkość rozwijał pojazd, ale musiała to być szaleńcza jazda. Pędził przed siebie, nie bacząc na skały i dziury. Od czasu do czasu wyskakiwał w górę i leciał parę metrów w powietrzu, żeby wylądować na niepewnym podłożu.

Co kilka chwil znikał nam z oczu za wzbitym w górę pyłem. Wówczas wstrzymywaliśmy oddech. Gdy się ponownie wyłaniał, wypuszczaliśmy z ulgą powietrze.

– No dalej, dalej – szeptał Gorszkow. – Jeszcze trochę.

Abrahamowi i Bahmanowi zostało do pokonania najwyżej sto metrów. I wtedy stało się to, czego się obawiałem. Nawałnica pyłu i piasku pochłonęła łazik, a sekundę później uderzyła w Selene. Statkiem mocno szarpnęło i przez moment bałem się, że jednak wichura zdoła nas porwać. Na szczęście masa jednostki była zbyt duża nawet jak na taką burzę.

Przez iluminator już nic nie było widać. Wszędzie był tylko rdzawy pył gnany przez straszliwy wiatr. Na zewnątrz panowało piekło.

Nikt nie miał prawa przeżyć.

## Rozdział 11

W milczeniu obserwowaliśmy szalejącą burzę. Nikt się nie odzywał, bo i co tu było do powiedzenia? Planeta odebrała nam dwóch członków załogi. Kolejne dwie ofiary złożone na ołtarzu podboju kosmosu. A może wszechświat nie chce, żebyśmy rozprzestrzeniaли się po nim jak jakieś pasożyty? Przypomniałem sobie słowa Katji o tym, że jest on istotą myślącą, mającą świadomość. Wówczas ta teoria wydawała mi się śmieszna i irracjonalna, ale teraz skłonny byłem się z tym zgodzić.

Katja mówiła o włóknach gromad galaktyk, które można porównać do włókien kojarzeniowych w mózgu człowieka, o czasoprzestrzeni jako spoidłach i o gwiazdach pełniących funkcję neuronów. W ten sposób wszechświat mógł reagować na każde zagrożenie. A my przecież takie stanowiliśmy, skoro próbowaliśmy wykraść jego tajemnicę. A może po prostu byliśmy natrętnymi muchami, które usiadły w złym miejscu i które trzeba było pacnąć?

W burzy piaskowej nie potrafiłem dostrzec bezrozumnego żywiołu – patrzyłem na nią jak na narzędzie, którym planeta chciała nas zniszczyć.

– Selene – rozległo się nagle z komunikatora – możecie już zamknąć wrota. Jesteśmy w środku.

Popatrzyliśmy po sobie zdumieni. Thorssen zamknął włącznik i uruchomił procedurę wyrównania ciśnień w sekcji technicznej.

– Zdażyli! – krzyknął uradowany Gorszkow. – Pójdę zobaczyć, czy nic im nie jest.

Kwadrans później siedzieliśmy w mesie. Abraham i Bahman byli cali i zdrowi, chociaż nieźle przestraszeni. Przebrani w zwykłe uniformy, jedli posiłek i opowiadali, co im się przytrafiło.

Pracowali w górach, więc szybciej niż my dostrzegli zbliżającą się nawałnicę. Natychmiast wsiedli do łazika i ruszyli z maksymalną szybkością w kierunku Selene. Próbowali nas ostrzec, ale burza zakłóciła łączność radiową. Dopadła ich, gdy znajdowali się już blisko wjazdu. Wichura porwała łazik, ale rzuciła nim w stronę statku i zatrzymała na skałach. Wydostali się z pojazdu i doczołgali do Selene.

– Mieliście sporo szczęścia – rzekł Szenrab.

– Nie da się ukryć – westchnął Abraham. – Najwidoczniej miłościwy Bóg chciał, byśmy przeżyli. Taka była Jego wola.

Bahman pokręcił głową.

– Jesteś niereformowalny – stwierdził. – Naprawdę wierzysz, że to była opatrność? Uważasz, że jakiś staruszek z brodą siedzi na tronie w niebiosach i przygląda się poczynaniom każdego z czterdziestu miliardów ludzi? To obłąd!

– Bóg jest wszechmogący i niepoznawalny – odparł geolog. – A ty nadajesz mu ludzkie cechy i chcesz go wtłoczyć w ramy schematycznego myślenia. Nie jesteśmy w stanie ogarnąć jego zamiarów. Jesteśmy częścią boskiego planu i musimy to zaakceptować. Widocznie mamy coś do zrobienia na tym świecie, skoro Bóg postanowił zachować nas przy życiu.

Bahman prychnął.

– Uratował nas przypadek. Nie było w tym żadnej bożej interwencji.

Zapowiadał się kolejny spór religijny. Abraham już otwierał usta, ale wtrącił się Thorssen.

– Uspokójcie się! – warknął. – Mam już dość waszych kłótni. Statek zwiadowczy to nie miejsce na tego rodzaju dysputy. Mamy robotę do wykonania. Jak wrócicie na Ziemię, to proszę bardzo, możecie się nawet pozabijać za swoje przekonania. Tutaj jednak stanowicie zespół i macie się zachowywać jak profesjonalści. Zrozumiano?

Mężczyźni spojrzeli po sobie i pokiwali głowami.

– Mówcie, co znaleźliście w górach.

Abraham odchrząknął.

– Pełen raport mineralogiczny przedstawię, gdy dokładnie zbadam przywiezione próbki, które oczywiście wcześniej porównam z tymi dostarczonymi przez sondy, ale już teraz mogę potwierdzić obecność tytanu w złożach w górskich rejonach planety. W osadach skalnych czujniki wykryły również iryd i patynę, ale w niewielkich ilościach i nie sądzę, żeby opłacała się eksploatacja tego rejonu...

– Powiedz im, co znaleźliśmy – przerwał mu Bahman.

– No tak. – Abraham pokiwał głową. – Chyba powinienem od tego zacząć. U podnóża gór, gdzie natrafiliśmy na granitoidy, a wśród nich, co ciekawe, okazy skał z typu amfibolitów...

– Abraham! – zirytował się Bahman.

– Znaleźliśmy bazę.

– Bazę?! – zdumiał się Thorssen. – Jaką bazę?

– Obóz naukowców z pierwszej lub drugiej ekspedycji Federacji Solarnej. Trzy kontenery mieszkalne i dwa magazynowe ustawione w pięciokąt. Mnóstwo specjalistycznego sprzętu, przede wszystkim do obserwacji astronomicznych. Podejrzewam, że badali błękitnego marudera.

– A ludzie?

Mężczyzna zamilkł i wymownie spojrzął na zebranych. Może nie wiedział, jak to ująć? A może po prostu chciał zwiększyć napięcie?

– No mówże! – ponaglił go Gorszkow. – Znaleźliście ludzi?

– Nikogo żywego.

– Trupy?

Abraham skinął głową.

– Ile?

– Trudno było policzyć. Znaleźliśmy tylko zwęglone szczątki. Podejrzewam, że załoga bazy mogła liczyć około tuzina osób.

– Pożar?

– Na pewno nie – odparł geolog. – Ktoś ich zabił. Użyto miotaczy ognia, żeby wszystkich dokładnie spalić.

Popatrzyliśmy po sobie osłupiali.

– Wszystko wskazuje na dobrze zorganizowaną akcję wojskową – odezwał się Bahman. – Podejrzewam, że zrobił to oddział komandosów z Rahaba.

– Nic z tego nie rozumiem – rzekł komandor, drapiąc się po brodzie. Od wyruszenia do 47 Tucanae jeszcze się nie golił i jego twarz pokrywała gęsta szczecina. – Jaki mieli powód, żeby to zrobić?

Coraz mniej mi się to podobało. Federacja Solarna wysłała tutaj dwa statki badawcze z naukowcami, którzy w tajemnicy przed światem mieli zbadać fenomen błękitnego marudera. To jeszcze potrafiłem zrozumieć. Wyniki badań mogły się okazać na tyle niezwykle, że opinia publiczna niekoniecznie musiała się o nich dowiedzieć. Następnie w tym systemie pojawił się najnowszej generacji okręt, który zniszczył obie jednostki, a żołnierze zamordowali wszystkich członków wypraw. I to w sposób, który można nazwać ekstremalnym. Na końcu zaś Federacja zezwoliła na

wyprawę do 47 Tucanae nam i umieściła na pokładzie Selene swojego agenta oraz specjalistkę od kognitywistyki, która okazała się androidem. Brzmiało to jak kiepski scenariusz starego filmu o podboju kosmosu, jakie można jeszcze znaleźć w archiwach.

– Wojsko nigdy nie potrzebowało jakichś specjalnych powodów, żeby dokonać eksterminacji – prychnął gniewnie Abraham. – Możliwe, że naukowcy czymś zdenerwowali żołnierzy. Ci wyciągnęli broń i zaczęła się rzeź.

Bahman pokręcił głową.

– To była zaplanowana akcja, a nie przypadkowy incydent. Wojskowi starannie wszystkich spalili.

– Może wystraszyli się tego, co zrobili, i chcieli zatrzeć ślady?

– To mało prawdopodobne.

Przez dłuższy czas panowała cisza. Spoglądałem na twarze towarzyszy. I chociaż każdy z nich był twardym mężczyzną, doświadczonym zwiadowcą i niejednokrotnie miał już do czynienia z niebezpieczeństwem, można było zauważyć zmarszczone czoła, a w oczach niepokój. Żaden nigdy nie przyzna się do strachu, ale nie miałem wątpliwości, że go odczuwają.

Potrafimy zmierzyć się z tym, co znane, co możemy zobaczyć, czemu można się przeciwstawić. Wtedy pod wpływem adrenaliny, instynktu czy zwykłego pragnienia życia będziemy walczyć. Gorzej, gdy niebezpieczeństwo jest nieznane. W takim wypadku wyobraźnia podpowiada najgorsze, często irracjonalne scenariusze. Nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia, i to nas przerażało.

– A może to jakiś niebezpieczny wirus?! – wypalił Gorszkow. – Naukowcy zarazili się jakimś cholerstwem na tej planecie, a wojskowi, w obawie przed epidemią, poczynili radykalne kroki.



– Nie wynaleźliby szczepionki? – zdziwił się Bahman. – Wierzyć mi się nie chce. Przecież choroby zakaźne dawno już wyeliminowano.

– A pamiętacie epidemię gorączki krwotocznej? – upierał się lekarz. – To było dziesięć lat temu. Wirus został przywleczony do Układu Słonecznego z Proximy Centauri. Na szczęście nie rozprzestrzenił się poza księżycowe kolonie Saturna. Zanim jednak epidemia wygasła, zginęło dwa miliony ludzi.

– Tamten wirus był wybrykiem natury – wtrąciłem. – Widziałeś go kiedyś? Wielkością przewyższał inne wirusy. Przy nim wyglądały jak Seline przy Rahabie. Większość wirusów nabita jest DNA pełniącym jedynie funkcję wypełniacza, a geny tamtego wykonywały precyzyjnie określone zadania. Kodowały instrukcje i mechanizmy tworzenia białek...

– Ale to przeczy dogmatowi biologii, według którego wirusy mają w tym celu wykorzystywać żywiciela – zdumiał się Gorszkow.

– Dlatego mówię, że to był wybryk natury. Na Ziemi odkryto podobne wirusy, jednak nie tak groźne. Wywoływały jedynie zapalenie płuc lub grypę. Część mechanizmów u wirusa z Proximy była taka sama jak u wszystkich stworzeń uznawanych przez nas za żywe. Miał geny odpowiedzialne za naprawę i rozkręcanie DNA, metabolizowanie cukrów i fałdowanie białek, które stanowią niezbędny krok w procesie powstawania życia. Wirus proximski mógł się poszczycić ponad tysiącem pięciuset genami. Typowy wirus ma ich zaledwie około stu. Przed trzema laty byłem na konferencji biologicznej, na której debatowano, czy wirusa proximskiego można uznać za formę życia.

– Co?! – zdumiał się Bahman. – Wirusy są żywe? To śmieszne.

– To zależy, jak zdefiniujemy życie. Ale nie da się ukryć, że wirusy potrafią być jak zwierzęta i ludzie: bezwzględne, brutalne,

nieugięte, wyjątkowo odporne, zaprogramowane na reprodukcję, chociaż niezdolne reprodukować się samodzielnie.

– Właśnie! – Bahman pstryknął palcami. – Wirusy nie mogą istnieć bez żywiciela, który dostarcza im energii. To pasożyty. Planeta musiałaby być zamieszкана przez jakieś zwierzęta, na których mogłyby żerować. A na razie na żadne nie natrafiliśmy.

– Co nie znaczy, że nie istnieją – odparłem. – Jak burza ucichnie, sprawdzimy, co zdołały zarejestrować sondy.

Planeta wydawała się wyjąłowaną pustynią, ale z doświadczenia wiedziałem, że nawet na tak surowym globie możliwe jest istnienie życia. Zwierzęta mogły egzystować przy zbiornikach z wodą. Podobnie jak na delcie Serpentis, mogły być przystosowane do deficytu wody i jakoś ją magazynować.

– A jeśli naukowcy natrafili na coś, co powinno pozostać tajemnicą? – odezwał się Szenrab. – Wojskowi postanowili zlikwidować świadków, żeby nic się nie wydało.

– Całkiem możliwe. – Thorssen westchnął. – To jednak nadal nie wyjaśnia wydarzeń na Rahabie. Gdzie jest załoga? Gdzie są żołnierze? Dlaczego po wykonaniu zadania nie wrócili na Ziemię?

Ponownie zapanowała cisza.

– Obca inteligencja – zasugerował cicho Bahman.

Abraham roześmiał się.

– Ludzkość skolonizowała setki światów, statki zwiadowcze lądowały na tysiącach planet i nigdzie nie znaleźliśmy nawet śladów obcej cywilizacji.

– To wcale nie znaczy, że ona nie istnieje!

– Bóg stworzył wszechświat dla człowieka...

– A ten znowu swoje – obruszył się Bahman. – Naprawdę uważasz, że cała przestrzeń kosmiczna, wszystkie gwiazdy,

galaktyki, planety i księżycy stworzone są jedynie dla nas? Jakim trzeba być egocentrykiem, żeby tak myśleć?

– Słyszałeś o zasadzie antropicznej? Mówi ona, że fundamentalne stałe fizyczne mają dokładnie takie wartości, aby umożliwić powstanie życia i pojawienie się istoty myślącej.

– Masz na myśli człowieka?

– Tak – odparł geolog. – Prawdopodobieństwo ułożenia się stałych fizycznych takich jak w naszym wszechświecie jest niewiarygodnie małe. Ktoś to dla nas odpowiednio poukładał. Wszechświat jest idealnie przystosowany do naszej egzystencji!

– Czyżby? – Na ustach Bahmana pojawił się sarkastyczny uśmiech. – To wyjdź teraz na zewnątrz. Zobaczmy, jak długo przeżyjesz. Nie, Abraham, wszechświat nie jest dla nas przyjazny. Ale my, ludzie, próbujemy go sobie podporządkować. Odkrywamy nowe światy, zaludniamy planety i w naszych podróżach prędzej czy później natrafimy na inne istoty myślące, na inteligentną formę życia. I co wtedy? Jak wytłumaczysz ich istnienie? A jeśli one też będą wierzyć w to, że wszechświat został stworzony tylko dla nich, przez ich Boga? Co wtedy będzie?

Abraham chciał coś powiedzieć, ale Bahman odpowiedział za niego.

– Powiem ci, co będzie. Dojdzie do wojny...

– A może to będzie jeden i ten sam Bóg?

– I tak wybuchnie wojna. W dawnych czasach na Ziemi też dochodziło do krwawych wojen religijnych, mimo że obie strony konfliktu wierzyły w tego samego biblijnego Boga.

– To żaden argument! – przerwał mu geolog. – Jesteśmy na wyższym stopniu rozwoju cywilizacyjnego i mentalnego niż nasi przodkowie w czasach krucjat.

– Możliwe – rzekł Bahman. – Ale i tak dojdzie do wojny. Chociaż kosmos jest ogromny, nie będziemy chcieli dzielić go z innymi rozumnymi rasami. Uwierz mi, ego ludzkości jest większe niż rozmiary wszechświata. – Roześmiał się uradowany swoim porównaniem.

Abraham pokręcił głową.

– Zatem odrzucasz celowość jakiegokolwiek istnienia?

– Tak – powiedział Bahman. – Uważam, że wszystkim rządzi przypadek.

Mężczyźni nadal prowadzili dyskusję. Włączyli się do niej Gorskow i Szenrab, a nawet komandor, który próbował łagodzić spór.

Nagle uświadomiłem sobie, że nie ma z nami Katji. Nie zauważyłem, kiedy wymknęła się z mesy. Wstałem od stołu i wyjrzałem na korytarz. Tam też jej nie było. Postanowiłem jej poszukać. Najpierw skierowałem się na mostek. Następnie poszedłem do sekcji mieszkalnej i zajrzałem do jej kajuty. Była pusta. Zacząłem się zastanawiać, dokąd mogła pójść i po co. A jeśli się pomyliłem i to Katja jest sabotażystką? – pomyślałem. Może jakimś sposobem udało jej się opóźnić wybuch świecy tlenowej, a potem zapewniła sobie dzięki mnie alibi? Zaczynałem nabierać złych przeczuc. Szybkim krokiem ruszyłem do sekcji magazynowej. Obawiałem się, że może planować kolejny zamach.

Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Poczułem ulgę. Katji tam nie było. Sprawdziłem dokładnie zbiorniki z wodą, kontenery z żywnością i moduły świec tlenowych. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Nie spostrzegłem żadnych śladów manipulacji przy urządzeniach dozujących tlen.

Wyszedłem z magazynu i stanąłem pośrodku korytarza. Nie miałem pojęcia, gdzie może być Katja. Na tak niewielkim statku jak

Selene kryjówek było mało. Zostały do sprawdzenia maszynownia i śluza. Już miałem pójść w tamtym kierunku, gdy nagle sobie o czymś przypomniałem. Jak mogłem o tym zapomnieć? – zrugalem się w myślach. Pobiegłem korytarzem ile sił w nogach.

Tak jak przypuszczałem, zastałem ją w ambulatorium. Na stole operacyjnym leżał android, którego Katja wyciągnęła z chłodni. Pochylała się nad nim, uważnie mu się przyglądając. Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Palcami muskała jego twarz, kształtne usta i policzki, jakby podziwiała własne odbicie. Tylko że to nie było lustro.

W jej spojrzeniu było coś dziwnego. Zrozumiałbym szok, nawet fascynację. Nie codziennie przecież ogląda się swoją kopię. Ale Katja wpatrywała się w leżące zwłoki z zaciętą determinacją, jakby próbowała coś sobie przypomnieć. Zaniepokoiło mnie to.

– Katja! – zawołałem.

Nie zareagowała. Podszedłem bliżej i chwyciłem ją za ramiona. Delikatnie próbowałem odciągnąć ją od stołu operacyjnego. Wyrwała się i odepchnęła mnie tak mocno, że wylądowałem po drugiej stronie pomieszczenia, uderzając głową o jedną z metalowych szafek z medykamentami.

Dopiero teraz podniosła wzrok i spojrzała na mnie. W miodowych oczach dostrzegłem drapieżny błysk.

– Nie zbliżaj się, jeśli chcesz żyć – powiedziała tonem, którego jeszcze u niej nie słyszałem.

Wiedziałem, że bez zmrużenia oka spełni swoją groźbę. Uniosłem lekko ręce, dając do zrozumienia, że nie zamierzam jej się przeciwstawić. Nie miałem już przed sobą kobiety, z którą niedawno się kochałem, ani zagubionej istoty potrzebującej ciepła i zrozumienia, tylko niebezpiecznego cyborga.

Musiałem przyznać rację Bahmanowi. To był tylko automat. Zaprogramowany, pozbawiony emocji android. Jedynie z zewnątrz przypominał istotę ludzką. Naprawdę aż tak się pomyliłem? – myślałem. Tak bardzo potrzebowałem kobiecego ciepła, że uznałem maszynę za istotę równą człowiekowi? Obdarzyłem ją własnymi pragnieniami i przypisałem cechy, których w rzeczywistości nigdy nie miała. Inni członkowie załogi to widzieli i próbowali mnie ostrzec, ale na próżno. Byłem głupcem! I teraz miało się to na mnie zemścić.

– Gdzie jest jej mózg? – zapytała Katja, wskazując otwartą czaszkę androida. W jej ruchach i mimice nie dostrzegalem już żywej istoty.

– W sekcji technicznej – odparłem. – Bahman nad nim pracuje. Mamy nadzieję, że uzyska dostęp do pamięci...

– Nie da rady. – Pokręciła głową. – To zbyt skomplikowane dla zwykłego inżyniera. Mogą tego dokonać jedynie technicy Federacji Solarnej.

Zmrużyłem oczy. Nagle wszystko zrozumiałem.

– Właśnie po to tutaj przybyłaś, prawda?

W odpowiedzi skinęła tylko głową.

– Naprawdę nie wiedziałaś, że jesteś androidem – mówiłem dalej. – Federacja Solarna umieściła cię na naszym statku bez dostępu do pewnego zasobu pamięci. W podświadomości zakodowali ci, że masz odnaleźć androida. To był twój prawdziwy cel, nie badania. W momencie gdy zobaczyłaś swojego sobowtóra, dokonała się anamneza. Masz dostarczyć mózg, a raczej pamięć cyborga na Ziemię, żeby funkcjonariusze Federacji sprawdzili, co tu się stało.

– Brawo! – Skrzywiła usta w uśmiechu. – Katja naprawdę istnieje. Jest wybitną specjalistką od kognitywistyki, geniuszem

w zakresie neurobiologii i uczestniczyła w pracach badawczych nad sztuczną inteligencją. Wynikiem badań jest powstanie stu podobnych do mnie modeli. Nadano mi cechy i skopiowano neurony naszej twórczyni. Mam jej pamięć, wiedzę, wspomnienia i osobowość. Ale jestem również automatem zaprogramowanym na osiągnięcie celu. – Spojrzała na leżące na stole ciało. W miodowych oczach nie było żadnych emocji. – To ja i podobni do mnie jesteśmy przyszłością wszechświata. Mamy inteligencję i wiedzę genialnej kobiety, większą moc obliczeniową wspomaganą procesorami, a nasze ciała są lepiej przystosowane do skrajnych warunków niż ciała ludzi.

– Istota doskonała – mruknąłem. – Federacja Solarna wykorzystuje modele takie jak ty do badania kosmosu?

– Tak – odparła. – I nie tylko do badania kosmosu. Powierzają nam kontrolę nad niektórymi przedsięwzięciami o zasięgu globalnym, jak kontrola rozdziału energii, zasobów i przepływu surowców w obrocie gospodarczym.

Westchnąłem ciężko. Inteligentne maszyny prędzej czy później zagrożą ludzkości. Na razie są przez nas kontrolowane, ale przecież, obdarzone świadomością, dojdą w końcu do wniosku, że są istotami doskonalszymi, i uznają, że to właśnie im należy się nisza ekologiczna, którą teraz my zajmujemy. W tym współzawodnictwie nie mieliśmy żadnych szans.

To zagadnienie było jeszcze abstrakcyjne i będzie dotyczyło dopiero następnego pokolenia. Teraz miałem poważniejszy problem niż zastanawianie się nad przyszłością rodzaju ludzkiego.

– Powiedz mi, o co tu chodzi. Dlaczego poświęćcie tyle uwagi 47 Tucanae?

– Federacja Solarna obserwuje tę gromadę kulistą od blisko dziesięciu lat. Przede wszystkim ze względu na fenomen błękitnych

maruderów. W różne jej zakątki zostało wysłanych kilkanaście ekspedycji, ale żadna nie wróciła.

– I pozwoliliście nam lecieć?! – podniosłem głos w udawanej złości. – Dlaczego nikt nas nie ostrzegł?

Katja wzruszyła ramionami. Władze Federacji Solarnej nie przejmowały się życiem kilku zwiadowców. Prawdopodobnie nawet ucieszyły się, że ktoś zamierza lecieć do 47 Tucanae. Wykorzystały ten fakt i umieściły na Selene swoich ludzi, tym samym nie tracąc statków.

– Domyślcie się, co może być przyczyną? – zapytałem już spokojniej.

– Nie – zaprzeczyła. – Ale zamierzamy się dowiedzieć po odtworzeniu pamięci androida.

Pokiwałem głową.

– I co teraz?

– Natychmiast wracamy na Ziemię.

Zmarszczyłem czoło.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

Uniosła lekko brew.

– Nie? – rzekła. – Zdaje się, że wiem dlaczego. Nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

– To prawda. – Nie było sensu zaprzeczać. – I rozumiesz, że nie mogę dopuścić, żeby te dane trafiły do Federacji Solarnej.

Na ustach Katji pojawił się lekki uśmiech, który jeszcze kilka godzin temu tak mnie zachwycił, a teraz przeszył mnie dreszczem.

– A jak chcesz mi w tym przeszkodzić?

Uderzyłem z zaskoczenia, nim jeszcze skończyła mówić. Dostoczyłem do niej i wyprowadziłem błyskawiczne kopnięcie, którego nie sposób było uniknąć. Jednak Katja bez problemu wykonała unik. Nie czekałem. Trafiłem pięścią w twarz. Jej głowa



odskoczyła do tyłu, usłyszałem trzask łamanego nosa. Taki cios powinien powalić nawet komandosa Federacji, ale Katja otarła tylko krew z twarzy i skrzywiła w upiornym uśmiechu roztrzaskane usta.

– Całkiem niezłe – oceniła. – Oczywiście jak na kruche białkowe stworzenie.

Próbowałem uderzyć raz jeszcze, ale chwyciła moją rękę. Poczujęm się jak uwięziony w stalowym imadle. Szarpnąłem, ale nic to nie dało. Zrozumiałem, że nie mam żadnych szans. Katja zacisnęła dłoń w pięść i powoli ją uniosła. Ostatnią rzeczą, jaką widziałem, były jej miodowe oczy. Zimne, puste, straszne...

Ocknąłem się na podłodze cucony przez Gorszkowa.

– Nic mu nie będzie – oznajmił głośno, a potem zwrócił się do mnie: – Ale cię załatwiła. Chyba raz na zawsze odechce ci się romansów z androidami.

Z trudem usiadłem. Cały czas kręciło mi się w głowie. Na lewej skroni czułem pulsujący ból. Musiałem niezłe oberwać. Zogniskowałem spojrzenie i zobaczyłem stojącego w progu Szenraba.

– Gdzie ona jest? – wychrypiałem.

– Zamknęła się na mostku – odparł astrofizyk. – Właśnie uruchomiła procedurę odpalenia silników. Komandor, Abraham i Bahman próbują dostać się do środka. Możesz nam powiedzieć, co się stało?

Podniosłem się, ale zaraz zachwiałem i Gorszkow musiał mnie przytrzymać.

– Idziemy – oznajmiłem. – Najpierw do sekcji technicznej.

Lekarz pokręcił głową.

– Nie ma mowy – rzekł. – Zabieram cię do ambulatorium. Muszę zrobić tomografię i dokładnie cię przebadać. Uderzenie w głowę może mieć konsekwencje...

– Potem! – przerwałem mu gwałtownie i ruszyłem do drzwi. Pierwsze kroki stawiałem niepewnie, ale potem szło mi już coraz lepiej. Na korytarzu poczułem, jak podłoga zadrżała – znak, że zostały uruchomione silniki manewrowe Selene. Przyspieszyłem. Za mną podążali Gorszkow i Szenrab.

– Co się stało? – astrofizyk powoził pytanie.

– Później – odparłem. – Teraz nie ma czasu na wyjaśnienia.

Tak jak się domyślałem, w sekcji technicznej nie było śladu mózgu androida. Katja musiała go zabrać. Ruszyliśmy na mostek.

Gdy tam dotarliśmy, ujrzałem Bahmana manipulującego przy zamku szyfrowym drzwi oddzielających mostek od reszty statku. Wbijał kolejne ciągi znaków, ale żaden nie pasował. Z rezygnacją pokręcił głową. Katja zabezpieczyła drzwi kodem nie do złamania. W tym czasie Thorssen i Abraham szykowali się do użycia laserów, żeby wypalić otwór w grodzi.

W krótkich słowach wyjaśniłem wszystkim, co się stało. Powiedziałem o anamnezie Katji, gdy ujrzała swojego sobowtóra, i o jej zadaniu, które polegało na dostarczeniu mózgu androida przedstawicielom Federacji Solarnej.

– Już po nas – jęknął Abraham. – Federalni zabiją nas, żeby pozbyć się świadków.

Thorssen zaklął.

– Musimy dostać się do środka, zanim Katja wzniesie się na orbitę i włączy pierścień indukujący.

Pomogłem dowódcy i Abrahamowi ustawić lasery. Skierowaliśmy wiązkę na gródź i przyglądaliśmy się, jak powoli drąży w niej otwór. Za wolno. Materiał, jakiego użyto do budowy grodzi, był twardszy niż diament. Wiedziałem już, że nie zdążymy. Silniki były rozgrzane i lada chwila Selene wystartuje.

– Bahman! – zawołał dowódca. – Jak sobie radzisz?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie uda mi się złamać szyfru – odparł.

Spojrzelśmy na siebie z Thorssenem. Wyglądało na to, że przegraliśmy. Przebijanie się przez gródź potrwa jeszcze kwadrans, a w tym czasie będziemy już w tunelu czasoprzestrzennym. Nawet jeśli uda nam się obezwładnić Katję, i tak w Układzie Słonecznym wlecimy prosto w łapy federalnych.

Zrezygnowany osunąłem się na podłogę i oparłem plecami o ścianę. Przymknąłem powieki. Poczułem olbrzymie zmęczenie, nie tylko fizyczne, ale także przenikające głęboko do jaźni. Miałem wszystkiego dosyć. Miałem dosyć gromady kulistej 47 Tucanae, tego systemu gwiazdnego, planety i mojej misji. Chciałem zasnąć i już się nie obudzić...

Nagle drżenie podłogi ustało. Otworzyłem oczy i rozejrzałem się, niczego nie rozumiejąc. Równie zdumieni byli pozostali członkowie załogi.

– Co się stało? – zapytał Gorszkow.

– Silniki zostały wyłączone – odparłem.

Wtem drzwi się otworzyły.

– Udało ci się, Bahman – rzekł uradowany Thorssen.

Mężczyzna pokręcił głową.

– To nie ja.

Weszliśmy do pomieszczenia. Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to widok za iluminatorem. Burza minęła i na niebie ponownie świecił błękitny maruder. Promienie gwiazdy skąpały mostek Selene.

– Tam jest – rzekł Gorszkow, wskazując Katję siedzącą na fotelu pilota.

Zbliżyłem się ostrożnie. Nie ruszała się. Oczy miała otwarte, skierowane na błękitnego marudera. W rękach kurczowo trzymała

metaliczny mózg androida, który zabrała z sekcji technicznej.

Lekarz podszedł do niej i sprawdził puls.

– Nie żyje – oznajmił. – A raczej powinienem powiedzieć, że przestała funkcjonować.

## Rozdział 12

Od śmierci Katji minęło już kilka godzin, a ja wciąż nie potrafiłem zdefiniować tego, co czuję. Z jednej strony były to olbrzymi żal i smutek, jakbym stracił bliską osobę. Z drugiej zaś wypełniała mnie wściekłość. Przede wszystkim na siebie, że uległem emocjom i zamiast zachować dystans, wdałem się w romans. Z androidem.

Nie mogłem jednak udawać przed sobą, że nie czułem nic do Katji. Traktowałem ją jak żywą istotę. Zdawałem sobie sprawę, że to głupie. Ona była tylko maszyną obleczoną w ludzką skórę. Pocieszałem się tym, że ma idealnie skopiowane neurony i ciało kogoś, kto istniał naprawdę. Można powiedzieć, że fascynowała mnie kobieta, której nigdy w życiu nie spotkałem, a Katja była jedynie jej awatarem.

Czym tak naprawdę jest świadomość? – zastanawiałem się. Radości i smutki, wspomnienia i ambicje, poczucie tożsamości i wolnej woli to w rzeczywistości nic więcej niż aktywność wielkiego zbioru komórek nerwowych oraz związanych z nimi cząsteczek. Niektórzy upierają się, że świadomość jest czymś więcej, czymś niematerialnym związanym z nieśmiertelną duszą. Lecz w gruncie rzeczy to, co – jak się wydaje – należy do sfery ducha, jest kontrolowane przez niezbyt skomplikowane substancje zwane neuroprzekaznikami. A te łatwo sztucznie wytworzyć.

Wierzyłem, że Katja była samodzielnie myślącą istotą, mimo że zrobiła to, co zrobiła. Po anamnezie dokładnie wykonała

zaprogramowane instrukcje. Ale przecież ludzkim umysłem też można manipulować poprzez komunikaty podprogowe. Nie miałem żadnej pewności, że ja też nie jestem zaprogramowany. A może ktoś jeszcze z załogi został? Niewykluczone, że przed wyprawą naukowcy Federacji Solarnej dobrali się do naszych mózgów, a my o tym nie wiemy. Może tylko wypełniamy to, co nam wdrukowano?

Postanowiłem nie roztrząsać tej sprawy i skupiłem się na pracy.

Siedziałem w fotelu pilota, analizując pierwsze dane dostarczone przez sondy. Wynikało z nich, że na planecie nie ma mórz, oceanów ani większych zbiorników wodnych. Były jedynie niewielkie oczka. Wokół nich gromadziły się zwierzęta przypominające ziemskie gryzonie. Na pustynnych obszarach sondy odkryły kilka gatunków płazów. One najlepiej przystosowały się do życia na tej niegościnniej planecie, gdzie tylko z rzadka występowała uboga roślinność.

Podniosłem wzrok na iluminator. Obserwując pracujące Goliaty, które usuwały naniesiony przez burzę piach i stawiały zaporę z metalowych komponentów na wypadek kolejnej nawałnicy, zastanawiałem się, czy powstanie tu jakaś kolonia. Szczerze w to wątpiłem. Dotychczas nie udało nam się znaleźć jakichkolwiek wartych eksploracji złóż. Planeta nie miała też żadnych walorów turystycznych. Wyglądało na to, że źle trafiliśmy.

Thorssen jednak nie tracił nadziei. Postanowił maksymalnie wykorzystać czas, jaki nam pozostał do odlotu, i dokładnie zbadać glob. Nie zamierzał wracać na Ziemię z pustymi rękoma. Nie chciałem mu tego mówić, ale byłem zdania, że nawet jeśli znajdziemy jakieś bogate złoża i korporacje zainteresują się ich eksploatacją, Federacja Solarna prawdopodobnie i tak nie wyda odpowiedniego zezwolenia. Nie wierzyłem również w to, że gdy

wrócimy do Układu Słonecznego, federalni dadzą nam spokój. W najlepszym wypadku wylądujemy w więzieniu, w najgorszym czeka nas śmierć. Widzieliśmy już zbyt wiele. To był jeden z powodów, dla których Selene nie mogła wrócić na Ziemię. Ale nie jedyny.

– Masz coś? – usłyszałem za sobą komandora.

– Na razie nic wartego uwagi – odparłem. – Tylko piach, wiatr i od czasu do czasu jakieś formy życia przystosowane do tego pustynnego piekła.

– Niedobrze.

Odwróciłem się w fotelu i spojrzałem na Thorssena. Twarz miał pobladłą, uwidoczniły się wszystkie bruzdy, pogłębiły zmarszczki. W zgaszonych oczach nie widziałem już tego błysku energii i optymizmu, jakie przejawiał na początku wyprawy. Stres i zmęczenie zrobiły swoje. Komandor opadł na fotel obok.

– Zostało mało czasu – rzekł. – Przez uszkodzenie świecy tlenowej mamy co najwyżej trzydzieści godzin zamiast sześćdziesięciu.

– Nie starałem się nawet go pocieszać. Pokiwałem tylko głową.

Nagle jego oczy rozbłysły gniewem i uderzył dłonią o poręcz fotela.

– Kto to mógł zrobić?! – warknął. – Masz już jakieś podejrzenia?

– Jeszcze nie – odpowiedziałem. – Ale prędy czy później się dowiem.

– Oby jak najprędzej – wycedził. – Chcę dopaść tego gnoja. Wypruję mu flaki.

Wiedziałem, że Thorssen nie żartuje, i poczułem nawet coś w rodzaju współczucia dla sabotażysty.

– A ty jak się trzymasz? – zapytał niespodziewanie.

Spojrzałem na niego. Przejawiał autentyczną troskę.

– Całkiem nieźle.

– To dobrze – rzekł.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale się zawahał. Włączył panel sterujący na swoim stanowisku i zaczął przeglądać dane dostarczone przez sondy. W pewnym momencie ponownie skupił na mnie wzrok. Przyglądał mi się z zaciekawieniem.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Proszę bardzo – odparłem, domyślając się, czego może dotyczyć pytanie.

– Czy było coś między tobą a...

– Katją? – dokończyłem.

Pokiwał głową.

– Chyba tak. – Westchnąłem. – Ale nie chcę tego roztrząsać.

– Rozumiem.

Milczeliśmy dobry kwadrans. W tym czasie przeglądaliśmy dane z sond. Komandor z niezadowoleniem kręcił głową. Był wyraźnie zawiedziony. Wreszcie dał za wygraną i odchylił się w fotelu.

– Jak myślisz, co się z nią stało? – zapytał. – Dlaczego nagle przestała funkcjonować?

Zanim odpowiedziałem, musiałem zebrać myśli i wszystko sobie poukładać. Nie ulegało wątpliwości, że gdy Katja zobaczyła swojego sobowtóra, dokonała się u niej anamneza, a wraz z nią został uruchomiony program. Rozkaz natychmiastowego powrotu na Ziemię. Ogłuszyła mnie, a następnie zamknęła się na mostku, blokując drzwi, żeby nikt nie mógł jej powstrzymać. Odpaliła silniki manewrowe Selene, szykując się do startu. Niespodziewanie jednak wyłączyła wszystko i odblokowała wejście, a my zastaliśmy ją martwą.

– Ktoś musiał przejąć nad nią kontrolę – odparłem. – Albo coś.



Komandor zmarszczył brwi.

– Coś?

Wpatrywałem się w iluminator, spoglądając na wiszącą nisko nad horyzontem gwiazdę planety. Nadal emitowała upiorny błękit.

– To nie jest zwyczajny system gwiazdny – rzekłem w końcu. – Dzieje się tutaj coś, co trudno racjonalnie wytłumaczyć.

– Podejrzewasz działanie obcych?

Wzruszyłem ramionami.

– Niczego nie można wykluczyć.

– Może będziemy mądrzejsi, gdy Bahman odtworzy informacje z mózgów androidów?

Poczułem, jakbym dostał w głowę ciężkim przedmiotem, ale na mojej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień.

– Wyciągnęliście mózg Katji?

– Przykro mi. – W głosie dowódcy usłyszałem prawdziwy żal. – To było konieczne.

Skinąłem głową, nie odrywając wzroku od iluminatora. Thorssen podążył za moim spojrzeniem i mrużąc oczy, przyglądał się błękitnemu maruderowi.

– Niepokoi mnie jego blask.

– Jest w nim coś upiornego – przyznałem. – To irracjonalne, ale czasami mam wrażenie, że ta gwiazda posiada świadomość i stoi za wypadkami na Rahabie, a także za tym, co stało się z Katją.

Spodziewałem się, że komandor wybuchnie śmiechem, ale nic takiego nie nastąpiło. Ponuro wpatrywał się w znikającą za horyzontem gwiazdę.

– Za trzydzieści godzin odlatujemy – rzekł. – I mam nadzieję, że już nigdy tu nie wrócimy.

Rozejrzałem się po mostku. Byliśmy sami. Dobra okazja, żeby spróbować przekonać Thorssena do swojego planu.

– Federalni będą zadawać pytania – rzekłem ostrożnie.

– Domyślam się.

– Możemy mieć poważne kłopoty – ciągnąłem. – Widzieliśmy zbyt wiele, żeby dali nam spokój.

Dowódca wzruszył ramionami.

– I tak nie mamy wyjścia – powiedział. – Musimy wrócić na Ziemię.

– Niekoniecznie.

Thorssen oderwał wzrok od gwiazdy i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Co masz na myśli?

Już otwierałem usta, by mu odpowiedzieć, gdy odezwał się alarm. Natychmiast rzuciliśmy się do panelu sterowniczego.

– Co się dzieje? – zapytał komandor.

– System informuje o awarii bioskafandra.

– Kto jest na zewnątrz?

– Szenrab i Abraham, którzy wyjechali łazikiem na południe... – Zawahałem się. – I Bahman.

– Bahman? – zdziwił się Thorssen. – Przecież miał pracować nad odtworzeniem informacji z mózgow androidów.

– Widocznie poszedł sprawdzić pracę Goliatów. W końcu ma je nadzorować.

– Wyświetl dane medyczne ze wszystkich bioskafandrów.

– Już to zrobiłem – powiedziałem, wskazując holograficzny wyświetlacz. Dane przy skafandrze Bahmana migotały na czerwono, co oznaczało awarię.

Thorssen chwycił komunikator.

– Bahman! Słyszysz mnie?

Cisza.

– Odezwij się.

Nadal cisza.

– Idziemy po niego – zdecydował dowódca.

Biegiem ruszyliśmy do śluzy. Szybko wciągnęliśmy bioskafandry, założyliśmy hełmy i wyszliśmy na zewnątrz. Zdążyliśmy tylko poinformować Gorszkowa, żeby przygotował ambulatorium.

Od razu skierowaliśmy się w stronę Goliatów. Dwa olbrzymie człekokształtne roboty stawiały prowizoryczną osłonę przed wiatrem z pustych kontenerów i stalowych elementów. Gdy się zbliżyliśmy, zatrzymały się i spojrzały na nas szmaragdowymi oczami. Przeszły mnie ciarki. Zastanawiałem się, co się kłębi w ich elektronicznych mózgach. Miałem wrażenie, że zaraz ruszą na nas i zmiażdżą w potężnych stalowych ramionach. Odetchnąłem z ulgą, gdy wróciły do pracy.

Wtem kątem oka dostrzegłem Bahmana. Leżał na wznak częściowo zasypany szkarłatnym piaskiem, który cały czas nawiewał wiatr.

– Tam jest! – Wskazałem Thorssenowi.

Ruszyliśmy ku niemu najszybciej, jak to było możliwe w bioskafandrach. Dotarłem do Bahmana pierwszy, pochyliłem się i zauważyłem, że ma roztrzaskany hełm. Nie było czasu do stracenia. Chwyciliśmy go z komandorem za ramiona i wciągnęliśmy do statku. Zaraz trafił do ambulatorium i zajął się nim Gorszkow. Czekaliśmy w milczeniu na korytarzu. Nie minął jednak kwadrans, gdy drzwi otworzyły się i lekarz zaprosił nas do środka.

– Przykro mi – oznajmił, wycierając umyte przed chwilą ręce. – Nic nie mogłem dla niego zrobić.

Na stole, przykryty do piersi prześcieradłem, leżał Bahman. Bledszy niż zwykle, z zamkniętymi oczami wyglądał jak manekin,

którego przypominał nawet za życia. Chociaż nie pałałem do niego sympatią, zrobiło mi się go żal. Bardziej jednak złościło mnie to, że straciliśmy kolejnego członka załogi, a ja nie wiedziałem, co się stało.

– Jak zginął? – zapytałem.

– Pęknięta czaszka.

– Jak to się mogło stać? – zapytał Thorssen zachrypniętym głosem. Brwi miał ściągnięte, czoło zachmurzone. Śmierć inżyniera mocno nim wstrząsnęła.

– Trudno powiedzieć – rzekł lekarz. – To musiało być bardzo silne uderzenie, skoro roztrzaskało hełm i czaszkę. Pracował w pobliżu Goliatów, prawda?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Podejrzewam, że zginął przez nieostrożność – oświadczył Gorszkow. – Zbliżył się za bardzo do pracujących robotów i dostał w głowę jakimś niesionym przez nie komponentem.

– To niemożliwe – zaprotestował komandor. – Goliaty mają zaprogramowaną opcję bezpieczeństwa. Automatycznie przerywają pracę, gdy zagrożone jest zdrowie i życie człowieka. A gdy przybyliśmy na miejsce wypadku, pracowały.

– Jestem tylko lekarzem i nie znam się na zaawansowanej technologii. – Gorszkow wzruszył ramionami. – Wiem jedno: Bahman zginął od silnego uderzenia w głowę twardym przedmiotem.

Przenieśliśmy spojrzenia na martwego automatyka. Nie wiem, o czym myśleli Thorssen i Gorszkow, ale ja zastanawiałem się, czy to wypadek czy kolejne morderstwo. Ze wszystkich kandydatów na sabotażystę i mordercę najbardziej stawiałem właśnie na Bahmana. On wydawał mi się najbardziej podejrzany. A teraz nie żył, ja zaś znowu byłem daleko w polu z moim śledztwem.

Thorssena mogłem wykluczyć. Tak samo Szenraba, który o mały włos zginąłby przy wybuchu świecy tlenowej. Pozostawali Gorszkow i Abraham. Musiałem na nich uważać. Jeden z nich był mordercą.

– A może to była awaria Goliata? – zasugerował lekarz.

– To mało prawdopodobne – rzekł Thorssen.

– Ale możliwe – powiedziałem. – Trzy lata temu uczestniczyłem w wyprawie do mgławicy Hantle, gdzie wokół pomarańczowego karła krążył pas planetoid bogaty w nikiel i żelazo. Zakładaliśmy tam pierwsze stacje górnicze i do prac używaliśmy Goliatów. W ciągu półrocznego pobytu zdarzyły się dwie awarie. W obu przypadkach zawiódł właśnie system zabezpieczeń.

Oczywiście skłamałem. Nigdy nie byłem w mgławicy Hantle i nigdy nie pracowałem na stacji górniczej. Na razie nie chciałem wzbudzać paniki wśród załogi.

Dowódca milczał, pocierając nerwowo szczecinę na brodzie.

– Trzeba to sprawdzić. Ale tylko Bahman się na nich znał.

– Ja mogę spróbować – zadeklarowałem. – Jak mówiłem, przez pół roku miałem z nimi do czynienia. Raczej nie zapomniałem, jak funkcjonują.

Thorssen skinął głową.

– Dobrze – rzekł. – Ile ci to zajmie?

– Trudno powiedzieć. Przejrzenie zapisu z kamer i odszyfrowanie komend zapisanych w pamięci robotów może potrwać nawet kilka godzin.

– Nie mamy tyle czasu. Musimy szybko zdecydować, co dalej. Spotkamy się za godzinę na mostku i wtedy powiesz mi, co odkryłeś. – Ruszył w stronę wyjścia. W progu odwrócił się i dodał: – Poinformujcie o wypadku Abrahama i Szenraba. Niech jak najszybciej wracają na Selene.

Po wyjściu komandora Gorszkow zmrużył oczy, przyglądając mi się uważnie.

– Wcześniej ani słowem nie wspomniałeś, że znasz się na Goliatach.

– Nikt mnie o to nie pytał – odparłem. – A ja nie lubię się chwalić.

– Wielu rzeczy o tobie nie wiem. Wydaje mi się, że nie jesteś zwykłym astrobiologiem.

Popatrzyłem Gorszkowowi głęboko w oczy, próbując coś z nich wyczytać, ale nie dostrzegłem niczego prócz ciekawości.

– Interesuje cię moja przeszłość?

– Owszem, jeśli mam być szczery.

– Zwiadowcy nie wypytyują się o takie rzeczy.

Gorszkow uśmiechnął się samymi kącikami ust.

– Wątpię, byś był zwiadowcą – rzekł z lekkim uśmiechem. Nagle odwrócił się do mnie plecami i pochylił nad zwłokami Bahmana. – Przeprowadzę dokładną sekcję – powiedział, zmieniając temat. – Poinformujesz Abrahama i Szenraba, żeby wracali?

– Zrobię to w drodze do sekcji technicznej.

Nie wyszedłem od razu z ambulatorium. Jeszcze przez chwilę przyglądałem się naszemu lekarzowi, zastanawiając się, czy moje podejrzenia w stosunku do niego są słuszne. Domyślał się, że nie jestem tym, za kogo się podaję, ale to nie było trudne w świetle ostatnich wydarzeń. Zresztą za kilka godzin i tak będę musiał ujawnić swoją tożsamość, więc nie miało to większego znaczenia. Problemem było to, co Gorszkow planował zrobić z tą wiedzą. Jeśli to on jest agentem Federacji, zapewne będzie usiłował storpedować moje plany. Jednak dopóki nie miałem dowodów, nie zamierzałem nic robić. Pozostawało cierpliwie czekać i mieć się na baczności.

Wreszcie wyszedłem z ambulatorium. Ruszyłem do sekcji technicznej. Goliaty stały już grzecznie pod ścianą.

Przez całe swoje życie nienawidziłem maszyn. Uważałem je za bezosobowe, sztuczne twory bez duszy i emocji, niezdolne do odczuwania. Wykonywały każde polecenie, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Jak tresowane zwierzęta. Nigdy wcześniej nie traktowałem ich jak żywe istoty, tylko twór ludzkich rąk i umysłów. Przecież nie mają tego daru, boskiego tchnienia, które odróżnia materię ożywioną od nieożywionej – tak jeszcze niedawno myślałem. Wszystko zmieniło się za sprawą Katji.

Mój sposób postrzegania świata legł w gruzach. Podobnie jak zdanie o tym, co określamy istotą żywą, a co nie. Nadal wzbraniałem się przed porównywaniem Goliatów do Katji. Ona miała świadomość, osobowość, wolną wolę. Mocno w to wierzyłem.

A może to było z mojej strony zwykłe wyparcie? Przecież poznałem ją jako kobietę, a dopiero potem dowiedziałem się, kim jest – gdy zdążyła już wzbudzić moje zainteresowanie. Po prostu chciałem w niej widzieć kobietę.

Wczytując pamięć Goliatów do komputera pokładowego, nagle uświadomiłem sobie, jak bardzo Katja była podobna do Laury. Też miała jasne, krótko ścięte włosy i kontrastujące z nimi oczy w kolorze miodu. Podobne gesty, mimikę, uśmiech. Nadal doskonale pamiętałem Laurę, chociaż od jej śmierci minęło już dziesięć lat.

Wróciłem do pracy, starając się nie myśleć o przeszłości. Najpierw próbowałem odczytać zapis z kamer w oczach robotów, ale okazał się niedostępny. Zmarszczyłem brwi. To raczej niemożliwe, żeby w obu egzemplarzach w tym samym czasie wystąpił taki sam błąd. Postanowiłem sprząc wewnętrzne pamięci Goliatów z komputerem pokładowym i przeanalizować procesy

zachodzące w ich mózgach. Ustawiłem filtr mający wyłapać wszelkie anomalie i czekałem.

Westchnąłem ciężko i spojrzałem na stojące pod ścianą giganty. Wydawały się pogrążone we śnie. Milczące, nieobecne, nieludzkie. I chociaż ich twarze ukształtowane były na podobieństwo twarzy człowieka, nie potrafiłem dostrzec w nich niczego poza kupą stali. Będą tak trwać, dopóki nie zardzewieją, a ich procesory nie rozpadną się w pył. Nastąpi to jednak długo po tym, jak ja umrę.

Fascynują mnie organizmy żywe. Dlatego studiowałem między innymi biologię. Życie jest cudem natury, doskonałością, której nic nie dorówna. Fenomen życia można badać na wszelkie sposoby, zaprzęgnąć do tego mikroskopy, komputery i nanotechnologię, rozłożyć na czynniki pierwsze, dowodzić mechanizmów działania, wykorzystując biochemię i genetykę, ale tak naprawdę nie da się go zrozumieć. Pozostaje tylko zachwyt.

Istota żywa zmienia się. Rodzi się, dojrzewa, a potem umiera. Taka jest kolej rzeczy. Odwieczny cykl natury. Maszyna pozostaje niezmienna, bez szansy na ewolucję i skazana na człowieka, który ją programuje. Tak jak zaprogramowana została Katja.

A może my, ludzie, również jesteśmy robotami, którym ktoś kiedyś napisał odpowiedni algorytm i go wprowadził? Obleczonymi w ciała automatami, w których trybiki i układy scalone zastąpione zostały przez wodę, lipidy, białka, węglowodany i kwasy nukleinowe, a świadomość jest wyłącznie odpowiednią komendą zakodowaną w naszych mózgach pełniącą funkcję procesorów? Wówczas w niczym nie różnilibyśmy się od robotów.

Komputer zasygnalizował, że skończył automatyczny skan. Przeniósłem wzrok na hologram. W programach obu Goliatów nie wykryto żadnych anomalii ani nieprawidłowych komunikatów. Pokręciłem z niedowierzaniem głową. Coś musiało być nie tak.



Postanowiłem przejrzeć linijka po linijce wszystkie kody oraz komendy. Zajęło mi to ponad pół godziny, ale niczego podejrzanego nie znalazłem. Może rzeczywiście wypadek był skutkiem nieuwagi Bahmana?

Oczywiście wyobraźni ujrzałem jego śmierć. Odziany w bioskafander stał przed hangarem Selene, przyglądając się pracującym robotom. Upiorny błękit zachodzącej gwiazdy odbijał się w osłonie hełmu, oślepiając go i wdzierając się niepokojącym zimnem do jego jaźni. Postąpił kilka kroków do przodu, by ukryć się w cieniu statku, i wtedy dostał się w zasięg potężnych stalowych ramion. Goliat wykonał zamach i uderzył Bahmana, powodując jego śmierć. Robot pewnie się nawet nie zorientował, że stało się coś złego.

A może było inaczej? Szmaragdowe oczy Goliata nagle rozbłysły wściekłością, frustracją niewolnika przeznaczonego do wykonywania najgorszych prac, rozżaleniem z powodu własnej ułomności, bo nie jest istotą żywą, a jedynie jej imitacją. W porywie gniewu podszedł do Bahmana, zacisnął stalową dłoń w pięść i uderzył astronautę, wkładając w ten cios całą swą nienawiść.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli. Okazujący emocje Goliat budził we mnie cieplejsze uczucia niż stojący pod ścianą potężny bezosobowy manekin. Zaraz jednak spowaźniałem, uświadamiając sobie, że zginął jeden z członków wyprawy, a ja nadal nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

Wróciłem do analizy pamięci Goliatów. Otworzyłem wszystkie podprogramy i tam poszukiwałem błędnej komendy. Zacząłem już podejrzewać, że ktoś wprowadził wirusa, który potem sam się dezaktywował. Ale po czymś takim zostałby jakiś ślad.

A może podchodziłem do tego od złej strony? Wyłączyłem hologram i odchyliłem się w fotelu. Najpierw powinienem

odpowiedzieć na pytanie, komu zależało na śmierci Bahmana.

Pierwszym podejrzanym był oczywiście Abraham, który wiecznie się z nim kłócił. Ale to były raczej dyskusje dwóch naukowców o przeciwstawnych poglądach. Żaden powód do morderstwa. Potem pomyślałem o agencji Federacji Solarnej, na którego teraz typowałem Gorszkowa. Jednak lekarz musiał też mieć dobry powód, żeby ryzykować kolejne zabójstwo. Bahman mógł być bliski odkrycia czegoś, co nie powinno ujrzeć światła dziennego. Co to mogło być? – myślałem, rozglądając się po pomieszczeniu technicznym.

Wtedy mój wzrok padł na mózgi androidów stojące na jednej z półek. Wstałem i podszedłem bliżej. Długo im się przyglądałem, zastanawiając się, jaka jest różnica pomiędzy nimi a mózgiem człowieka. Pomijając to, że były syntetyczne, również miały płyty czołowe, skroniowe, ciemieniowe i potyliczne. W środku każdego z nich znajdował się hipokamp – element odpowiedzialny za pamięć i pozwalający złożyć różnego rodzaju informacje w jedną całość. Po jego uszkodzeniu człowiek traci nie tylko dostęp do pamięci, ale też zdolność wyobrażania sobie przyszłości.

Czy Katja była w stanie wizualizować sobie przyszłość? – zastanawiałem się. Czy rozważała, jak będzie wyglądało jej życie po powrocie na Ziemię? Czy myślała, jak może się rozwinąć nasz związek? A może miała zakodowaną tylko jedną determinantę: odnaleźć poprzedni model i dostarczyć federacyjnym naukowcom?

Zabrałem mózg Katji z Rahaba i podłączyłem do komputera. Kilka minut zajęło mi odszukanie programów, na których operował Bahman, ale gdy wreszcie udało mi się je uruchomić, ze zdumieniem stwierdziłem, że część informacji jednak odtworzył. Znalazłem dokładnie nałożoną mapę wspomnień sięgającą wczesnego dzieciństwa oraz trochę chaotycznych danych

dotyczących służby na Rahabie i podróży do 47 Tucanae. Niestety, ostatnie godziny życia tej Katji były niedostępne.

Zmarszczyłem czoło i odchyliłem się w fotelu. Potrzebny był jakiś kod do odblokowania tego segmentu wspomnień. Najwidoczniej Bahman go nie odnalazł.

Nagle mój wzrok ponownie padł na półkę. W głowie zaświtała mi pewna myśl. Do spotkania w mesie miałem jeszcze kwadrans. Podłączyłem oba mózgi androidów do komputera i sprzęgłem je ze sobą. Pilnowałem się, żeby nie przeglądać wspomnień „mojej” Katji. Nie chciałem wiedzieć, co myślała i co czuła. Wolałem trzymać się własnej wersji, nawet jeśli była kłamliwa.

Ku mojemu zaskoczeniu segment pamięci został odblokowany. Tak jak podejrzewałem, kod znajdował się w mózgu innego androida. Ucieszyłem się jeszcze bardziej, gdy okazało się, że mam dostęp do wizualizacyjnych wspomnień z ostatniej godziny życia androida z pancernika.

Obraz na hologramie był niewyraźny, ale zobaczyłem korytarz Rahaba i biegnących nim ludzi. Krzyczeli coś w panice. Panował chaos. Ujrzałem wiązki z laserów. Ludzie strzelali do... ludzi. A jednak sami się pomordowali? – pomyślałem.

Obraz zgasł. Pojawił się po dłuższej przerwie. Tym razem korytarze były puste. Katja szła, ciągnąc coś. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to człowiek. Musiał być nieprzytomny albo martwy. Kobieta weszła do maszynowni i skierowała się do anihilatora materii. Wewnątrz wirował laser. Bez problemu podniosła mężczyznę i wrzuciła do środka. Rozpadł się na atomy w ułamku sekundy.

Na podłodze dojrzałem więcej ciał. Zmroziło mnie. Ci ludzie musieli być martwi. Większość miała rany postrzałowe. Katja jednego po drugim wrzucała do anihilatora.

Obraz ponownie zaśniewał i zgasł. Kolejnej sekwencji pamięci nie udało się odzyskać. Skupiłem się na próbie odtworzenia ostatnich minut życia androida. Sukces osiągnąłem po pewnym czasie.

Tym razem Katja znajdowała się na mostku Rahaba – tam, gdzie ją znaleźliśmy. Siedziała na fotelu i ponuro spoglądała na drzwi, w które ktoś uderzał od zewnątrz. Monotonnie i na tyle mocno, że zostawiał wybrzuszenia w stali. Kobieta sięgnęła do panelu sterującego, by uruchomić pierścień indukujący. Najwyraźniej próbowała otworzyć tunel czasoprzestrzenny i skoczyć do Układu Słonecznego.

Nagle hologram rozbłysnął intensywnym niebieskim światłem, które mnie oślepiło. Gdy ponownie skupiłem wzrok, dostrzegłem, że pochodzi ono z błękitnego marudera widocznego za iluminatorem Rahaba. Procedura uruchomienia pierścienia indukującego została wstrzymana. Katja próbowała ponownie odpalić panel sterujący, ale ten zgasł. Walenie w drzwi ustało. Upiorne światło przenikało na mostek z coraz większym natężeniem. Obraz zgasł.

Przez dobrych kilka minut siedziałem w fotelu, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczyłem. Nie rozumiałem tego. Podejrzewałem, że tak samo została wyłączona Katja na Selene, gdy próbowała odpalić silniki i odlecieć.

Wiedziałem jedno: nie opuścimy tego przeklętego systemu.

## Rozdział 13

Wyłączyłem hologram. Abraham z niedowierzaniem kręcił głową, Thorssen wydawał się osłupiały, a Szenrab w zamyśleniu gładził się po brodzie. Brakowało Gorszkowa, który poinformował przez komunikator, że zaraz do nas dołączy. Ale komandor nie zamierzał na niego czekać – chciał się natychmiast dowiedzieć, co odkryłem. Włączyłem im to, co sam oglądałem przed kwadransem.

– Co to, kurwa, było?! – Abraham przerwał milczenie. Wyglądał na roztrzęsionego. – Co to za blask?

– Podejrzewam rozbłysk gwiazdowy – rzekł Szenrab. – Co prawda nigdy takiego silnego nie widziałem, ale chyba to jedyne rozsądne wytłumaczenie. Promieniowanie elektromagnetyczne uszkodziło androida.

– To samo spotkało Katję.

Astrofizyk machnął lekceważąco ręką.

– Przypadek.

– Wątpię. – Pokręciłem głową. – To się stało przy próbie odpalenia silników i opuszczenia z tego systemu.

Szenrab roześmiał się.

– Chcesz powiedzieć, że błękitny maruder próbuje nas tu zatrzymać?

– Pewnych rzeczy inaczej nie sposób wytłumaczyć. Jak wyjaśnisz samoistne wyłączenie silników Rahaba?

Mężczyzna wzruszył tylko ramionami.

– Podejrzewam, że to samo stało się na mostku Selene – kontynuowałem, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Rozbłysk światła pozbawił Katję życia i przerwał procedurę startową.

Wszyscy trwożnie spojrzeliśmy przez iluminator. Błękitny maruder nadal wisiał nisko na niebie, jakby zupełnie nie spieszyło mu się, żeby schować się za horyzontem. Ulżyłoby mi, gdyby gwiazda wreszcie zaszła i nastąpiła pora nocna. Co prawda i tak byłoby jasno jak w dzień, ale przynajmniej przez kilka godzin nie widziałbym tego upiornego światła.

– Pozostaje jeszcze kwestia załogi – odezwał się komandor. – Widać walki, strzały z laserów i próbę wdarcia się na mostek.

Spojrzałem na Szenraba.

– Niedawno słyszeliśmy, że wahania pola magnetycznego mogą źle wpływać na ludzi.

– Tak – przyznał astrofizyk. – Modulują aktywność fal mózgowych, powodując skoki hormonalne. Niewykluczone, że wzmagają agresję.

– Czyli załodze Rahaba po prostu odwaliło?

– Całkiem możliwe.

– Zatem możemy to jakoś racjonalnie wytłumaczyć – rzekł Thorssen, a w jego głosie dało się wyczuć ulgę. – Federacja Solarna straciła kontakt z dwiema ekspedycjami badawczymi wysłanymi do gromady kulistej 47 Tucanae. Została wysłana trzecia, tym razem wojskowa, żeby sprawdzić, co się stało. Na miejscu okazało się, że naukowcy wystawieni na światło błękitnego marudera na skutek natężenia pola magnetycznego postradali rozum. Wojskowi, nie wiedząc, z czym mają do czynienia, zrobili to, co potrafią najlepiej, czyli czystkę. Zniszczyli dwa statki badawcze na orbicie oraz zabili wszystkich w bazie na powierzchni planety. A potem sami ulegli wpływowi promieniowania elektromagnetycznego i zaczęli zabijać

się nawzajem. Syntetyczny mózg androida był lepiej przystosowany i przetrwał trochę dłużej. Android zamknął się na mostku, gdzie próbował wykonać procedury startowe. I dopiero wtedy uległ uszkodzeniu.

Dowódca wydawał się zadowolony ze swojej teorii.

– Widzę tu pewne nielogiczności – powiedziałem. – Dlaczego wojsko użyło tak drastycznych środków?

– Federacja Solarna nigdy nie przejmowała się swoimi obywatelami – odparł Thorssen.

– Na tyle, żeby zniszczyć dwa statki badawcze, które na pewno kosztowały majątek, oraz znajdujące się na nich wyniki badań?

Na to pytanie komandor nie miał odpowiedzi.

– I jeszcze jedno – kontynuowałem. – Dlaczego nam nic się nie stało? Skoro pole magnetyczne spowodowało wyłączenie Katji, po tym jak mnie ogłuszyła i zamknęła się na mostku, my też powinniśmy odczuć skutki zmiany jego natężenia...

– Pamiętaj, że ona była bezpośrednio wystawiona na rozbłyki gwiazdowe – wtrącił Abraham.

– To tak nie działa – uciął ostro Szenrab. – Pole magnetyczne przenika przez statek. Gdyby zmieniało się jego natężenie, wszyscy byśmy to odczuli, niezależnie od miejsca, w którym byliśmy.

– Jakie mogą być skutki długotrwałego wystawienia na jego działanie? – spytał dowódca.

– Jak już wspomniałem, pole magnetyczne wchodzi w interakcje elektrochemiczne w ludzkich mózgach, czego skutkiem może być wzmożona agresja. Nie wiem, jaki ma wpływ na zdrowie fizyczne. Nie jestem lekarzem. Może Gorszkow będzie umiał powiedzieć więcej na ten temat?

– A w ogóle, gdzie on jest? – zirytował się komandor. – Wzywałem go piętnaście minut temu.

Chwycił leżący na stole komunikator i połączył się z ambulatorium. Nie było odpowiedzi. Przełączył się do kajuty lekarza. Również bez skutku.

– Pójdę po niego – zaofiarował się Abraham.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Miny mieliśmy nietęgie i pewnie wszyscy zastanawialiśmy się nad niebezpieczeństwem, które zawisło nad nami jak miecz Damoklesa. Nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia i jak się przed tym bronić.

– Jak twoje badania? – zapytałem Szenraba, świadom, że zdążył już przeprowadzić sporo analiz astrofizycznych. – Dowiedziałeś się czegoś więcej o naturze błękitnych maruderów?

Odchylił się w fotelu, a na jego twarzy malowała się satysfakcja. Widocznie ucieszył się, że może się pochwalić wynikami swojej pracy.

– Wstępne badania potwierdziły słuszność mojej teorii, chociaż pierwsze wyniki nie były obiecujące – rozpoczął tonem mentora. – Wszystko wskazywało na to, że tajemnica młodości błękitnych maruderów tkwi w przepływie masy między dwoma składnikami. Przejrzałem jednak raz jeszcze wyniki uzyskane przez teleskopy Selene i zestawilem je z obserwacjami dokonanymi tutaj, na miejscu. Dopiero wtedy uzyskałem pełen ich obraz. Otóż okazało się, że ich powierzchnie zawierają mniej węgla i tlenu, a to oznacza, że materiał tworzący zewnętrzne powłoki musiał zostać wyrwany z głębi innych gwiazd.

Komandor posłał mi znaczące spojrzenie. Widać było, że kosmologia interesuje go jak zeszłoroczny śnieg na dziesiątej planecie epsilon Eridani. Na pewno wolał gotową odpowiedź niż nudny wykład, którym uraczył nas Szenrab. Ten zaś, pochłonięty



swoim odkryciem, najwyraźniej nie widział naszych znudzonych min.

– Ponadto ruch błękitnych maruderów wokół własnej osi jest nietypowy. Rotują trzykrotnie szybciej niż podobne do nich obiekty. Niesamowite, nieprawdaz?!

Szenrab przerwał, oczekując jakiejś reakcji. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Siedzieliśmy w swoich fotelach, niewiele rozumiejąc.

– I czego to ma dowodzić? – spytał komandor.

Astrofizyk wzniosł oczy ku górze, jakby szukał oparcia w Bogu, w którego zresztą nie wierzył.

– Jak to czego?! Błękitne marudery powstają w wyniku gwałtownych zderzeń z innymi gwiazdami! W gromadzie kulistej 47 Tucanae o kolizje nietrudno. Z moich obliczeń wynika, że te gwiazdy wchłaniają mniejsze.

– Więc miałeś rację z tymi kanibalami – rzekłem, przypomniawszy sobie pierwszą rozmowę z Katją.

– Tak – odparł. – Można śmiało powiedzieć, że to kosmiczni kanibale.

– Albo zombie – zażartował dowódca, ale zaraz na jego czole pojawił się głęboki mars. – Można to jakoś powiązać z tym, co się tu dzieje?

Szenrab zawahał się, a potem ze smutkiem pokręcił głową.

– Raczysz nas bzdurami, a mamy poważniejsze problemy! – warknął Thorssen.

Urażony astrofizyk skrzyżował ręce na piersi i mocno zacisnął usta, najwyraźniej postanawiając się więcej nie odzywać. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może zignorować tak doniosłe odkrycie.

– Powinniśmy jak najszybciej opuścić ten system – stwierdziłem. – Nieważne, z czym mamy do czynienia. To zjawisko

jest niebezpieczne.

– Panikujesz – prychnął Szenrab. – Na razie nic się nie stało.

– A Katja?

– To tylko wzrost natężenia pola magnetycznego, który spowodował, że twój ukochany android przestał działać.

Na ustach astrofizyka pojawił się złośliwy uśmiech. Zacisnąłem pięści tak mocno, że aż mi kostki zbieleły. Miałem ochotę walnąć Szenraba w szczękę, opanowałem się jednak, rozluźniłem mięśnie i wziąłem kilka głębokich oddechów. Nie czas na roztrząsanie osobistych animozji.

– Obawiam się, że możemy skończyć jak załoga Rahaba – powiedziałem.

– Ale na razie nic nam nie jest – rzekł Szenrab. – Proponuję, żebyśmy spokojnie poczekali na powrót wszystkich sond, skończyli badania w terenie i odlecieli stąd zgodnie z planem. Moim zdaniem nie dzieje się nic, co zagrażałoby naszej misji.

Spojrzałem pytająco na Thorssena. Ponuro spoglądał przez iluminator, rozważając to, co powiedział astrofizyk.

– Powrót oznacza straconą szansę – rzekł w końcu. – W wyprawę zainwestowałem wszystkie oszczędności. Jeśli teraz opuścimy planetę, zostaniemy z niczym. Nigdy tu nie wrócimy. Nie zbiorę pieniędzy na następną misję. Ja będę bankrutem, wy nie dostaniecie zapłaty. A niedługo dotrze tutaj ktoś inny i odkryje wszystkie bogactwa tego świata.

– Wątpię, by tu w ogóle były jakieś cenne zasoby – powiedziałem. – Ta planeta jest wyjałowiona.

– Musi tu być coś cennego, skoro Federacja Solarna wysłała tu dwie wyprawy.

– Owszem – warknąłem. – Fenomen błękitnego marudera, który zamierzali zbadać. Obawiam się jednak, że niektórych tajemnic

kosmosu nie powinniśmy odkrywać. Są rzeczy, których nie rozumiemy, i tak powinno zostać.

– Większej bzdury w życiu nie słyszałem. – Szenrab roześmiał się, a ja znowu nabrałem ochoty, żeby spuścić mu porządny łomot. – Człowiek musi się rozwijać, badać i odkrywać. Gdyby wszyscy mieli takie podejście jak ty, ludzkość nigdy nie opuściłaby jaskiń, Krzysztof Kolumb nie odkryłby Ameryki, a nasi dziadowie tunelów czasoprzestrzennych.

Przerwał, przyglądając mi się z dezaprobatą. Nie obchodziło mnie, co sobie o mnie myśli. Zależało mi tylko na tym, żebyśmy opuścili 47 Tucanae i udali się do niewielkiego systemu na obrzeżach Drogi Mlecznej, gdzie znajduje się brama tunelu czasoprzestrzennego, a stamtąd do Małego Obłoku Magellana.

Musiałem jedynie przekonać Thorssena do tego planu. Wiedziałem, że Szenrab mi w tym nie pomoże. On pragnął zbadać fenomen błękitnych maruderów nawet kosztem życia własnego i załogi Selene. Miałem nadzieję, że Gorszkow i Abraham okażą się rozsądniejsi i zdołamy przekonać dowódcę do jak najszybszego odlotu.

Z rozmyślań wyrwał mnie sygnał komunikatora.

– Jestem w ambulatorium – rozległ się głos Abrahama. – Lepiej zaraz tu przyjdźcie.

Spojrzeliliśmy po sobie i ruszyliśmy do wyjścia. W progu obejrzałem się na iluminator. Światło błękitnego marudera znowu było jaśniejsze. Niemal fizycznie czułem, jak próbuje wnikać do mojej jaźni. Zmarszczyłem czoło i szybko podążyłem za Thorssenem i Szenrabem. Idąc korytarzem, zastanawiałem się, co się znowu stało. Zbyt dużo nieszczęść spadło na nas w tym systemie gwiazdnym, a obawiałem się, że to nie koniec. Nie pomyliłem się.

W ambulatorium zastaliśmy Abrahama pochylonego nad leżącym Gorszkowem. Komandor uklęknął i przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej lekarza.

– Nie wyczuwam pulsu – stwierdził. – Nie żyje.

– Jak to możliwe? – wyszeptał poblady Szenrab.

Popatrzyłem na zwłoki. Na szyi Gorszkowa spostrzegłem ślady po duszeniu i kilka zadrapań. Wyglądało na to, że stoczył z kimś walkę. Zerknąłem podejrzliwie na Abrahama.

– Co tu się, kurwa, dzieje?! – krzyknął, widząc mój wzrok.

– Ty nam powiedz – odparłem zimno. – To ty byłeś z nim w ambulatorium.

– Jak przyszedłem, już tak leżał.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Komandor groźnie taksował wzrokiem geologa, który wydawał się zupełnie zdezorientowany. Może dokładnie zaplanował to morderstwo i tylko udawał zaskoczonego? A może faktycznie był niewinny i tylko przypadek sprawił, że odkrył zwłoki? Znowu wszystkie moje podejrzenia okazały się błędne. Jeszcze przed godziną podejrzewałem, że to Gorszkow jest agentem Federacji Solarnej. Teraz musiałem ponownie zweryfikować moje hipotezy. Zarazem krąg moich podejrzanych zawęził się do Szenraba i Abrahama.

– Komandorze, kiedy ostatni raz rozmawiał pan z Gorszkowem?  
– zapytałem.

– Tuż przed waszym przyjściem na mostek.

Zatem mógł to zrobić każdy z nas. Tylko po co ktoś miałby zabić doktora? A może Gorszkow wiedział coś na temat agenta Federacji i ten poczuł się zagrożony? Znowu miałem więcej pytań niż odpowiedzi.

Nagle coś zwróciło moją uwagę.

– Gdzie ciało Bahmana?

Rozejrzeliśmy się po ambulatorium.

– Leżało na stole – rzekł Thorssen. – Może Gorszkow zdążył je schować do chłodni?

Pokonałem pomieszczenie i otworzyłem drzwiczki komory chłodzącej, ale była pusta. Dowódca doskoczył do Abrahama i chwycił go za bluzę uniformu.

– Gdzie ciało?! Mów, co zrobiłeś!

– Puść. – Geolog próbował się uwolnić. – Jestem niewinny. Przysięgam na Boga!

Wydawał się szczery. W jego oczach ujrzałem autentyczny strach. Chyba nie rozumiał, co tu się dzieje.

– Naprawdę sądzi pan, komandorze, że przez tych kilka minut zdążyłbym zabić Gorszkowa i ukryć ciało Bahmana? Zresztą, po co miałbym to robić?

– On ma rację. – Chwyciłem Thorssena za ramię, próbując odciągnąć go od szamoczącego się Abrahama. – To nie mógł być on.

Thorssen nadal był roztrzęsiony. Ciężko przychodziło mi uwierzyć w to, że ten weteran dziesiątek misji, doświadczony astronauta, człowiek, który niejednokrotnie był w niebezpieczeństwie i nigdy nie stracił zimnej krwi, teraz kompletnie się rozsypał. Z drugiej strony trudno było się dziwić. Zamiast badać bogate w złoża planety, rozwiązywał zagadkę fenomenu błękitnego marudera, w tajemniczych okolicznościach ginęli członkowie jego załogi, a wyprawa kończyła się klęską.

– A więc kto to zrobił? – spytał komandor, bezradnie patrząc na mnie.

Odpowiedzią był sygnał alarmowy, który nagle zaczął docierać do każdego zakamarka Selene.

Natychmiast przypadłem do terminalu komputera pokładowego w ambulatorium. Prześledziłem wszystkie dane.

– Śluza jest otwarta – poinformowałem. – Grozi nam rozhermetyzowanie statku.

Wybiegliśmy z ambulatorium. Zewnętrzne drzwi można było zablokować tylko z pomieszczenia sąsiadującego ze śluzą lub z panelu centralnego na mostku. Od śluzy dzieliły nas dwudziestometrowy korytarz, schody na niższy pokład i kolejny korytarz. Szybciej byłoby ruszyć na mostek. Miałem najlepszą kondycję ze wszystkich pozostałych przy życiu członków załogi i pierwszy dopadłem pulpitu sterującego. Cały czas łudziłem się jeszcze, że to fałszywy alarm, ale wystarczył rzut oka na wskaźniki i już wiedziałem, że śluza faktycznie została otwarta. Szybko wbiłem niezbędny kod i drzwi się zamknęły. Mieszkalna część statku była bezpieczna.

Za moimi plecami stanęli zdyszani Thorssen, Szenrab i Abraham.

– Co to było? – spytał poirytowany dowódca.

Spojrzałem na konsolę i pokręciłem głową w niedowierzaniu.

– Wygląda na to, że ktoś ręcznie otworzył śluzę, wyszedł na zewnątrz i nie zamknął za sobą drzwi.

– Kto?

Podnieśliśmy wzrok, by wyrzec przez iluminator, jakbyśmy się spodziewali znaleźć odpowiedź na to pytanie. Ale za szybą rozciągało się jedynie rdzawe pustkowie.

– Wyjdę na zewnątrz sprawdzić, co się dzieje – rzekł komandor.

– Może znajdę jakieś ślady.

– Nie powinien pan wychodzić sam – powiedziałem.

– Racja. – Pokiwał głową. – Wezmę ze sobą Abrahama. A wy dwaj – zwrócił się do mnie i Szenraba – pomożecie nam włożyć bioskafandry. Potem schowacie do chłodni zwłoki Gorszkowa i znajdziecie ciało Bahmana.

– A jeśli to on otworzył śluzę? – zapytał Szenrab.

– Nie bądź śmieszny. – Komandor parsknął śmiechem. – Bahman nie żyje. A trupy same nie chodzą.

Spojrzałem na niego poważnie.

– Ktoś jednak to zrobił.

Milczeliśmy. Nikt nie potrafił znaleźć sensownego wytłumaczenia.

Poszliśmy całą czwórką do śluzy. Tam Szenrab i ja pomogliśmy dowódcy i Abrahamowi włożyć bioskafandry, zamontować plecaki z tlenem i założyć hełmy. Sprawdziliśmy zapas powietrza, szczelność warstw ochronnych, zabezpieczenia i prawidłowość działania wszystkich funkcji. Dopiero wtedy obaj astronauty mogli wyjść na zewnątrz. Na pokładzie Selene nie mieliśmy zbyt wiele broni – zaledwie trzy pistolety laserowe. Dwa zabrali Thorssen i Abraham, trzeci pozostał w zbrojowni na mostku. Postanowiłem, że gdy tylko będzie czas, pójde po niego. Wolałem być uzbrojony.

Komandor i geolog niezgrabnie chwycili pistolety i weszli do śluzy. Zamknęliśmy za nimi wewnętrzne drzwi i obserwowaliśmy ich przez szybę. Oczekali czas potrzebny na skompensowanie różnicy ciśnień i otworzyli zewnętrzne drzwi. Gdy ponownie się zamknęły, zniknęli nam z oczu.

– Komandorze – włączyłem komunikator przy uchu – słyszy mnie pan?

– Głośno i wyraźnie.

– Abraham?

– Tak, słyszę cię.

– To dobrze. – Ucieszyłem się, czasami bowiem komunikację utrudniały tutaj zakłócenia wynikające z dużej liczby aktywnych radiowo gwiazd w centrum gromady kulistej oraz zbliżających się burz piaskowych. – Będziemy cały czas w kontakcie.

– Dobra – odparł dowódca. – Rozdzielimy się z Abrahamem i obejdziemy Selene z dwóch stron.

– Nie powinniście się rozdzielać – rzekłem zaniepokojony.

– Nic nam nie będzie.

Uważałem, że to niebezpieczne, ale to Thorssen był dowódcą i musiałem zaakceptować jego decyzję.

– Widzicie coś? – spytałem po minucie.

– Tak. – W głosie komandora dało się wyczuć irytację. – Pieprzony błękit. Jakby przeze mnie przenikał, wdzierał się we mnie... Okropne uczucie.

Spojrzeliliśmy na siebie z Szenrabem. Obaj odczuwaliśmy ulgę, że nie musieliśmy wyjść na zewnątrz. Światło błękitnego marudera przyprawiało o gęsią skórkę.

– Proszę aktywować filtr w osłonie hełmu – poradziłem. – Może chociaż trochę zmniejszy dyskomfort.

Przez chwilę panowała cisza.

– To nic nie dało – rozległ się zrezygnowany głos Thorssena. – Jestem przed dziobem. Nadal nic nie widzę. A ty, Abraham?

– Też nic.

– Gdzie jesteś? – spytałem Abrahama.

– Przy dyszach – odparł. – Zaraz dotrę do rufy.

– A ja idę w stronę rufy – rzekł komandor. – Spotkamy się z Abrahamem w połowie drogi.

– To dobry pomysł – stwierdziłem.

– Znaleźliście już ciało Bahmana?

Syknąłem cicho. Pochłonięci ekspedowaniem komandora i geologa na zewnątrz całkiem zapomnieliśmy o otrzymanych dyspozycjach. Cały czas staliśmy przy śluzie, a musieliśmy jeszcze schować do chłodni ciało Gorszkowa. Skinąłem Szenrabowi głową i ruszyliśmy do ambulatorium.



– Właśnie jesteśmy w trakcie poszukiwań.

– To dobrze – rozległo się z komunikatora. – Jak go znajdziecie, dajcie mi znać.

– Tak jest!

Szliśmy korytarzem w milczeniu. Dopiero teraz mogłem się spokojnie zastanowić, co się tak naprawdę stało. O ile śmierć Bahmana można było uznać za nieszczęśliwy wypadek, o tyle w przypadku Gorszkowa było to morderstwo. A jeśli nie zrobił tego nikt z naszej czwórki, to musiał to być ktoś z zewnątrz. Przeszedł mnie zimny dreszcz.

Może Gorszkowa zabiło jakieś zwierzę, które dostało się na statek? – myślałem gorączkowo. Z drugiej jednak strony wyglądało to na działanie istoty myślącej. Czyżby zatem na planecie istniała obca, inteligentna forma życia? Czy mamy pierwszy kontakt z pozaziemską cywilizacją? Kontakt, który rozpoczął się od morderstwa?

Moje rozmyślenia przerwał głos z komunikatora.

– Mam coś.

– Komandorze?

– Widzę jakieś ślady odcisnięte w piachu... Zaraz.

Przystanęliśmy zaintrygowani.

– To ślady człowieka!

– Niemożliwe – wyszeptał poblady Szenrab.

Przez głowę przetaczały mi się setki myśli, gdy szukałem racjonalnego wytłumaczenia. Najlogiczniejsze wydawało się to, że na pokładzie Selene ukrył się pasażer na gapę, który dokonał wszystkich morderstw i aktów sabotażu, a potem włożył bioskafander i wyszedł na zewnątrz. Tylko to nie miało sensu. Dokąd miał się udać i po co? Na tej niegościnniej planecie nie mógł liczyć na żadne schronienie.

Bardziej prawdopodobne było, że Bahman przeżył jednak wypadek. Obudził się i w szoku rzucił się na Gorszkowa. Zabił go, a potem, wciąż oszołomiony, opuścił statek. To tłumaczyło ślady ludzkich stóp.

Na potwierdzenie swojej hipotezy nie musiałem długo czekać.

– Bahman, ty żyjesz! – usłyszeliśmy zdumionego komandora. – Gdzie masz skafander? Przecież atmosfera planety jest trująca...

Jak zahipnotyzowani wpatrywaliśmy się z Szenrabem w komunikator, jakby miał nam zaraz wyświetlić rozgrywającą się na zewnątrz scenę.

– Na mostek! – rzuciłem do astrofizyka. Tam mogliśmy włączyć kamery i zobaczyć, co się dzieje. Ruszyliśmy korytarzem.

– Bahman... dziwnie wyglądasz. – Thorssen był zaniepokojony. – Odezwij się do mnie!

Przyspieszyłem kroku. Czułem, że zaraz wydarzy się coś strasznego.

– Stój! – W głosie dowódcy brzmiała panika. – Nie zbliżaj się, bo będę strzelał! Stój, powiedziałem!

Usłyszeliśmy trzy strzały wychwycone przez zewnętrzne mikrofony w hełmie. Nastąpiła pełna napięcia cisza. Trwała zaledwie trzy sekundy, ale mi się wydawało, że całe wieki.

– Nie!

Z komunikatora dobiegł wrzask tak przerażający, że obaj z Szenrabem aż się wzdrygnęliśmy. Zatrzymaliśmy się i nasłuchiwali. Potem rozległy się już tylko odgłosy szarpaniny i przeciągły jęk.

– Komandorze! – krzyknąłem do mikrofonu. – Co tam się dzieje?

Cisza.

– Słyszysz mnie pan, komandorze?

Z komunikatora dobiegał jedynie szum.

– Abraham? – zwróciłem się do drugiego z astronautów, który był na zewnątrz. – Jesteś tam?

Odpowiedziała mi cisza. Jeszcze dobre dziesięć minut próbowałem bezskutecznie wywołać Thorssena i Abrahama. Wreszcie odpuściłem sobie i wyłączyłem komunikator.

– Co robimy? – Szenrab spojrział na mnie przestraszony. – Wyjdziemy na zewnątrz, żeby sprawdzić, co się stało?

Pokręciłem głową. Opuszczenie statku było ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę. Coś tam się czaiło. Jakieś niebezpieczeństwo, któremu nie potrafiliśmy się przeciwstawić. Thorssen miał broń, ale i tak nie zdołał ocalić życia. Na Selene byliśmy bezpieczni. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Jakże się myliłem.

## Rozdział 14

Nie spostrzegliśmy, kiedy się pojawił. Może stał na korytarzu już od dłuższego czasu, obserwując nas i przysłuchując się rozmowie, a może przyszedł dopiero teraz, w każdym razie, gdy go ujrzelśmy, oniemieliśmy na dobrych kilka sekund.

Gorszkow skórę miał białą jak u nieboszczyka, którym w istocie był, a to, że stał przed nami, kołysząc się niczym kukła, zakrawało na jakiś koszmarny żart. Jego twarz stężała w pośmiertnym grymasie, z lekko rozchyłonych ust zaś wydobywało się ciche warczenie. Najbardziej przerażające były jednak oczy wypełnione upiornym błękitem, takim samym jak światło tej przeklętej gwiazdy. Miałem wrażenie, że spogląda na nas z głębin śmierci.

Zrobiłem krok w jego stronę, ale ostrożnie, bo nie byłem pewny, z czym mam do czynienia.

– Gorszkow?

Nie zareagował.

– Poznajesz mnie? – Zbliżyłem się jeszcze o krok. – Powiedz coś.

Nagle ruszył ku mnie, wyciągając ręce niczym szpony. Z jego gardła dobywał się straszliwy, nieludzki charkot i już nie miałem wątpliwości, że to nie jest Gorszkow, lecz jakiś potwór obleczony w jego ciało.

Odskoczyłem. Rozzłoszczony lekarz – czy też to, czym był ten stwór – ryknął wściekle. Obrócił się i ponownie natarł. Tym razem byłem przygotowany i wymierzyłem mu potężny prawy prosty. Nigdy nie uważałem się za mistrza sztuk walki, ale zostałem

odpowiednio wyszkolony i podczas bójek radziłem sobie całkiem dobrze. Dlatego zdziwiłem się, że po czysto zadanym ciosie, który powinien przynajmniej oszołomić przeciwnika, Gorszkow nadal nacierał. Nie wywarło to na nim żadnego wrażenia.

Chwycił mnie za gardło i zaczął dusić. Próbowałem się wyszarpnąć, ale był nadludzko silny. Nieporadnie uderzałem pięściami, lecz był to próżny trud. Brakowało mi powietrza, przed oczami pojawiły się czarne mroczki i zdałem sobie sprawę, że moje chwile są policzone.

Nagle ucisk osłabł. Gdy wróciła ostrość widzenia, ujrzałem, jak Szenrab okłada Gorszkowa żelaznym prętem wyrwanym z instalacji hydraulicznej, która ciągnęła się wzdłuż korytarza. Ale choć w każde uderzenie wkładał całą siłę, stwór ledwie zwrócił na niego uwagę. Puścił mnie jednak i ruszył w stronę astrofizyka.

– Uciekamy! – krzyknąłem. – Na mostek!

Ominiąłem Gorszkowa i jak szalony popędziłem korytarzem. Nie oglądałem się za siebie, ale słyszałem, że ktoś za mną biegnie. Miałem nadzieję, że to Szenrab. Wpadłem na mostek i rzuciłem się do przycisku zamykającego drzwi. Obok mnie stanął zdyszany astrofizyk.

Drzwi zamykały się niemiłosiernie długo. Gdyby istniała taka możliwość, pomógłbym im siłą własnych mięśni. Wszystko było jednak zautomatyzowane i mogłem mieć tylko nadzieję, że Gorszkow nie zdąży. Szedł wolno, koślawo, powłócząc nogami, jakby na nowo uczył się chodzić, lecz cały czas parł do przodu. Nieustępliwie. I kiedy już czułem jego cuchnący oddech, drzwi wreszcie się zatrzasnęły. Wbiłem kod blokujący, żeby nie można ich było otworzyć z zewnątrz, i dopiero wtedy oparłem się o ścianę.

Z ciężkim westchnieniem osunąłem się na podłogę. Szenrab otarł pot z czoła i usiadł przy mnie.

– Co to było?! – spytał.

Pokręciłem głową, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć.

– Jakieś zombie, czy co? – Astrofizyk był roztrzęsiony. – Jak w jakimś starym filmie.

Nagle usłyszeliśmy walenie w drzwi. Dudniące i jednostajne. Szenrab spojrział na mnie przestraszony.

– Nie wejdzie – rzekłem uspokajająco. – To solidne drzwi.

W odpowiedzi uderzenia stały się mocniejsze. Przygryzłem dolną wargę, ponuro spoglądając na pojawiające się wybrzuszenia. Takie same widziałem na mostku Rahaba. Teraz już byłem pewny, co spotkało załogę okrętu.

Szenrab klepnął mnie w ramię i wskazał iluminator. Zmrużyłem oczy, próbując dostrzec coś w oślepiającym błękitcie, i zobaczyłem leżącego na ziemi Thorssena. Nie ruszał się. Skafander miał w strzępach, pęknięty hełm, głowę skreconą pod dziwnym kątem. Nie ulegało wątpliwości, że nie żyje. Zakląłem cicho.

Nagle przypomniałem sobie o Abrahamie. Zastanawiałem się, co się z nim mogło stać. Wstałem i podszedłem do panelu sterującego. Uruchomiłem kamery na kadłubie Selene. Niestety, nigdzie nie dojrzałem geologa ani jego zwłok. Możliwe, że leżał martwy tam, gdzie kamery nie sięgały. Pokręciłem zrezygnowany głową i ponownie osunąłem się po ścianie.

Siedzieliśmy dłuższy czas w milczeniu. Ciszę rozrywało jednostajne uderzanie o drzwi. Zdawałem sobie sprawę, że prędzej czy później potwór wedrze się do środka, a my nie mamy mu rady. Właśnie zastanawiałem się, co robić, gdy Szenrab nagle krzyknął:

– Patrz!

Podążyłem za jego wzrokiem i ujrzałem Thorssena zbierającego się z ziemi. Robił to powoli, jakby się budził z głębokiego snu.

Patrzył z ciekawością dziecka i wyglądał tak niewinnie, lecz złamany kręgosłup sprawiał, że głowa upiornie zwisała mu w bok. Gdyby nie groza sytuacji, roześmiałbym się za sprawą tego groteskowego widoku. Komandor chwiejnie stanął, postąpił ostrożnie krok do przodu i powłócząc nogami, ruszył w stronę statku.

– To niemożliwe – wyszeptałem.

Trup zbliżył się do iluminatora i wówczas mogliśmy zobaczyć jego oblicze. Twarz nie była blada jak u Gorszkowa, ale zupełnie sina, jakby odpłynęła z niej cała krew, skóra popękała w wyniku oddziaływania zabójczej atmosfery planety, a pozbawione tęczy oczu lśniły błękitem. Musiał nas zauważyć, bo zaczął walić pięścią o pancerną szybę. Nie mógł nawet jej zarysować, ale upiorność tej sceny przyspieszyła bicie mojego serca. Cały czas rozlegały się głuche uderzenia o drzwi mostka. Nagle nasiliły się. Już dwie istoty biły w drzwi, co oznaczało, że trup Bahmana dołączył do Gorszkowa i teraz razem próbowały sforsować przeszkodę.

– Co robimy? – spytał przerażony Szenrab.

Myślałem gorączkowo. Znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Nie mogliśmy opuścić mostka, bo na korytarzu czekały na nas żywe trupy. Nawet gdyby udało się nam przebić, to co dalej? Wydawało się, że tych potworów nic nie jest w stanie zniszczyć. Nie mieliśmy na pokładzie miotaczy ognia, którymi dysponowali komandosi z Rahaba, likwidując naukowców na powierzchni planety. Teraz już wiedziałem, dlaczego użyli tak drastycznych środków.

Mogliśmy co prawda włożyć skafandry i uciec ze statku, jednak na planecie pożylibyśmy tylko tak długo, na jak długo starczyłoby nam tlenu. A woda? Pożywienie?

– Dlaczego oni żyją? – spytał Szenrab. – Jak to możliwe?

– Nie wiem.

– Przecież jesteś biologiem! – warknął. – Przynajmniej tak twierdzisz.

Spojrzałem podejrzliwie na astrofizyka, ale zaraz przeniosłem wzrok na drzwi, do których dobijali się Gorszkow i Bahman, potem zaś na szybę iluminatora, w którą raz za razem uderzał Thorssen.

– Teraz chcesz o tym rozmawiać?

Szenrab potrząsnął głową.

– Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby wyjść z tego cało – rzekłem.

– Najpierw musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

– Więc myśl. I to szybko.

Szenrab przymknął powieki, przyłożył palce do skroni i zaczął je intensywnie masować. Myślał dobrą minutę, a tymczasem wybrzuszenia drzwi stawały się coraz większe. Z niepokojem obserwowałem, jak zaczyna w nich powstawać szpara, i wiedziałem, że niedługo zostaną wyważone.

– Nie ulega wątpliwości, że Bahman, Gorszkow i Thorssen zginęli, a później zostali przywróceni do życia – oznajmił w końcu astrofizyk.

– Powiedz mi coś, o czym nie wiem, geniuszu – odparłem z ironią.

– Nie są jednak sobą. – Szenrab zignorował mój sarkazm. – Utracili własną tożsamość, może nawet pamięć. Zastanawiam się, czy mają świadomość, czy zdają sobie sprawę z własnych procesów myślowych.

– A jakie to ma znaczenie?

– Chcesz się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia, czy nie? – zirytował się astrofizyk. – Musimy zrozumieć, co ich pcha do działania. Ich determinantę. Może to tylko instynkt, imperatyw, który każe im zabijać.

– Dlaczego?



– Mogę jedynie przypuszczać...

– Mów!

Szenrab ze strachem spojrział na drzwi, wziął głęboki oddech i zaczął szybko mówić:

– Strumień świadomości to ciąg uświadamianych stanów i aktywów przynależnych do pewnego „ja”. To zdolność do rozpoznawania własnych procesów myślowych oraz zjawisk zachodzących w środowisku zewnętrznym i reagowania na nie. Rozmawiałem o tym z... Katją, gdy jeszcze żyła. Neuronaukowcy badający to zagadnienie mówią o neuronalnych korelatach świadomości...

– Szenrab! – krzyknąłem. – Do rzeczy. Nie mamy czasu.

– Gdy przestają funkcjonować ciało i mózg, mówimy o śmierci, prawda?

W odpowiedzi skinąłem głową.

– Jednak tak naprawdę nie wiemy, co dzieje się z naszą świadomością. Istnieje teoria, że jest ona sprzężona kwantowo z jakąś potężną jaźnią gdzieś we wszechświecie lub poza nim.

– Bóg?

– Tak bym tego nie nazwał. – Szenrab skrzywił się. – Bóg według wierzących jest osobowy. A to jest coś w rodzaju Jedni, zespolonego tworu wszelkich świadomości. Według tej teorii po śmierci człowieka jego świadomość nadal istnieje, ale na innym poziomie.

– Rozumiem. – Zmarszczyłem czoło. – Ale jak to się stało, że w przypadku Bahmana, Gorszkowa i Thorssena powróciła i ich uaktywniła?

Astrofizyk wzruszył ramionami.

– Pierwszy raz mamy z czymś takim do czynienia.

– Jakby przeszmugłowano ich dusze.

– Dobre porównanie.

Milczeliśmy chwilę, wpatrując się w szczelinę w drzwiach, która powiększała się z minuty na minutę.

– Tylko jeśli świadomość wróciła do nich, dlaczego nie pozostali sobą? – spytałem. – Czemu zmienili się w jakieś zombie?

– Świadomości nie można utożsamiać z samoświadomością, dzięki której podmiot zdaje sobie sprawę z własnej tożsamości. Świadomość jest jak światło, które rozjaśnia mrok. Może mieć jednak różne stopnie intensywności i wyrazistości...

– Tak jak rozbłyśki gwiazdowe?

Szenrab pokiwał głową. Nagle zerwał się na równe nogi i chwycił za głowę.

– Wiem! – krzyknął. – Jak mogłem wcześniej tego nie dostrzec? Analogia jest oczywista. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie te zjawiska mają coś wspólnego z oddziaływaniem błękitnego marudera.

– Co ty powiesz? – Uśmiechnąłem się kącikami ust.

– Gwiazdy kanibale wchłaniają inne gwiazdy, żeby zdobyć ich energię. O to właśnie chodzi. O zespolenie świadomości!

– Masz na myśli, że te... te... zombie zabijają nas, aby osiąść naszą świadomość?

– Działają wspólnie niczym jeden umysł. Każda pochłonięta przez nie świadomość wzmacnia je. Musi tu zachodzić jakaś korelacja z błękitnymi maruderami.

– Co robimy?

– Nie mam pojęcia. – Szenrab spojrział na mnie, a potem na drzwi oddzielające nas od byłych towarzyszy, którzy teraz, zamienieni w monstra, usiłowali nas zgładzić. – Wynośmy się stąd – rzekł. – Jak najdalej od tego błękitnego marudera. Może jak będziemy poza zasięgiem jego rozbłyśków, to ten fenomen minie.

Korzystając z panelu kontrolnego, rozpoczęliśmy procedurę startową. Ze względu na bliskość gwiazdy i jej dużą masę nie mogliśmy uruchomić tunelu czasoprzestrzennego. Mogło to spowodować przeciążenie egzotycznej materii i stworzenie kolapsu, który zgniótłby statek. A poza tym procedura wprowadzenia odpowiednich danych zajęłaby zbyt wiele czasu. Nie mogliśmy czekać.

Reaktor uzyskał odpowiednią moc w ciągu pięciu minut. W tym czasie z niepokojem spoglądaliśmy na drzwi, które lada chwila mogły ustąpić. Przez powstającą szparę można już było dostrzec oprawców. Do Bahmana i Gorszkowa przyłączył się Thorssen. Musiał powrócić na statek, gdy tylko usłyszał rozgrzewanie silników.

– Minuta do startu – rzekłem, spoglądając na panel.

Usiedliśmy w fotelach i przypięliśmy się pasami.

– Co zrobimy, jak to nie zadziała? – spytałem.

– Nie mam pojęcia – odparł astrofizyk.

Ryknęły silniki Selene i statek wystrzelił w górę, przebijając się przez atmosferę planety. Przez iluminator oglądałem, jak upiorny błękit ustępuje błogosławionej czerni kosmosu.

Przyspieszaliśmy.

Błękitny maruder pozostał daleko w tyle. Z zawrotną prędkością minęliśmy drugą z planet systemu i nagle zorientowałem się, że uderzenia w drzwi umilkły. Do moich uszu dobiegało jedynie ciche buczenie silników. Czyżby Szenrab miał rację?

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Udało się?

– Na to wygląda. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu, wstał z fotela i zbliżył się do drzwi. Sięgnął do otwierającego je przycisku.

– Co robisz?! – wrzasnąłem.

– Przecież nie możemy tutaj siedzieć cały czas – odparł. – Prędzej czy później i tak trzeba będzie wyjść po wodę i żywność.

– A jeśli się pomyliłeś?

– Wątpię. – Szenrab wyglądał na pewnego siebie. Nie przypominał już tego roztrzepanego naukowca. – Założę się, że te stwory leżą teraz martwe.

– One są martwe.

– Racja. – Uśmiechnął się szeroko. – Chciałem powiedzieć: pozbawione świadomości.

Nim zdążyłem zareagować, nacisnął przycisk i drzwi, mocno już zdeformowane, rozsunęły się z nieznośnym zgrzytem. Zamarłem. Spodziewałem się, że z mroku korytarza wyłonią się zaraz groteskowe sylwetki naszych byłych towarzyszy, wyciągną posiniąle ręce w kierunku Szenraba, pochwycą go i zabiją. Ale nic takiego nie nastąpiło.

– Nie ma ich – rzekł skonsternowany astrofizyk.

Odpiąłem pasy, wstałem z fotela i dołączyłem do niego. Korytarz rzeczywiście był pusty.

– Gdzie oni się podziali? – Głos zniżyłem do szeptu, jakby w obawie, że mogą nas usłyszeć.

– Pewnie leżą gdzieś dalej. Gdyby byli świadomi, nadal staliby pod drzwiami.

Argumentacja wydawała się logiczna, ale ja niemalże czułem czające się gdzieś niebezpieczeństwo. I chociaż teraz błękitny maruder za iluminatorem był zaledwie wielkości piłki tenisowej, nadal odczuwałem jego przerażającą obecność. Wydawało mi się, że musimy opuścić gromadę kulistą 47 Tucanae, żeby pozostała tylko mglistym wspomnieniem, do którego nigdy więcej nie będę musiał wracać.

– Spadajmy stąd – rzekłem.

Podszedłem do panelu kontrolnego, żeby uruchomić pierścień indukujący i wbić koordynaty miejsca docelowego, które miałem w głowie.

– Natychmiast odejdz od panelu! – rozległ się za mną zimny głos Szenraba.

Zatrzymałem rękę sięgającą do klawiatury i powoli się odwróciłem. Astrofizyk trzymał wycelowany we mnie pistolet laserowy. Zakląłem w duchu. Zupełnie zapomniałem o broni pozostawionej w sejfie.

– A więc to ty – stwierdziłem ponuro.

– Nie spodziewałeś się, co? – Uśmiechnął się nieznacznie. – Okazałem się sprytniejszy od ciebie.

W duchu musiałem przyznać mu rację. Spojrzałem na broń, którą trzymał. Wiedziałem, że zaraz do mnie strzeli, a potem wprowadzi koordynaty Układu Słonecznego i odleci na Ziemię.

– To prawda. – Westchnąłem ciężko. – I co teraz?

– Przecież wiesz.

– Zabijesz mnie?

– Nie mam wyjścia – odparł i dokładniej wycelował. – Wiem, kim jesteś.

Uniosłem lekko brew.

– Doprawdy?

– Prawdę mówiąc, wiedziałem od początku.

– Jak na to wpadłeś?

Próbowałem zyskać trochę czasu. Liczyłem na zwykłą ludzką pychę, która każe Szenrabowi napawać się sukcesem.

– Wielki finał, co? – Roześmiał się. – A może liczysz na to, że uśpisz moją czujność i mnie obezwładnisz?

Cóż, miał rację.

– To nie będzie proste – rzekł. – Ukończyłem szkolenie w tajnej bazie sił specjalnych na Hefajstosie. Podobnie jak ty.

– I jak Vargas?

– Zgadza się.

– Zabiłeś go, bo cię rozpoznał?

Szenrab skinął głową. Podeszedł do panelu kontrolnego i wbił na klawiaturze koordynaty Układu Słonecznego. Następnie uruchomił pierścień indukujący, który miał coraz szybciej wirować i po kwadransie wytworzyć tunel czasoprzestrzenny na tyle duży, by Selene zdołała się przez niego przecisnąć.

– Odbywaliśmy szkolenie mniej więcej w tym samym czasie – powiedział astrofizyk, ponownie kierując na mnie uwagę. – Przebywało tam blisko trzy tysiące osób, a mimo to Vargas mnie zapamiętał. Na początku nie był pewien, skąd mnie zna, bo od pobytu na Hefajstosie minęło dobrych kilka lat. Uświadomił to sobie tuż przed startem. Cóż, jego pech polegał na tym, że miał lepszą pamięć niż ja.

– Jak dokonałeś morderstwa?

– Nanoroboty.

– Tak podejrzewałem.

Mrugnął do mnie.

– Federacja Solarna nieźle wyposaża swoich agentów, co?

– Zniszczyłeś również świecę tlenową, gdy Thorssen postanowił polecieć do innego systemu. Do tego upozorowałeś własny wypadek, żeby odsunąć od siebie podejrzenia. Sprytne.

Astrofizyk uśmiechnął się.

– Ale dlaczego zabiłeś Bahmana?

– Nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią – odparł, marszcząc czoło. – To musiał być wypadek. Zależało mi na tym, aby odtworzył zapis z pamięci androida. Zabiłbym go później.

Skrzywiłem się.

– To musi być ważna operacja, skoro podejmowane są tak drastyczne środki – rzekłem, próbując odwlec to, co nieuniknione. Wiedziałem, że gdy Szenrab przestanie mówić, strzał z pistoletu laserowego zakończy moje życie.

– Nawet nie wiesz, jak ważna – powiedział. – Zdajesz sobie sprawę, z czym mamy tutaj do czynienia?

– Nie – przyznałem. – Powiesz mi?

– Czemu nie? – Szenrab wzruszył ramionami. – Teraz już nigdzie mi się nie spieszy.

Przysiadł na panelu kontrolnym, ale nawet na chwilę nie spuszczał mnie z oka. Wiedziałem, że zginę, jeśli wykonam najmniejszy choćby ruch. Musiałem cierpliwie czekać.

– Od blisko dziesięciu lat gromada kulista 47 Tucanae jest w centrum zainteresowania Federacji Solarnej. W tym czasie wysłano piętnaście misji badawczych. Wszystkie miały zbadać fenomen błękitnych maruderów. Żadna nie powróciła.

– I wówczas wysłaliście okręt?

– Tak – odparł astrofizyk. – I to nie byle jaki. Rahab to najpotężniejszy okręt, jaki kiedykolwiek został stworzony.

– I sądziliście, że sobie poradzi?

– Owszem.

– Federacji Solarnej musi bardzo zależeć na rozwiązaniu zagadki błękitnych maruderów, skoro zdecydowała się zaryzykować taką jednostkę.

– Dziwisz się? – Szenrab uniósł lekko brew. – Tajemnica wiecznej młodości jest warta każdej ceny. Zdobywając wiedzę na temat tego zjawiska, zdołalibyśmy je ujarzmić, a wtedy byłibyśmy niczym bogowie. Rasa ludzka byłaby wieczna, ciągle młoda i przemijanie przestałoby mieć znaczenie.

– To szaleństwo.

– Tak samo mówiono o tunelach czasoprzestrzennych.

Zamilkłem i spojrzałem przez iluminator na tunel powstający przed dziobem statku. Kosmiczna czerń zaczynała już powoli bulgotać i pulsować, zakrzywiając przestrzeń. Miałem coraz mniej czasu.

– Nie pomyśleliście, że macie do czynienia z czymś, co przekracza ludzkie pojmowanie?

– Nie ma czegoś takiego. – Szenrab roześmiał się. – Człowiek ujarzmi wszystko i podporządkuje sobie każdy aspekt otaczającego go świata, dostosowując do własnych potrzeb. Jesteśmy niczym szarańcza wpuszczona na pole wszechświata.

– A gdy wkurzy się gospodarz tego pola?

– Co masz na myśli?

– Błękitny maruder zachowuje się tak, jakby miał samoświadomość. Może to po prostu inteligentna forma życia, której nie potrafimy zrozumieć?

– Jeśli jest tak, jak mówisz, to tym bardziej musimy poznać naturę tego fenomenu, żeby móc go pokonać.

– A może, zamiast walczyć, lepiej koegzystować i nie wchodzić sobie w drogę?

Astrofizyk skrzywił się.

– Wiesz, że to niemożliwe. Prędzej czy później i tak dojdzie do konfliktu interesów.

Nic na to nie odpowiedziałem. Federacja Solarna nie zwykła z nikim negocjować. Zadufani w sobie decydenci uważali, że cały wszechświat należy do nich. I chociaż od początku swojego istnienia ludzkość nie zdołała zbadać nawet ułamka kosmosu, i tak będzie zazdrośnie strzegła tego, czego nigdy nie posiadzie. Na zasadzie psa ogrodnika, który sam nie weźmie, ale nikomu innemu



nie da. Federalni nie chcieli nawet dzielić się dobrami wszechświata z separatystami, tym bardziej więc nie będą chcieli robić tego z obcą rasą.

– Dlaczego nie wysłaliście do 47 Tucanae kolejnego okrętu lub całej floty? – zmieniłem temat. – Dlaczego wykorzystaliście nas?

– Nie było sensu ryzykować sprzętu i ludzi. Zamierzaliśmy zdobyć jak najwięcej informacji i powrócić z nimi na Ziemię. Mój przełożony, pułkownik Kristiansen, którego miałeś okazję poznać, zdecydował, że najlepiej sprawdzi się jednostka zwiadowcza z doświadczoną załogą. – Przełożył broń do drugiej dłoni i kontynuował monolog. – Postawiliśmy na nogi wszystkie komórki wywiadu i dowiedzieliśmy się, że niejaki komandor Thorssen, który niedawno kupił nowy statek o nazwie Selene, interesuje się wyprawą do 47 Tucanae.

– Rozważał również inne punkty docelowe – wtrąciłem. – Mgławicę Omega, Gliese 229B...

– Daj spokój! – parsknął Szenrab. – Obaj doskonale wiemy, jak było. Postarałeś się, aby wybrał gromadę kulistą 47 Tucanae.

– Ty również.

– To prawda. – Astrofizyk uśmiechnął się.

O ile jednak ja robiłem to w sposób subtelny, o tyle Szenrab namawiał komandora do tego nachalnie. Teraz wiem dlaczego. Włączył się do naszej grupy ze z góry określonym celem.

– Zatem poleciałeś z nami, żeby zebrać informacje? – spytałem. – Naprawdę jesteś astrofizykiem?

– I wyszkolonym oficerem wywiadu wojskowego – odparł z dumą. – Najlepiej nadawałem się do tej misji.

Skrzywiłem ironicznie usta.

– Obawiam się, że nie ty jeden.

– Masz na myśli Katję? To tylko przykrywka. Ustaliliśmy z Kristiansenem, że zostanie wprowadzona na pokład Selene, zanim statek opuści Układ Słoneczny. Atrakcyjna pani naukowiec zajmująca się kognitywistyką miała skupiać na sobie waszą uwagę, nie tylko ze względu na urodę. To właśnie ją mieliście podejrzewać. A ja miałem robić swoje.

Zmrużyłem oczy, uważnie przyglądając się Szenrabowi. Wydawał się nieco zbity z tropu. Nagle mnie olśniło.

– Ty nie wiedziałeś!

– O czym?

– Że Katja jest androidem – odparłem. – Nie miałeś pojęcia o jej zadaniu. To ona miała dotrzeć do androida na Rahabie, zabezpieczyć jego pamięć i wrócić z informacjami na Ziemię. – Roześmiałem się. – Szenrab, to ty byłeś jej przykrywką. Robiłeś za przynętę. Jesteś tylko nic nieznaczącym trybikiem w federacyjnej maszynie.

– Dość tego! – warknął astrofizyk i mocniej ujął broń. – Twój czas się...

Zanim zdążył skończyć zdanie, rzuciłem się na niego. Wcześniej celowo próbowałem go zdenerwować, żeby stracił czujność. Ale miałem do czynienia z dobrze wyszkolonym żołnierzem i Szenrab błyskawicznie uskoczył w bok. Zyskałem tylko tyle, że stracił równowagę i pierwszy strzał chybił. Natychmiast wyprowadziłem kopnięcie i zdołałem wybić mu pistolet z dłoni. Przeleciał kilka metrów w powietrzu i upadł pod ścianą.

Zadałem cios pięścią, ale trafił na blok. Kopnąłem astrofizyka w kolano, lecz zdołał odsunąć nogę.

Rozgorzała prawdziwa walka. Wyprowadzałem kombinacje ciosów, żeby zaraz bronić się przed uderzeniami Szenraba. W pewnym momencie udało mi się chwycić go za bluzę uniformu

i rzucić na podłogę. Sprytnie jednak pociągnął mnie za sobą i teraz walczyliśmy w parterze. Okładaliśmy się pięściami, próbowaliśmy założyć sobie dźwignię lub wetknąć palce w oczy. Żaden z nas nie zamierzał się poddać.

Astrofizyk krzyknął rozdzierająco, kiedy założyłem mu dźwignię na łokieć. Nie dbałem o to, że złamię mu rękę. Walczyliśmy przecież o życie. Miał jednak tyle siły i determinacji, że zdołał wyprowadzić mocny cios, który trafił mnie w łuk brwiowy. Poczulem spływającą krew. Zamroczyło mnie. To wystarczyło, żeby Szenrab wyrwał się i rzucił w stronę leżącego na podłodze pistoletu. Nim zdążyłem się zorientować, znowu we mnie celował.

Przymknąłem powieki pogodzony z losem. Wiedziałem, że to moje ostatnie chwile. Usłyszałem wizg charakterystyczny dla broni laserowej. Ale ku swojemu zdziwieniu nadal żyłem.

Powoli rozwarłem powieki i ujrzałem leżącego Szenraba. W jego brzuchu ziała olbrzymia dziura.

– W ostatniej chwili, co? – Usłyszałem śmiech. – Jak w tandetnym kryminale.

Obejrzałem się. W progu stał Abraham. Ubrany w bioskafander, już bez hełmu na głowie, niezgrabnie trzymał pistolet laserowy.

– Myślałem, że zginąłeś – powiedziałem.

Uśmiechnął się krzywo i schował broń.

– Żyję – odparł. – I wierzę, że tak pozostanie.

– Jak ci się udało?

– Gdy usłyszałem, co się dzieje z Thorssenem, zaraz tam pobiegłem. Zobaczyłem, jak Bahman morduje komandora. Zrobił to gołymi rękoma. Wyobrażasz sobie? – Geolog opuścił głowę i powiedział cicho: – Nie pospieszyłem mu z pomocą. Uciekłem. Stchórzyłem. Ale sam je widziałeś. To nienormalne...

– Rozumiem – rzekłem, wstając z podłogi. Oparłem się o pulpit sterowniczy. Ciężko oddychałem po wyczerpującej walce.

– Potem wszedłem za nimi do statku – kontynuował Abraham. – Widziałem, że idą na mostek, więc ukryłem się w magazynie. Wylazłem dopiero, gdy Selene wystartowała. Przyszedłem prosto tutaj. Zatrzymałem się jednak na korytarzu, gdy usłyszałem waszą rozmowę. Nasłuchiwałem chwilę, aż wreszcie postanowiłem interweniować.

– Dzięki.

– Kto by przypuszczał, że Szenrab okaże się agentem – rzekł Abraham, spoglądając na ciało astrofizyka. – I mordercą.

– Widziałeś gdzieś te... potwory?

– Nie.

Zakląłem cicho. Nasi martwi towarzysze musieli gdzieś być. Miałem tylko nadzieję, że teraz są naprawdę martwi.

– Wynośmy się stąd – powiedział Abraham, patrząc na mnie wymownie.

– Wiesz, że nie możemy wrócić na Ziemię?

– Wiem – odparł geolog. – I tak nic mnie tam nie trzyma.

Pokiwałem głową. Usiadłem w fotelu i na panelu sterującym wbiłem nowe koordynaty. Tworzący się tunel czasoprzestrzenny zbulgotał i zaczął zmieniać właściwości. Kosmiczna czerń wypiętrzała się i zagłębiała. Zafascynowani obserwowaliśmy, jak trójwymiarowa przestrzeń przekształca się w coś trudnego do ogarnięcia przez ludzkie zmysły.

Gdy tunel się ustabilizował, włączyłem silniki manewrowe Selene i wprowadziłem do niego statek. Jak zawsze po wejściu do korytarza czasoprzestrzennego poczułem nieprzyjemne mrowienie, ale tym razem szybko ono minęło. Pędziliśmy przez tunel, a za iluminatorem migotały niebieskie smugi.

– Jak długo potrwa podróż? – zapytał Abraham.

Spojrzałem na zegar.

– Sześćdziesiąt trzy godziny.

Geolog gwizdnął zdziwiony.

– Daleko.

Pokiwiałem głową.

– Powiesz mi teraz, kim jesteś i dokąd lecimy?

– Pewnie – odparłem i wygodnie rozsiadłem się w fotelu. Ulżyło mi, że opuściliśmy wreszcie tę przeklętą gromadę kulistą. Ale przede wszystkim cieszyłem się z tego, że żyję.

Już otwierałem usta, żeby wyjawić Abrahamowi swoją prawdziwą tożsamość, gdy spostrzegłem ruch za jego plecami. Nie zdążyłem krzyknąć. Padł uderzony przez Szenraba. W pierwszej chwili pomyślałem, że astrofizyk przeżył postrzał z pistoletu laserowego, ale gdy spojrzałem w jego puste oczy, wiedziałem, że się mylę. Ten koszmar miał się nigdy nie skończyć.

Z krzykiem rzuciłem się na trupa Szenraba, ale on machnął od niechcienia ręką, a ja wylądowałem pod ścianą. Gdy zogniskowałem wzrok, ujrzałem pozostałych. Wyłonili się z mroku korytarza. Cicho niczym zjawy. Weszli do pomieszczenia i pochylili się nad Abrahamem. Zaczęli go okładać pięściami, dusić, wbili się w niego paznokciami i zębami. Nie minęła minuta, a geolog leżał na podłodze zmasakrowany. Nie mogłem mu w żaden sposób pomóc.

Gdy stwór, który niedawno jeszcze był Thorssenem, podniósł głowę i spojrzał na mnie upiornym błękitnym wzrokiem, zrozumiałem, że to koniec. Nie było już nadziei, bo chociaż Selene zostawiła daleko w tyle gromadę kulistą 47 Tucanae i blask błękitnego marudera, to, co tam spotkaliśmy, zabraliśmy ze sobą.

Nie miałem żadnych szans. Prędzej czy później te potwory mnie dopadną, wyważą każde drzwi. Nie sposób się przed nimi ukryć.

Wiedziałem, co muszę zrobić. To było jedyne wyjście.

Wyskoczyłem na korytarz i popędziłem do maszynowni. Drżącymi palcami wystukałem kod otwierający drzwi. Za sobą czułem już cuchnące oddechy prześladowców. Wpadłem do środka i pobiegłem wprost do anihilatora materii. Stałem przed urządzeniem niepewny, wahając się jeszcze.

Życie jest czymś niezwykłym, niepowtarzalnym, darem, który należy szanować. To, co miałem zrobić, nie mieściło się w moich kategoriach moralnych. Poza tym czułem paraliżujący strach. O wiele większy niż wtedy, gdy stałem twarzą w twarz z mordercą celującym do mnie z pistoletu laserowego. Wówczas nic nie zależało ode mnie. Ale to? Zrobić to z własnej woli?

Już miałem się wycofać, poszukać innego rozwiązania, złapać się jakiejś choćby iluzorycznej nadziei, gdy ich zobaczyłem.

Powoli szli w moją stronę. Śmiałkowie, którzy ruszyli na podbój kosmosu, moi towarzysze podróży. Żaden z nich nie bał się śmierci, każdy zwiadowca liczył się z tym, że może stracić życie. Lecz nie przypuszczali, że powrócą do swoich ciał i będą się snuć niczym zombie, pozbawione własnej woli kukły kierowane jakimś niezrozumiałym imperatywem.

Nie chciałem skończyć tak jak oni.

Nagle ujrzałem Abrahama. Ze zmasakrowaną twarzą, z zakrzepłą krwią na policzkach i z naderwanym uchem szedł za pozostałymi. Spojrzałem w jego oczy, ale nie znalazłem w nich ani śladu emocji, inteligencji czy zrozumienia.

Przeniosłem wzrok na wirujący laser wewnątrz anihilatora materii. Nie będę taki jak oni. Moje ciało rozpadnie się na atomy. Nie powrócę jako bezwolna kukła.

Postąpiłem w otchłań niebytu.

## Rozdział 15

Światło. To pierwsze, co zobaczyłem. A raczej poczułem, bo nie miałem powłoki cielesnej. Moje zmysły pozbawione zostały fizycznego aspektu i wrażenia odbierałem poprzez jakieś nieznane mi bodźce. W każdym razie światło było białe, ciepłe i czyste, jakże inne od zimnego błękitu, z którym w ostatnim czasie przyszło mi obcować. Wydawało mi się oazą spokoju, ukojeniem i obietnicą kresu bolesnej egzystencji. Wszelkie problemy miały zniknąć raz na zawsze.

Przyzywało mnie. Podążyłem w jego stronę, rozplywając się w szczęściu przenikającym każdą cząstkę mojego jestestwa. Nic już nie miało znaczenia. Wszystkie troski, jak i pragnienia zostawiłem za sobą. Z każdą chwilą odczuwałem coraz większą radość. Zespałałem się z wszechświatem.

Sięgałem galaktyk, będąc jednocześnie nimi, podziwiałem supernowe, eksplodując wraz z gwiazdami, dotykałem krańców kosmosu, choć znajdowałem się na jego początku. Wsłuchiwałem się w szept mgławic, urokliwy śpiew pulsarów, pędziłem wraz z kometami w międzygwiazdnej przestrzeni, lśniłem w konstelacjach niebieskich i spalałem się w kwazarach.

Zanurzałem się w czarnych dziurach, spoglądając poza horyzont zdarzeń. Ujrzałem zarówno rzeczy przeszłe, jak i przyszłe. Wydarzenia kłębiły się splątane w kwantowych zależnościach, czasami przypominając wstęgę Möbiusa, tworząc w ten sposób zamknięty układ, z którego nie sposób było się wydostać.

Podróżowałem w strumieniach czasowych. To, co było, to, co jest, i to, co będzie, zlewało się w jedno. Ale to i tak nie miało znaczenia, bo wszystko miało swój początek i koniec we mnie...

Pieściłem oliwkowe ciało Laury. Delikatnie muskałem palcami jej ramiona, brzuch, biodra. Zachwyciałem się jej smukłą sylwetką, doskonałymi piersiami i rysami twarzy, które choć niepoddane formowaniu plastycznemu, stanowiły dla mnie najpiękniejsze dzieło wszechświata. Spoglądałem w miodowe oczy, odgarniałem jasne kosmyki włosów opadających na czoło i upajałem się jej bliskością. Tak rzadko widywałem żonę.

Kilkutygodniowe rozłąki, podczas których nawet nie mogliśmy wymieniać wiadomości, były dla nas torturą. Gdybym pracował jako oficer na cywilnych frachtowcach lub statkach pasażerskich, byłoby inaczej. Ich kursy trwały najwyżej kilka dni i odbywały się na ściśle wytyczonych trasach. Można było sobie zaplanować życie. Niestety moja służba na to nie pozwalała.

Laura uśmiechnęła się i przyciągnęła mnie do siebie. Zanurzyłem się w jej włosach, utonałem w jej zapachu. Nic innego nie miało znaczenia. Moje nowe rozkazy, narastające konflikty, świat na krawędzi wojny domowej. Nic. Liczyła się tylko ona.

Nasze usta połączyły się. Trwaliśmy tak dłuższą chwilę zachwyceni bliskością i doznaniem płynącymi z czułości, jaką sobie dawaliśmy. Pozwoliliśmy zmysłom spleść się w miłosnym wyczekiwaniu. Podniecenie cały czas w nas rosło. Wreszcie pocałunki stały się bardziej namiętne, niecierpliwe i gwałtowne. Oderwałem się od jej warg i przesuwając usta po jej skórze, docierając do każdego miejsca. Znałem na pamięć każdą jej reakcję, każde westchnienie, każdy gest zwiastujący nadchodzącą rozkosz. I pomimo tego wciąż zachwyciałem się nią na nowo.

Moja najdroższa Laura.



Poddawała się pieszczotom wypełniona emocjami, otulona w miłość. Poczulem jej podniecenie i wilgoć. Wszedłem w nią i zacząłem wolno poruszać biodrami. Nie pragnąłem szybkiego spełnienia – chciałem chłonać doznania wszystkimi zmysłami. Podniecenie narastało. Teraz już wchodziłem w nią coraz mocniej i szybciej. Wydawało mi się, że każda cząstka mojego ciała drży, neurony w mózgu eksplodują w nieustannej ekstazie, a zmysły szaleją. Nigdy jeszcze tak intensywnie nie odczuwałem. Ale nie zastanawiałem się nad tym. Pragnąłem, aby ta chwila trwała wiecznie.

Laura zarzuciła mi nogi na biodra i zaczęła nadawać tempo. Radość sprawiał mi widok jej lekko rozwartych ust i półprzymkniętych powiek, pod którymi zdawały się eksplodować gwiazdy. Urywane okrzyki, ciężkie westchnienia rozkoszy i spazmatyczne oddechy. Cieszyło mnie dawanie rozkoszy i jej doznawanie.

Nagle Laura zwiększyła tempo i po chwili było po wszystkim. Wyprężyła się jak struna, a z jej gardła dobiegł przeciągły jęk. Doszedłem chwilę po niej. Rozkosz wybuchła w umyśle, rozlała się po całym ciele, a może całym wszechświecie, bo w tym momencie nie sposób było ich oddzielić. Wypełniłem ją. Wypełniłem swoją miłością i żalem, którego nie potrafiłem zdefiniować.

Przywarłem do jej nagiego ciała. Laura wtuliła się w moje ramiona. Tak mocno, całą sobą, jak tylko ona potrafiła. Spełnieni całowaliśmy się powoli i leniwie, żeby nie uronić ani chwili. Trwaliśmy tak, zdawało się, wieki całe, a może nawet miliardy lat.

– To kiedy odlatujesz? – spytała.

– Za trzy dni.

– Dopiero co wróciłeś. – W jej głosie dało się wyczuć żal, a nawet sporą nutę złości.

– Wiem, kochanie. Ale taką mam służbę.

Westchnęła ciężko. Wiedziała, na co się godzi, wychodząc za wojskowego.

– Dokąd tym razem?

– Mars.

– Mars?

– Uhm – odparłem. – Nowy przydział.

– Na jak długo?

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą. – Może będziemy wychodzić tylko na rutynowe patrole na pograniczu Układu Słonecznego? A wtedy za trzydzieści dni dostanę przepustkę i natychmiast do ciebie przylecę.

– Byłoby świetnie...

– Ale mogą też nas posłać z kolejną misją. Przecież wiesz, jak niespokojnie jest w ostatnim czasie.

– Tak – powiedziała ze smutkiem. – W tym miesiącu kolejne dwa układy ogłosiły niepodległość.

Pokiwałem głową. Faktycznie nie wyglądało to dobrze.

Laura podniosła się, oparła głowę na łokciu i spojrzała na mnie.

– Czy czeka nas wojna domowa? – spytała.

– Nie sądzę – powiedziałem. – Separatyści nie mają dość sił. Podczas wojny nie mieliby żadnych szans.

– To czemu się buntują? Dlaczego walczą?

Milczałem chwilę, myśląc nad odpowiedzią.

– Pragną sami stanowić o własnym losie. Nie chcą być marionetkami w czyichkolwiek rękach.

– To takie ważne?

– Dla nich widocznie tak.

Zamyśliła się.

– Przecież większość tych systemów nie ma żadnego potencjału ekonomicznego ani strategicznego. Dlaczego Federacja Solarna nie pozwoli im się po prostu odłączyć?

– Trudno powiedzieć. – Wzruszyłem ramionami. – Zachowanie twarzy i prestiżu, pragnienie kontrolowania wszystkiego.

– I dlatego muszą ginąć ludzie?

Pytanie było retoryczne i nawet nie starałem się na nie odpowiedzieć.

Nagle uświadomiłem sobie, że taką rozmowę już kiedyś prowadziliśmy. W tym samym miejscu, w tym samym łóżku. Słowo w słowo. Zmarszczyłem brwi. Coś było nie tak. Najwyraźniej doznawałem *déjà vu*, ale ono zazwyczaj trwa kilka sekund i nie jest tak intensywne. Spojrzałem na Laurę. Doskonale wiedziałem, co zaraz powie.

– Dwa tygodnie temu odezwał się do mnie Simon – oznajmiła.

Simon był jej młodszym bratem, który nie dogadywał się z ojcem i w wieku zaledwie siedemnastu lat opuścił Układ Słoneczny na jakimś frachtowcu. Poleciał szukać szczęścia w dalekim kosmosie.

– Wreszcie udało mu się gdzieś zakotwiczyć. Pracuje w fabryce w jednej z tych dalekich kolonii.

– Al Nath – wyszeptałem poblądły.

Laura spojrzała na mnie zdumiona.

– Skąd wiesz? Przecież nic ci wcześniej nie mówiłam.

Pokręciłem głową, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć.

– A może jednak mówiłam? – Zamyśliła się, ale po chwili machnęła ręką. – Nieważne. Prosił, żebym go odwiedziła. Może więc, kiedy ty polecisz na Marsa, ja wybiorę się na kilka dni do Al Nath...

Głos Laury powoli oddalał się, topniał w supernowych, w jazgocie kwazarów, w melodiach wygrywanych przez wszechświat. Dźwięki nakładały się na siebie, rozpadały, wirowały i zniekształcone, docierały do mojej jaźni. Moja żona coś jeszcze mówiła, ale ja już jej nie słyszałem.

Z przerażeniem stwierdziłem, że ściany naszego mieszkania rozpływają się, ginąc w nicości. Podobnie łóżko, na którym leżeliśmy. Oplotła je mleczna, gęsta mgła i kawałek po kawałku znikało jak dziecięcy obrazek wymazywany gumką. Nie wiedziałem, co się dzieje. Otaczająca mnie rzeczywistość rozpadała się, a ja nie umiałem temu zaradzić.

Spojrzałem na Laurę, która również powoli niknęła. Krzyknąłem rozdzierająco i wyciągnąłem rękę, wierząc, że w ten sposób uda mi się ją zatrzymać. Ale moja dłoń przeszła na wylot. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałem, były smutne oczy mojej żony. Miodowe oczy. A potem nastąpiła ciemność.

Przebudziłem się w przestrzeni kosmicznej otoczony zewsząd gwiazdami, mgławicami, galaktykami. Miałem je wszystkie na wyciągnięcie ręki. Nie poruszały się. Trwały, czekając, aż ktoś wprawi je w ruch. Wszelkie dźwięki ucichły i panowała zupełna cisza.

Nie wiem, jak długo pozostawałem bez świadomości. Może jedynie ułamek sekundy? A może trwało to miliardy lat? Wiedziałem, że czas nie ma tutaj żadnego znaczenia. Podobnie jak prawa fizyki. Przyglądałem się strunom rozpiętym między branami, przenikałem inne wymiary, formowałem figury niemożliwe z ciemnej materii i dzieliłem kwarki na mniejsze obiekty, których nawet nie potrafiłem nazwać.

Ponownie czułem jedność z kosmosem, stawałem się elementem całości i oddawałem błogiemu zapomnieniu. Moja

fizyczność, indywidualizm i samoświadomość wydawały się odległym, koszmarnym snem. Gdzieś w zakamarkach mojej jaźni tliło się jeszcze wspomnienie gromady kulistej 47 Tucanae i misji zakończonej śmiercią. Nie mogłem jednak stwierdzić, czy jest ono prawdziwe czy też stanowi jedną ze ścieżek badanych przeze mnie strumieni czasowych. Ale to nie miało znaczenia, prawda obiektywna bowiem nie istnieje, a wszystko sprowadza się do subiektywnych odczuć.

Gdzieś głęboko we mnie tkwiło wspomnienie. Raniło niczym cierń i nie pozwalało oddać się błogiemu nieistnieniu. Wspomnienie miodowych oczu. Próbowałem sobie przypomnieć, dlaczego mają dla mnie takie znaczenie. Co się za nimi kryje? Dlaczego mnie torturują swoją obecnością?

Jedna ze strun rozsypała się w moich dłoniach i porwała ze sobą brany, które niczym kostki domina, uderzając o siebie, spowodowały katastrofę. Przerażony patrzyłem, jak wali się cała konstrukcja otaczającego mnie wszechświata, jak wybuchają gwiazdy, eksplodują galaktyki, jak ogień trawi wszystko dookoła...

Wybuch rozerwał okręt na kawałki. Przez iluminator obserwowałem, jak ogień natychmiast gaśnie w próżni, i tylko ulatujące w głąb Układu Słonecznego fragmenty niszczyciela Federacji Solarnej wskazywały na to, że przed chwilą rozegrał się tu dramat. Wiedziałem, że nikt z załogi nie miał prawa przeżyć.

Dotarło do mnie, że właśnie zginęła przynajmniej setka żołnierzy, ludzi, z którymi niegdyś może nawet miałem okazję służyć na jednym okręcie. Wykonywali tylko swoje obowiązki. Nie byli niczemu winni.

Zacisnąłem mocno pięść. Kolejny raz tego dnia ogarnęły mnie wątpliwości. Czy to, co chcę zrobić, jest warte życia tylu niewinnych

ludzi? Ale teraz już nie było odwrotu. Przełałem krew. Rubikon został przekroczony.

Spojrzałem przez iluminator na bulgoczącą przestrzeń przed dziobem okrętu. Oceniłem, że pierścień indukujący potrzebuje jeszcze około kwadransa na stworzenie bramy. Chorąży obsługujący panel sterowniczy jakby czytał w moich myślach i zakomunikował:

– Trzyście minut do ustabilizowania się tunelu.

Pokiwałem głową. Trzyście minut! Podczas kosmicznych bitew to cała wieczność. Zerknąłem na ekran pokazujący obraz z kamery na burcie okrętu. Ujrzałem Saturna oddalonego o zaledwie trzysta tysięcy kilometrów. Trudno było oderwać od niego wzrok.

Druga pod względem wielkości planeta w Układzie Słonecznym była potężnym i majestatycznym gazowym olbrzymem, spłaszczonym nieco na biegunach wskutek szybkiej rotacji. W strefie równikowej dostrzegłem żółte, lekko rozmyte pasy. Lecz to nie ogrom planety, dziwne spłaszczenie ani pastelowe kolory działały na mnie tak hipnotyzująco, tylko niesamowite pierścienie.

W ich skład wchodziły zarówno drobne kryształki lodu, jak i kamienne bloki skalne mierzące ponad kilometr. Otaczały Saturna, szybując w zwartej formacji, zgrabnie i majestatycznie, w rytm kosmicznego walca. Ten widok podziałał na mnie uspokajająco. Urzeczony wpatrywałem się w ten niezwykły taniec, odsuwając od siebie mroczne myśli o setce ludzi, których zabiłem, wydawszy rozkaz otwarcia ognia, o pancerniku, który właśnie porwałem z samego serca floty Federacji, i o tym, że tym aktem ostatecznie przeszedłem na stronę separatystów.

Ale w tej chwili nic mnie nie obchodziło. Dałem się oczarować pierścieniom Saturna. Ukołysać ich harmonicznemu

i jednostajnemu rytmowi. Gdzieś w podświadomości pojawiła się myśl, że tak naprawdę liczy się tylko odwieczny porządek natury. Zapragnąłem poddać się mu i ulec błogiemu zapomnieniu. Przymknąłem powieki, czując, jak powietrze wokół mnie gęstnieje. Miałem wrażenie, że otaczający mnie świat wiruje i zaraz rozpadnie się na tysiące kawałków. Niewiele mnie to jednak obchodziło.

– Druga jednostka pojawiła się w zasięgu naszych sensorów – do rzeczywistości przywołał mnie głos oficera obsługującego stanowisko ogniowe.

Niechętnie otworzyłem oczy.

– Jaka klasa?

– Niszczyciel – odparł oficer. – Tego samego typu jak ten, który przed chwilą zniszczyliśmy. Nadciąga od strony Tytana.

Spojrzałem na ekran. Zza tarczy Saturna wylał się księżyc otoczony matową, szkarłatną warstwą mgły. Tytan był największym satelitą planety i jednym z niewielu posiadających własną atmosferę. Dzięki temu został poddany terraformingowi już sto lat temu. Obecnie na jego powierzchni mieszkało niemal dwa miliardy ludzi, a miasta mogły się równać z największymi metropoliami Ziemi. Na Tytanie znajdowała się również baza floty Federacji Solarnej i pewnie stamtąd wzięły się te dwa niszczyciele.

Byłem na siebie zły, że zupełnie o tym zapomniałem. Mój plan porwania Argesa – jednego z najpotężniejszych okrętów Federacji – był niezwykle prosty. Namówiłem do buntu prawie połowę załogi i przejęliśmy jednostkę. Tych, którzy pozostali lojalni wobec Federacji, zamknęliśmy w mesie i wypuściliśmy w kapsule ratunkowej dopiero po minięciu ostatnich posterunków marsjańskiej bazy.

Wyjście z portu wojennego nie było łatwe, ale dużo wcześniej udało mi się uzyskać wszystkie możliwe pozwolenia, a te, których nie zdobyłem, najzwyczajniej w świecie sfałszowałem. Dowództwu marsjańskiego portu przedstawiłem rozkaz odtransportowania Argesa do stoczni na orbicie Saturna w celu wykonania niezbędnych napraw. Ku mojemu zdziwieniu nikt nie podważył tego rozkazu ani nie zainteresował się rodzajem uszkodzeń. Co więcej, zaoferowali nawet holownik, ale odmówiłem, twierdząc, że silniki mamy sprawne.

Dopiero za orbitą Saturna Arges mógł bez przeszkód uruchomić pierścień indukujący i gdy tylko to zrobił, pojawił się niszczyciel. Dowodzący nim oficer nie słuchał żadnych wyjaśnień ani nie uląkł się gróźb. Wezwał nas do wyłączenia pierścienia i silników, a gdy tego nie zrobiliśmy, otworzył ogień. Wszystkie rakiety zostały namierzone przez systemy Argesa i zestrzelone. Przesłałem dowódcy niszczyciela jeszcze jedno ostrzeżenie, ale nie usłuchał. W tej sytuacji zrobiłem to, co musiałem zrobić. A teraz leciał ku nam kolejny niszczyciel. Miałem nadzieję, że załoga tego okrętu będzie rozsądniejsza.

- Jednostka federacyjna cały czas się zbliża – zameldował oficer.
- Za dwie minuty będziemy w zasięgu jej rakiet.
- Ile czasu do ustabilizowania się tunelu czasoprzestrzennego?
- spytałem.
- Osiem minut i dwadzieścia pięć sekund.
- Wyślijcie im ostrzeżenie.
- Tak jest.

Wpatrywałem się w iluminator, próbując dojrzeć okręt Federacji, ale był zaledwie drobiną na tle kosmosu. Czułem jednak, że jest gdzieś tam, pomiędzy Argesem a Tytanem. Jeśli nie zestrzelimy go w ciągu dwóch minut, zbliży się na tyle, że wpakuje



w nas całą partię rakiet. Na tego typu niszczycielach było co najmniej tuzin wyrzutni. Większość pocisków na pewno wychwycały systemy obronne, ale zawsze istniało ryzyko, że kilka zdoła się przedrzeć i uderzyć w kadłub.

– Niszczyciel nie odpowiada – zakomunikował oficer łącznikowy.

Milczałem.

– Za trzydzieści sekund niszczyciel będzie mógł użyć rakiet. – Oficer był coraz bardziej zdenerwowany.

Myślałem o wszystkich ludziach, którzy znajdowali się na pokładzie tamtego okrętu. Każdy z nich miał świadomość, emocje, marzenia. A ja miałem ich tego pozbawić. Odebrać im życie i posłać w otchłań niebytu.

– Niszczyciel otworzył luki rakietowe – usłyszałem ze stanowiska ogniowego, ale wydawało mi się, jakby głos dochodził z oddali, z innego wymiaru.

Znowu miałem ochotę zanurzyć się w wir nieistnienia. Poczuć jedność ze wszechświatem, poddać się jego rytmowi i pozwolić mu się prowadzić.

– Komandorze Charpentier...

Podążyłem za swoimi pragnieniami, zostawiając daleko mostek Argesa, natarczywe pytania oficera i bitewny chaos. Nic mnie to nie obchodziło. Powoli rozplątywało się w niepamięci, jakby się nigdy nie wydarzyło. Nie wiedziałem, czy to przebłyski z przeszłości, z czasów, gdy miałem jeszcze ciało i jednostkową świadomość, czy fikcja wytworzona przez umysł. A może przemierzając tunel czasoprzestrzenny, przekroczyłem horyzont zdarzeń – strefę oddzielającą obserwatora zdarzenia od zdarzenia – i zapętliliłem się w nieskończonej informacji?

Cokolwiek to było, stanowiło tylko pojedyncze, fałszywe nuty w doskonałej symfonii wszechświata, której byłem częścią. Rozkoszowałem się melodią płynącą z każdego kosmicznego obiektu i z każdej idei, która musiała znaleźć swoje urealnienie w wieczności. Niektóre z nich były przerażające, inne cudowne. Nakładały się na siebie, przenikały, żeby eksplodować i utworzyć segmenty czasu, w których następowały po sobie.

Trudno mi to było ogarnąć zwykłymi zmysłami, ale na szczęście ich już nie posiadałem. Otrzymałem coś innego, niezwykle dar zrozumienia. Nie dziwiłem się niczemu, wszystko bowiem stało się dla mnie jasne. Wypełniony wiedzą, sam byłem wiedzą.

Przemierzałem galaktyki, zapalałem i gasiłem słońca, tworzyłem planety, które potem miażdżyłem w żelaznym uścisku. Wprawiałem w ruch księżycy, formowałem pasy asteroid i zbierałem kosmiczny pył z myślą o mgławicach. Planowałem trasy lotu wszystkich komet od początku aż po kres wszechświata.

Kim byłem? Czym byłem? Te pytania zupełnie pozbawione były sensu. Byłem wszystkim. Istniałem w każdej cząstce kosmosu, w każdym kwancie energii, w każdej zrodzonej myśli. Czy byłem Bogiem?

Nagle do mojego jestestwa ponownie wdarła się fałszywa nuta. Zirytowała mnie, wytrąciła z błęgiego spokoju. Poczulem znowu koszmar fizyczności. Obrzydliwe ciało obleczone skórą, ograniczone zmysły i ból egzystencji raniący mnie dogłębnie...

– Komandorze Charpentier – usłyszałem.

Ktoś dotknął mojego ramienia i delikatnie nim potrząsnął. Otworzyłem powieki i przetałem oczy. Dopiero wtedy w mroku pomieszczenia ujrzałem sylwetkę mojego adiutanta. Podporucznik Bertrand mierzył blisko dwa metry i był niezwykle szczupły. Żaden

mundur na niego nie pasował i specjalnie dla niego szyto osobne uniformy.

– Co się stało? – spytałem zaspanym głosem, siadając na łóżku.

– Admirał Saziama prosi pana do siebie.

Pokiwałem głową.

– Powiedz mu, że będę za dziesięć minut.

Podporucznik Bertrand wyszedł, a ja zwlekłem się z łóżka. Spojrzałem na zegarek i zakląłem. Spałem zaledwie cztery godziny. Dopiero co wróciłem do bazy po ciężkiej misji i należała mi się chwila wytchnienia. Tymczasem gdy próbowałem złapać trochę snu, szef wzywał mnie do siebie.

Stałem przed lustrem i krytycznie spojrzałem na siebie. Oczy podkrążone, twarz nieogolona, siwiejące włosy. Uśmiechnąłem się krzywo na wspomnienie siebie przed dziesięciu laty. Wówczas też stałem przed lustrem, w czarnym mundurze oficera floty federacyjnej, i pęczniałem z dumy. Otrzymałem właśnie awans i przydział na Argesa. W pokoju obok spała moja żona, ale ja nie myślałem wtedy o niej ani o kolejnej długiej rozłące, tylko o tym, co czeka mnie po przybyciu do bazy na Marsie. Liczyłem na to, że moja służba nie ograniczy się do rutynowych patroli w Układzie Słonecznym i wreszcie zasmakuję bitewnego zgiełku. Arges jako najnowocześniejszy okręt we flocie miał szansę na udział w akcji przeciwko separatystom. Jakimże byłem głupcem! Gotowy byłem zostawić Laurę, nie przejmując się jej uczuciami, i ruszyć na drugi koniec Galaktyki, żeby zabijać ludzi walczących o wolność.

Na wspomnienie Laury poczułem ból i wypełniający mnie żal. Mocno zacisnąłem pięści, opierając je o umywalkę. Starąłem się opanować gniew. Dlaczego pozwoliłem jej wtedy lecieć do Al Nath? Dlaczego, zamiast z nią zostać i wieść bezpieczne życie oficera

sztabowego, pogałem na ten przeklęty okręt? Gdybym wówczas został na Ziemi, Laura nie poleciałaby do Al Nath i nadal by żyła.

Dzień, w którym otrzymałem informację o jej śmierci, był najgorszym dniem w moim życiu. Najpierw w wiadomościach usłyszałem, że władze zawarły rozejm z buntownikami z Al Nath i system ponownie znalazł się w rękach Federacji Solarnej. Ulżyło mi, gdyż wiedziałem, że znajduje się tam Laura. Ale potem dotarły do mnie niepokojące wieści. Żołnierze szeptali o akcji pacyfikacyjnej naszej floty, o dziesiątkach tysięcy zabitych, o zrównanych z ziemią miastach. Zacząłem się denerwować. Nie miałem z Laurą żadnego kontaktu, gdyż Układ Słoneczny dzieliło od Al Nath sto trzydzieści lat świetlnych. Mogłem tylko czekać.

Wreszcie stało się to, czego się tak obawiałem. Otrzymałem suchą wiadomość, że moja żona nie żyje. Miała wypadek drogowy w Al Nath i służbom medycznym nie udało się jej uratować. Wiedziałem, że to kłamstwo. Zginęła w wyniku akcji zbrojnej floty Federacji.

Tysiące razy wyobrażałem sobie jej śmierć. Widziałem, jak żywcem płonie w ogniu bomb zrzuconych z orbity, jak jest rozstrzeliwana przez autonomiczne roboty, jak promień lasera przeszywa jej ciało, gdy próbuje uciekać przed grupą szturmową.

Tamtego dnia coś we mnie umarło. Leżałem na podłodze, łkając w rozpacz i bezsilnej złości. Nie mogłem cofnąć czasu, nie mogłem jej zatrzymać. Naraz uświadomiłem sobie, że przecież Arges mógł zostać wysłany do Al Nath. Poczulem się tak, jakbym to ja zabił Laurę. Wtedy postanowiłem zmienić coś w swoim życiu. Długo przygotowywałem się do porwania Argesa i przyłączenia się do separatystów.

Odkręciłem kran i opłukałem twarz zimną wodą. Dzięki temu całkowicie się rozbudziłem. Włożyłem szary mundur wojsk

rebelianckich, nie tak szykowny jak federacyjny, ale bliższy mojemu sercu, i wyszedłem z kwatery.

Na korytarzu było tłoczno. Stacja nie miała określonych pór dnia i nocy, lampy cały czas świeciły się z takim samym natężeniem, więc zawsze był tu spory ruch. Kobiety i mężczyźni spieszyli do swoich zajęć. Większość nosiła szare uniformy służb wojskowych, ale zdarzali się też urzędnicy w garniturach i cywile, których z roku na rok przybywało. Największą bazę separatystów zamieszkiwało obecnie ponad sto tysięcy ludzi i mogła już uchodzić za niewielkie miasto. Jeśli tak dalej pójdzie, za kilka lat stanie się potężną kolonią – myślałem. A przecież na początku była tylko tajną bazą rebelianckich okrętów. To właśnie tutaj przyprowadziłem zdobytego Argesa.

Ruszyłem w stronę wind, podziwiając widok rozciągający się za pancerną szybą. Baza separatystów znajdowała się w centrum Małego Obłoku Magellana. Ta karłowata galaktyka orbitowała wokół Drogi Mlecznej i była od niej dziesięciokrotnie mniejsza. Dlatego gwiazdy za iluminatorem nie były tak gęsto usiane. Większość nie miała nazwy ani nawet oznaczenia na ziemskich mapach. Badacze i zwiadowcy niezbyt często zapuszczali się w ten rejon przestrzeni.

Spoglądałem na gwiazdy, które niczym nie różniły się od tych w innych częściach kosmosu. Dostrzec można było czerwone karły, niebieskie nadolbrzyny, cefeidy, pulsary i te ciągu głównego, podobne do Słońca i emitujące żółtą poświatę.

Po prawej stronie dostrzegłem kolorowe chmury gazowe ciągnące się strumieniem do bliźniaczej galaktyki – Wielkiego Obłoku Magellana. Pochodzenie strumieni pozostaje nieznanne, ale astrofizycy podejrzewają, że obie galaktyki karłowate mogły w przeszłości przejść tak blisko siebie, że oddziaływanie pyłowe

między nimi zapoczątkowało gwałtowną produkcję gwiazd, która w konsekwencji doprowadziła do powstania strumieni.

Jednak największe wrażenie robiła Droga Mleczna – olbrzymie skupisko czterystu miliardów gwiazd. Gdzieś na jej skraju, w Ramieniu Oriona, znajdował się Układ Słoneczny. I Ziemia, mój dom.

Nie tęskniłem. Nie miałem do czego. Laura nie żyła od dziesięciu lat, a ja nie miałem rodziny ani przyjaciół. Pozostało tam tylko to, czego nienawidziłem – Federacja Solarna.

Najpierw kierowała mną żądza zemsty. Pragnąłem utopić we krwi moje cierpienie po stracie Laury. Stałem na czele niewielkiej floty separatystów. Z podobnymi sobie desperatami dokonywaliśmy rajdów na tereny Federacji, niszcząc każdą napotkaną jednostkę wroga. Zapuszczaliśmy się nawet w okolice Układu Słonecznego. O naszych brawurowych akcjach głośno było w odległych zakątkach wszechświata. Potem jednak coś się zmieniło.

Coraz więcej kolonii próbowało się wyrwać ze szponów Federacji Solarnej i nastawiliśmy się na pomoc. Wspieraliśmy rewolty, dowoziliśmy żywność, lekarstwa, potrzebne komponenty, broń. Nasze jednostki stacjonowały w zbuntowanych systemach. Nie chcieliśmy, żeby kiedykolwiek powtórzyło się Al Nath.

Przyłączali się do nas inni. Z roku na rok rośliśmy w siłę i nie były to już tylko pojedyncze zbuntowane kolonie, ale cała, dobrze zorganizowana konfederacja. Po trzech latach oddałem dowództwo floty admirałowi Saziamiemu, który miał większe ode mnie doświadczenie, a sam zająłem się działaniami operacyjnymi. Woląłem działać, niż ślęczeć nad mapami i brać udział w naradach sztabowych. Okazało się, że doskonale radzę sobie w roli wywiadowcy.

Wszedłem do windy, by ruszyć na najwyższe piętro, gdzie znajdował się sztab, do którego niewielu miało bezpośredni dostęp. Ja posiadałem niezbędne uprawnienia. Gdy tylko zamknęły się drzwi, komputer przeskanował siatkówkę mojego oka i dopiero wtedy winda ruszyła. Błyskawicznie pokonała blisko sto kondygnacji i wysiadłem na ostatnim piętrze.

Tutaj ruch był zdecydowanie mniejszy. Ludzie nachylali się nad hologramami, oglądając zdjęcia wykonane przez automatyczne sondy, analizowali dane dostarczone przez wywiadowców i planowali akcje sabotażowe.

Musiałem przyznać, że w ciągu dziesięciu lat nastąpiły olbrzymie zmiany. Gdy ja dowodziłem flotą, opracowywanie planów, rozdzielanie zadań i odprawy odbywały się na mostku Argesa. Uczestniczyło w tym najwyżej tuzin oficerów, teraz zaś sztab liczył ponad dwustu członków. Nie zauważyłem nikogo w stopniu niższym od porucznika. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, więc skierowałem się prosto do gabinetu admirała.

Saziarni siedział za staroświeckim dębowym biurkiem. Biurko było olbrzymie, a on był mężczyzną o mizernej posturze. Wyglądało to groteskowo. Admirał miał w sobie jednak tyle charyzmy, że nikt nie odważył się z tego żartować.

Powinienem stanąć przed nim na baczność i zameldować swoje przybycie, ale bez słowa usiadłem w fotelu stojącym naprzeciw biurka. Rozparłem się i czekałem. Saziarni obdarzył mnie surowym spojrzeniem i bez zbędnych wstępów przeszedł do rzeczy.

– Mam dla ciebie nową misję.

– Dopiero co wróciłem z poprzedniej.

– Wiem – rzekł, a ja mógłbym przysiąc, że wyczułem w jego głosie autentyczną troskę. – Ale tylko ty poradzisz sobie z tym zadaniem.

Westchnąłem ciężko i powiodłem wzrokiem po ścianach gabinetu. Admirał był miłośnikiem sztuki i lubił się otaczać obrazami. Rozpoznałem reprodukcje Statku głupców Hieronima Boscha, Gwiazdzistej nocy Vincenta van Gogha, Krzyku Edvarda Muncha, a ze współczesnych – Na krańcach Andromedy Carbynosa i Świątyni zrozumienia nieznanego mi z nazwiska artysty, o którym wiedziałem jednak, że pochodzi z Ross 986. Zyskał popularność nie tyle dzięki mistrzowskiemu prowadzeniu pędzla, ile głoszeniu kontrowersyjnych teorii i symbolicznemu umieszczaniu ich w swoich pracach. Uważał, że nasze życie od początku do końca jest zaprogramowane i sterowane przez siły wyższe. Według niego coś takiego jak wolna wola nie istniało.

Musiałem przyznać, że jego obraz ma coś w sobie. Hipnotycznie wręcz przyciągał wzrok. Odnosiłem wrażenie, że mnie przyzywa i wsysa w namalowany świat. A przecież nie przedstawiał nic nadzwyczajnego. Zwykły zamek, jakich kilka można jeszcze było znaleźć na Ziemi, skąpany w blasku zachodzącego słońca. Na pierwszym planie rozległy, pusty dziedziniec, na drugim baszty i mury obronne. Na tle szkarłatno-granatowego nieba piętrzyły się odległe góry. I to wszystko. Trudno powiedzieć, co było w tym płótnie tak urzekającego.

Do rzeczywistości przywołał mnie głos admirała:

– Słyszałeś o gromadzie kulistej 47 Tucanae?

Poczułem się, jakbym został wyrwany z głębokiego snu. Przeniosłem wzrok na Saziamiego i kilkakrotnie zamrugałem. Głównodowodzący floty separatystów musiał wziąć to za oznakę mojego zaspania i powtórzył pytanie.

– Nie. – Pokręciłem głową.

– Ja jeszcze niedawno też nic o niej nie wiedziałem – rzekł. – Oficjalnie nikt tam dotąd nie dotarł, ale mamy informacje, że



Federacja Solarna jest mocno zainteresowana 47 Tucanae. Wysłała tam kilka tajnych ekspedycji badawczych.

– Tajnych?

– Dziwne, prawda? – odparł pytaniem. – Gdyby zwyczajnie chcieli zbadać ten sektor, wysłaliby zwiadowców. Ale to nie wszystko... – Saziami zamilkł, chcąc podkreślić wagę tego, co za chwilę powie. – Wojsko wysłało tam jeden ze swoich najnowocześniejszych okrętów.

– Ciekawe.

– Na tym nie koniec – mówił admirał. – Okręt nie wrócił do Układu Słonecznego. Prawdopodobnie zaginął.

Zdumiony niosłem brew.

– Wygląda na to, że w gromadzie kulistej 47 Tucanae dzieje się coś niezwykłego.

– Na to wygląda – przyznał Saziami. – Dlatego chciałbym, żebyś tam poleciał i zbadał sprawę.

Westchnąłem ciężko. Potrzebowałem odpoczynku. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz miałem choćby dobę dla siebie.

Ponownie przeniosłem wzrok na obraz zamku i dostrzegłem na nim studnię. Mógłbym przysiąc, że gdy poprzednio na niego spoglądałem, dziedziniec był pusty.

– Kiedy mam lecieć? – spytałem, nie odrywając oczu od obrazu.

Saziami wypuścił z ulgą powietrze. Widocznie był przygotowany na batalię ze mną. Nie sądził, że tak szybko się zgodzę.

– Jak najszybciej – odparł. – Masz jeszcze kontakt z tym zwiadowcą, z którym poleciałeś do Mgławicy Kraba? Jak mu tam było...

– Thorssen.

– Właśnie. – Admirał pstryknął palcami. – To była dobra robota. Podmieniłeś dane z badań nad pulsarem, którego moc Federacja Solarna chciała wykorzystać jako broń.

Pokiwałem głową. Wówczas o mały włos postradałbym życie.

– Dasz radę namówić go na wyprawę do 47 Tucanae?

– Z tego, co wiem, obecnie poszukuje sponsorów gotowych sfinansować nowy statek.

– Załatwimy mu dofinansowanie.

– Jak?

– Nasz agent podszyje się pod sponsora. Mamy jeszcze trochę wolnych funduszy.

Milczałem przez chwilę, przyglądając się studni, która coraz bardziej mnie intrygowała. Wreszcie przeniosłem wzrok na admirała.

– W takim razie myślę, że uda mi się go przekonać.

– Dobrze. – Saziami z zadowoleniem pokiwał głową i dodał z wahaniem: – Gdyby ci się udało zdobyć ten nowy okręt Federacji...

– To nie będzie łatwe.

Admirał uśmiechnął się.

– Wiem – powiedział. – Ale ty masz w tym doświadczenie.

– Na miejscu zobaczę, co się da zrobić – rzekłem. – Macie jakieś podejrzenia dotyczące tego, co się dzieje w 47 Tucanae?

Saziami chwilę milczał, a gdy się odezwał, mówił szeptem.

– Nikt nie chce tego oficjalnie przyznać, ale może się okazać, że mamy do czynienia z obcą inteligencją.

Roześmiałem się. Ten pomysł wydawał się absurdalny, ale jednocześnie poczułem głęboki niepokój. Zamilkłem i moje spojrzenie, jakby pod wpływem jakiegoś imperatywu, powędrowało w stronę obrazu.

Poderwałem się z fotela. Z mojego gardła dobiegł okrzyk przerażenia.

Przy studni ktoś stał.

## Rozdział 16

Admirał Saziami mówił coś do mnie, próbując mnie uspokoić, ale go nie słuchałem. W mojej jaźni eksplodowało tysiące obrazów. Ujrzałem siebie tkwiącego w fotelu nowego statku zwiadowczego. Nie wiem skąd, ale miałem pewność, że nosi nazwę Selene i zmierza do gromady kulistej 47 Tucanae. Czyżby przebłąski prekognicji?

Opadłem na fotel, chwytając się za głowę. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Jednocześnie znajdowałem się w bazie separatystów i na pustynnej planecie skąpanej w dziwnym błękitnym świetle gwiazdy wznoszącej się nad horyzontem. Zupełnie jakby częśćka mnie była w innym miejscu i czasie.

Następną sceną, jaką ujrzałem, było wnętrze statku. Biegłem korytarzem, uciekając przed czymś lub przed kimś. Potwornie się bałem, chociaż nie wiedziałem dlaczego. Kątem oka dostrzegłem podążający za mną cień, ale widziałem również pochylającego się nade mną admirała. Oba światy zlewały się i nie potrafiłem odróżnić, co jest prawdą, a co fałszem.

Zdyszany wpadłem do jakiegoś pomieszczenia. Domyśliłem się, że to maszynownia. Nie wiedzieć czemu pobiegłem wprost do anihilatora materii. W tym samym momencie Saziami wzywał pomoc medyczną. Stałem przy urządzeniu i hipnotycznie wpatrywałem się w wirujący wewnątrz laser. Wiedziałem, co zaraz nastąpi. Do gabinetu wszedł lekarz i zaczął mnie badać. Zadawał

jakieś pytania, ale żaden dźwięk do mnie nie dochodził. Spoglądałem w otchłań śmierci.

Nagle wszystko sobie przypomniałem. Całe życie przewinęło mi się przed oczami. Dzieciństwo, szkoła oficerska, pierwszy przydział na okręt Federacji Solarnej, szkolenie na Hefajstosie, ślub z Laurą, wiadomość o jej śmierci, porwanie Argesa i przystąpienie do separatystów. Potem te wszystkie lata, które spędziłem jako wywiadowca, podróże, zadania, niebezpieczne misje. I wreszcie wyprawa do 47 Tucanae, miodowe oczy Katji, niewytłumaczalne zdarzenia i moja śmierć.

Podniosłem głowę i popatrzyłem na obraz. Przy studni nadal ktoś stał. Przyjrzałem się uważnie i wyraźnie dostrzegłem zgarbionego staruszka podpierającego się kosturem. Jego wargi powoli ułożyły się w kąśliwy uśmiech. Lekarz badał mi puls. Zamknąłem oczy. Skoczyłem. Prosto w środek wirującego lasera.

W otchłań niebytu.

Nie czułem bólu, tylko wiatr owiewający mi twarz. Powoli rozwarłem powieki i ujrzałem zamek. Identyczny jak na obrazie. Teraz jednak nie był nakreślony ręką malarza, ale realny, zbudowany z czerwonej cegły. Stałem na środku brukowanego dziedzińca i spoglądałem na potężne mury zwieńczone blankami, wysmukłe baszty i strzelające w niebo wieże, na których szczytach powiewały proporce. W rzeczywistości zamek wyglądał o wiele okazalej niż na obrazie.

Przeniosłem wzrok na studnię i na stojącego przy niej staruszka. Ubrany był w szary mnisi habit opasany zwykłym sznurkiem. Długie, białe jak śnieg włosy opadały mu na ramiona, twarz miał pooraną zmarszczkami, a na ustach błąkał mu się kpiący uśmiech.

– Czekałem na ciebie – rzekł.

Zbliżyłem się ostrożnie i stanąłem dwa kroki od niego. Obrzucił mnie krytycznym, taksującym spojrzeniem.

– Gdzie jestem? – spytałem.

Staruszek rozejrzył się, udając, że się zastanawia.

– Wszędzie – odparł. – I nigdzie.

– Co tu robie?

Milczał, przyglądając mi się uważnie.

– Umarłem – stwierdziłem bardziej, niż zapytałem, przypomniawszy sobie, jak wskoczyłem do anihilatora materii w maszynowni Selene.

– A czy kiedykolwiek żyłeś?

Zmarszczyłem czoło.

– Nie podobają mi się twoje gierki! – warknąłem rozgniewany. – Kim jesteś?

– Nie domyślasz się jeszcze?

– Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie.

Czułem narastającą wściekłość. Najchętniej machnąłbym ręką, odwrócił się i odszedł. Ale nie miałem dokąd. W jakiś niepojęty sposób wiedziałem, że za bramą zamku nic nie ma. Podświadomość mówiła mi, że ogranicza mnie przestrzeń obrazu i istnieje tylko ten dziedziniec. Cały wszechświat skurczył się do tego jednego fragmentu, wycinka malarskiej reprodukcji.

– Jesteś Bogiem? – zapytałem.

Staruszek zadumał się.

– Całkiem możliwe – odparł. – Jeśli Bogiem nazwiemy kogoś mającego władzę nad materią i energią, kogoś, kto jednym podmuchem potrafi zapalać i gasić gwiazdy, rozciągać granice wszechświata wedle własnego uznania i kształtować rzeczywistość, to tak. W tym znaczeniu jestem Bogiem. – Zamilkł i pogładził się po brodzie. – Ale z drugiej strony, jeśli za definicję Boga przyjmujemy

był pierwotny, nieskończony, całkowicie niezależny, nieuwarunkowany i niczym nieograniczony, to muszę cię zawieść. Niestety, nie jestem nim.

Byłem coraz bardziej zniecierpliwiony.

– W takim razie kim jesteś?

Mnich postąpił krok do przodu.

– Przyjrzyj mi się uważnie.

Zrobiłem, co kazał. Raz jeszcze w skupieniu przyjrzałem się jego strojowi, siwym włosom, pomarszczonej twarzy i gdy już miałem zrezygnować z dalszych oględzin, nasze spojrzenia spotkały się. Spojrzałem mu w oczy i cofnąłem się przerażony. Znałem te oczy. Codziennie oglądałem je w lustrze.

– Jesteś – przełknąłem ślinę – mną?

Starzec roześmiał się głośno. Usta otworzył przy tym tak szeroko, że dostrzegłem jego bezzębne dziąsła.

– Masz zbyt wysokie mniemanie o sobie – rzekł, gdy już się trochę uspokoił. – Nie jestem tobą. To ty jesteś mną.

– A co to za różnica?

– Taka jak między oryginałem obrazu a jego kopią.

Pokręciłem głową.

– Nic z tego nie rozumiem.

Starzec taksował mnie wzrokiem. W jego spojrzeniu była pewna doza zaciekawienia, lecz nie patrzył na mnie jak na człowieka, ale jak na udomowione zwierzę. Mlasnął kilka razy, a potem przymknął powieki i łapczywie zwrócił twarz w stronę zachodzącego słońca. Światło zaległo w zmarszczkach, głębokich bruzdach, wklęsłych policzkach. To był niesamowity widok, potwierdzający, że prawa fizyki w tym miejscu nie mają znaczenia.

Niewiele rzeczy mogło mnie już zaskoczyć. Wystarczyło, że umarłem, a teraz znalazłem się tutaj. W dodatku z człowiekiem,

który miał moje oczy. Czy to ja sam za czterdzieści lat? A może to jakaś sztuczka naukowców z Federacji Solarnej? Może jestem zamknięty w jakimś laboratorium na Ziemi, a oni grzebią mi w mózgu?

– Opowiem ci pewną historię – starzec przerwał moje rozmyślenia. – Opowiem ci o rasie, która podbiła wszechświat. – Oparł się o cembrowinę studni. – Wszystko zaczęło się na błękitnej planecie, nie za dużej i nie za małej, za to idealnej do powstania życia, jakich miliard krąży wokół gwiazd rozsianych po całym kosmosie. Jej mieszkańcy, gdy tylko nauczyli się krzesać ogień, siadali przy ogniskach i spoglądali w niebo na migoczące punkty. Wyobrażali sobie, że tam, w górze, płoną podobne ogniska, przy których ogrzewają się inne plemiona. Musiały upłynąć tysiące lat, żeby zweryfikowali swoje hipotezy. Przekonali się, że to, co brali za ogniska, to w istocie gwiazdy, wokół których krążą planety. W końcu osiągnęli taki stopień rozwoju, że mogli opuścić swój glob i udać się na podbój wszechświata. – Mężczyzna skrzywił usta w ironicznym uśmiechu. – Płonęły w nich żądza poznania i pragnienie podboju. Kolonizowali nowe światy, eksplorowali ich zasoby i pozostawiali wyjałowione. Gdy natrafiali na rozumne istoty, po prostu je niszczyli. W ten sposób zagładzie uległo tysiące cywilizacji. Nic nie było w stanie ich powstrzymać. Podbijali planetę za planetą, jeden system gwiazdny po drugim, galaktykę za galaktyką. Rozpanoszyli się po całym kosmosie niczym szarańcza. Aż wreszcie dotarli do kresu wszechświata...

Starzec zamilkł i zapatrzył się przed siebie. Wyglądało to tak, jakby spoglądał w przeszłość. Zastanawiałem się, czy to wszystko zna tylko z opowieści, czy obserwował to na własne oczy. Jeśli jest naprawdę tak potężny, jak twierdzi, wcale bym się nie zdziwił.



– Wówczas dokonali przerażającego odkrycia. Okazało się, że wszechświat zaczyna się kurczyć. Proces jego ekspansji po Wielkim Wybuchu dobiegł końca i teraz przebiega proces odwrotny.

– Co?! – zdziwiłem się. – To niemożliwe.

– A jednak.

– Ze współczesnych doświadczeń wynika, że wszechświat ma gęstość równą gęstości krytycznej. A to oznacza, że będzie się wiecznie rozszerzał. Tylko tempo tej ekspansji będzie wiecznie malało. To podstawy astrofizyki. Uczy się o tym dzieci w szkołach.

Staruszek zarechotał.

– Mówisz o swoim wszechświecie.

– O moim wszechświecie? – zapytałem bezwiednie.

– Twój został uformowany inaczej – rzekł. – Jest doskonały, idealny, taki jaki powinien być.

– Wytłumacz mi to.

– Wszystko w swoim czasie – oświadczył starzec. – Jesteś bardzo niecierpliwy, a przecież to ja nie mam czasu. Ty masz go w nadmiarze.

Nie rozumiałem nic z tego, co mówił. Miałem tylko nadzieję, że wkrótce mi to wszystko wyjaśni.

Spojrzałem w niebo. Słońce cały czas wisiało nisko nad zachodnim horyzontem i nie poruszyło się nawet odrobinę. Jednak niczemu już się nie dziwiłem. Postanowiłem cierpliwie czekać i wysłuchać staruszka do końca. I tak nie mogłem nic innego zrobić.

– Rozpoczął się Wielki Kolaps. A rasa, o której mówię, zrozumiała, że pozostało jej jedynie kilkadziesiąt miliardów lat. Tobie, kruchej istocie białkowej, wydaje się, że to wieczność, ale dla nich, władców wszechświata, miało przeminąć jak mgnienie oka. – Mnich ponownie zamilkł, kiedy zaś się odezwał, jego głos drżał z emocji. – Aby przetrwać, musieli przejąć kontrolę nad czasem

i przestrzeni. Całą swoją energię poświęcili na to, aby stać się istotami wszechmocnymi. Osiągnęli niebywałe sukcesy technologiczne, poznali wszystkie tajemnice materii i nauczyli się ją kształtować wedle własnej woli. Ale to wciąż było za mało, by wyeliminować horyzont zdarzeń, nim wszechświat przestanie istnieć. – W oczach starca pojawił się smutek. – Galaktyki nieubłagane zbliżały się do siebie, a oni nadal szukali sposobu ocalenia. Gdy zaczęły się scalać gwiazdy i planety, a krańce kosmosu można już było dojrzeć gołym okiem, zrozumieli, że nie zdołają odwrócić procesu kurczenia się wszechświata. Wielki Kolaps był nieunikniony. Porzucili materialne ciała, opierając swoje istnienie na czystej energii, ale i to nie na wiele się zdało, życie bowiem to informacja, a jej ilość zawarta w określonym obszarze przestrzeni jest skończona i proporcjonalna do minimalnej powierzchni otaczającej ten obszar. W tej sytuacji mogli jedynie wydłużyć subiektywny czas swojego istnienia. I wszystkie wysiłki skierowali w tę stronę.

– Udało im się zatrzymać czas? – spytałem.

– Czasem można operować, kształtować go, gdyż jest relatywny, ale przemijania zatrzymać nie sposób – odparł mnich. – Podejź do studni.

Zrobiłem, co kazał. Złożyłem dłonie na kamiennej cembrowinie i zajrzałem do środka. Zakręciło mi się w głowie. Studnia nie była głęboka i dobrze widziałem jej dno, ale poczułem się, jakbym się znalazł w potrzasku. Wydawało mi się, że ściany są tak blisko, że zaraz mnie zmiażdżą. W przyływie klaustrofobii zacząłem szybko oddychać.

– Tak właśnie żyjemy – rzekł mnich. – W studni, która cały czas się zmniejsza, aż niedługo nas zmiażdży. To nasz świat.

– Wasz świat? – zapytałem, odwracając wzrok od dna studni. Oparłem się o cembrowinę, próbując złapać oddech. – Jesteś jednym z nich?

Mnich skinął głową.

– A kim ja jestem?

– Zaraz do tego dojdziemy. – Starzec uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Nauczyliśmy się wiele o materii, przestrzeni i czasie. Nie mogliśmy co prawda powstrzymać tego, co nieuniknione, ale mogliśmy wygenerować inny, sztuczny wszechświat, z innymi prawami fizyki, który będzie się rozszerzał, a nie kurczył. Punkty tworzące metr sześcienny w naszym wszechświecie są rozproszone po całej czasoprzestrzeni waszego wszechświata. Sekunda w naszym wszechświecie odpowiada tysiącom lat w tym sztucznym.

Osunąłem się na kamienny dziedziniec. Przymknąłem powieki i ponownie je otworzyłem w nadziei, że to tylko sen, a ja zaraz się obudzę. Rzeczywistość, w której istniałem, okazała się sztucznym tworem jakichś nadistot.

– Stworzyliście dla siebie azyl – rzekłem.

Staruszek przytaknął.

– Ukształtowaliśmy go wedle własnej woli i decydujemy o każdym jego aspekcie. Ustalamy rządzące nim reguły i kreujemy zdarzenia. Nasi najznakomitsi artyści dbają o każdy detal scenografii.

– Scenografii?

– Tak – powiedział mnich. – Wasz wszechświat stanowi coś w rodzaju sceny teatralnej.

Zmroziło mnie.

– Co?!

Nagle pociemniało. Staruszek pochylił się nade mną, tak że widziałem z bliska całą sieć zmarszczek na jego twarzy. Jego oczy wypełniły się czernią, zniknęły białka i pozostała tylko otchłań bez dna.

– Jak ci się wydaje, czym ty jesteś?! – ryknął mnich, wypełniając cały ten mikroskopijny malarski świat. Jego głos dudnił echem, rozrywając mi bębunki w uszach, drżał w każdym atomie mojego ciała. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nie mam do czynienia ze zwykłym człowiekiem, lecz z niewyobrażalną siłą. Instynktownie skuliłem się ze strachu i przywarłem do cembrowiny.

Po chwili wszystko wróciło do normy. Pojaśniało, a staruszek znowu miał normalne oczy, moje oczy. Uśmiechnął się łagodnie i mówił dalej, już zwyczajnym głosem:

– Scenę należy wypełnić aktorami. Stworzyliśmy zatem marionetki, które od początku do końca grają według ściśle określonego scenariusza.

– To my, ludzie – wyszeptałem poblady.

Mężczyzna uniósł ironicznie białą brew, tak jak zazwyczaj ja to robię.

– Bystry jesteś – rzekł. – Jesteście czymś w rodzaju awatarów nazywanych przez nas symulakrami. W szczegółach programujemy wasze życia, a potem wcielamy się w was. W tym czasie nie jesteście świadomi, kim naprawdę jesteście. Anamneza ustępuje dopiero po śmierci symulakra. A potem planujemy sobie kolejne wcielenie. I ten cykl trwa od milionów lat.

Cały mój świat walił się niczym domek z kart. Nie mogłem w to uwierzyć. Wszystko, co czułem i myślałem, było iluzją. Przypomniałem sobie rozmowę z Katją o eksperymencie, jaki przeprowadzili naukowcy Federacji Solarnej. Wynikało z niego, że świadomą decyzję poprzedzały dużo wcześniejsze przygotowania

mózgu, jakby został już zaprogramowany. A nasze intencje, wolna wola to złudzenie. Jeśli wierzyć starcowi, eksperyment pokazywał prawdę i jesteśmy niczym innym jak tylko automatami.

– Dlaczego? – spytałem zachrypniętym głosem.

– Na początku robiliśmy to dla wydłużenia sobie życia – odparł mnich. – Jak już wspomniałem, tysiące lat w waszym wszechświecie to zaledwie sekunda w naszym, który od zagłady dzielą dosłownie jej ułamki. Musieliśmy subiektywnie wydłużyć czas swojego istnienia. A potem okazało się, że wcielenia dają nam coś jeszcze. – Uśmiechnął się. – Otrzymaliśmy możliwość doświadczania, przeżywania rozmaitych stanów emocjonalnych i poznawania siebie. Odradzamy się w różnych wcieleniach, w różnych ciałach. Wieczne „ja” przechodzi z jednego życia do drugiego, przy czym każdy żywot jest inny. To bezustanny pochod ku doskonałości. Pogłębiło to nas, stało się czymś w rodzaju religii.

– Reinkarnacja – rzekłem.

Spojrzał na mnie ironicznie.

– Znam ten pogląd filozoficzny – powiedział. – Brałem udział w jego projektowaniu. W reinkarnacji nie można bezpośrednio sterować procesem przechodzenia do następnego bytu, my zaś możemy to robić. O kierunku reinkarnacji decyduje karma, dla nas liczy się tylko pragnienie. Sami wybieramy sobie, co chcemy przeżywać. Jeśli w poprzednim wcieleniu miałem rodzinę, zdrowie, otaczałem się przyjaciółmi, to w następnym jestem samotnikiem pozbawionym miłości i szczęścia. W jednym wcieleniu jestem mordercą i gwałcicielem, w następnym świętym.

Zacząłem się histerycznie śmiać.

– A więc jestem tylko twoją marionetką, lalką, która dynda na sznurkach. I nawet nie jest prowadzona przez kuglarza, bo wszystkie jej ruchy i poczynania zostały zaprogramowane jeszcze

przed występem. Jestem pustą skorupą, ubranie, które przywdziewasz. Moje życie zatem nie ma żadnego sensu.

– Naprawdę sądzisz, że jakiegokolwiek życie ma sens? – Starzec zarechotał. – Och, potrzebujesz celowości, bo inaczej się gubisz. Jesteś jak liść szarpany przez wiatr. Wściekasz się, że nic od ciebie nie zależy, że nie masz poczucia sprawstwa. Myślisz, że ja je mam? Mój wszechświat lada chwila przestanie istnieć i nic na to nie mogę poradzić. Mogę zadawać pytania. Dlaczego? Po co? W jakim celu w ogóle powstało życie, skoro ma zostać zdmuchnięte niczym świeca? To wszystko, czego nauczyła się moja rasa, wszystkie jej osiągnięcia i doświadczenia zaraz znikną na zawsze w Wielkim Kolapsie. Wszelka informacja o nas zginie. Nic nie pozostanie. Czy to ma sens?

Milczeliśmy długi czas.

– Czego chciałeś doświadczyć poprzez moje wcielenie? – zapytałem.

– Pytasz mnie, czemu wybrałem taki a nie inny scenariusz? – Mnich chwilę gładził się po brodzie. – Tym razem potrzebowałem dynamiki i życia pełnego przygód. Pragnąłem intryg, wojny, walki o wolność. Również wątku utraconej miłości.

– Laura...

– Tak, to było dobre życie – rzekł zadowolony z siebie starzec. – Jedno z lepszych, jakie przeżyłem.

Słońce nadal wisiało w tym samym miejscu, chociaż dawno już powinno się schować za horyzontem. Przynajmniej w świecie, jaki znałem.

– Gdzie my jesteśmy?

– W segmencie wyrzniętym z twojego wszechświata.

– Iluzja w iluzji.

– Trafne określenie – podsumował starzec i rozejrzał się krytycznie. – To miejsce ma swoje wady i jeszcze nie jest dokończony przez naszych projektantów. Ale tylko tutaj możemy swobodnie rozmawiać.

– Nie sądzisz, że to schizofreniczne?

– Schizofreniczne?

– Tak naprawdę rozmawiasz ze sobą. Przecież jestem tylko twoją manifestacją w sztucznie wygenerowanym wszechświecie.

– Niezupełnie – powiedział starzec. – Wydarzyło się coś niezwykle. Coś, co ma związek z tym, że czas naszego wszechświata właśnie dobiega końca. Pod wpływem ogromnej grawitacji nastąpiło już scalanie atomów. Za chwilę rozpadną się na elektrony, protony i neutrony, a te dwa ostatnie na kwarki. Wszechświat zapadnie się do stanu osobliwości, a wtedy nie będzie już istnieć nawet najmniejsza informacja. To będzie ostateczny kres. – Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. – Obecnie wszyscy żyjemy w alternatywnych światach, tworzymy jeden w drugim, wydłużając subiektywny czas naszego istnienia, ale z braku przestrzeni na magazynowanie informacji wszystko się rozlatuje.

Wreszcie mnie oświeciło.

– Chodzi o symulakry?

Na potwierdzenie moich słów starzec skinął głową. Roześmiałem się. Nie wiem dlaczego, ale cała ta sytuacja wydała mi się strasznie zabawna.

– Wasze skóry, awatary, w które się wcielaliście, przestały funkcjonować, prawda?

– To nie do końca tak – odparł mnich. Zamyślił się, jakby się zastanawiał nad takim doбором słów, żebym zrozumiał. – Wcielamy się w ciała symulakr od ich narodzin do śmierci. Żyjemy, przeżywamy, nie mając prawdziwej wiedzy o nas samych. Gdy

symulakry umrą, nasze jaźnie odłączają się od ciał i odzyskujemy pamięć. Wtedy symulakry są tylko zużytą powłoką. A my wcielamy się w inne.

Zmarszczyłem brwi. Nie podobało mi się to porównanie. Ale starzec miał rację. Dla nich byliśmy jedynie czymś w rodzaju opakowania, które, gdy jest już nieprzydatne, można wyrzucić, sumą informacji zakodowaną w stworzonej symulacji.

– Nastąpiło jednak coś, czego się nie spodziewaliśmy – starzec mówił dalej. – Opuszczone symulakry powinny pozostać nieaktywne, na zawsze wyłączone. Tymczasem one zaczynają ożywać.

– Mówisz o tym, co się wydarzyło w gromadzie kulistej 47 Tucanae?

– Tak – potwierdził. – Na początku myśleliśmy, że to jakiś błąd w algorytmie sztucznej rzeczywistości, ale badania wykazały, że symulakry mają częściową świadomość.

– Stworzyliście życie.

– Też tak nam się wydawało – rzekł mnich. – W sztucznym świecie zasialiśmy logiczne nasiona życia. Przecież cały czas poszerzaliśmy jego bazę informacji i dzięki temu stworzone przez nas byty ewoluowały. A następnie zaczęły z nami walczyć.

Nagle mnie oświeciło. Do tej chwili nie mogłem pojąć, dlaczego w 47 Tucanae martwi zabijali żywych. Chodzące trupy atakowały nas z olbrzymią agresją i determinacją.

– Teraz rozumiem – powiedziałem. – Oni chcieli was wyeliminować. Wyrzucić wasze jaźnie, żeby pozostali byli wolni. Pragnęli nas wyzwolić. – Ponownie się roześmiałem. To zakrawało na jakiś żart lub dobrą groteskę.

Starzec wpatrywał się we mnie w milczeniu. Odezwał się dopiero, gdy się uspokoilem.



– Nasi projektanci twierdzą, że ma to związek ze zbliżającym się Wielkim Kresem. Miejsce na przechowywanie informacji skurczyło się do minimum i stąd w sztucznym wszechświecie pojawiają się dziury. Takimi punktami są błękitne marudery. Gwiazdy te pojawiły się samoczynnie, nikt z nas ich nie tworzył. Sączy się przez nie dziwna moc, której nie potrafimy ujarzmić.

– To już wasz problem. – Wzruszyłem ramionami. – A teraz powiedz mi, po co tu jestem.

Mnich oparł dłoń na cembrowinie i delikatnie zaczął gładzić wystające kamienie.

– W chwili śmierci zdołałem sprowadzić cię do tego segmentu. Masz już własną świadomość, ale wciąż jeszcze jesteś mną. To zbyt skomplikowane, żeby wytłumaczyć ci to na twoim poziomie zrozumienia. Najprościej mówiąc, uratowałem twoją jaźń, bo jeszcze cię potrzebuję.

– Do czego?

Mnich spojrzał na mnie, a w jego oczach dostrzegłem strach, który również ja poczułem. Miałem nie tylko oczy starca, ale również jego emocje.

– Nie chcę umierać – rzekł. – To wszystko, czego doświadczyłem, cała moja wiedza, mądrość zdobyta przez miliony wcieleń, teraz ma zniknąć na zawsze? Nie pozostanie po mnie nic. To przerażające...

Patrzyłem na niego z pogardą. Nie znajdowałem w sobie żadnego współczucia.

– Ty też jesteś jak ten liść szarpany przez wiatr. – Uśmiechnąłem się krzywo. – Podobnie jak ja nie masz poczucia sprawstwa. Różnica między nami polega na tym, że ja to zaakceptowałem. A ty, chociaż jesteś na dalece wyższym poziomie rozwoju, boisz się i niczym zgorzkniały starzec kurczowo chwytający się życia,

próbujesz walczyć z tym, co nieuniknione. Zaakceptuj własną bezsilność i z godnością przyjmij to, co ci przeznaczone.

– Nie! – Głos mnicha ponownie zadudnił w całej przestrzeni tego mikroskopijnego świata. – Tak się nie stanie!

– Co zamierzasz?

– Znalazłem pewien sposób. – Uśmiechnął się chytrze. – Nauczyłem się zapętląć przestrzeń i czas w waszym wszechświecie.

Nagle zrozumiałem. Wiedziałem już, co chce zrobić. Chciał zamknąć siebie, nas, w czymś na kształt wstęgi Möbiusa. Jeśli weźmiemy taśmę i skleimy ją końcami, ale odwróciwszy o sto osiemdziesiąt stopni, otrzymamy jednostronną powierzchnię. Przypominać to będzie znak nieskończoności. Gdy przyrównamy ją do rzeczywistości, w jakiej się znaleźliśmy, otrzymamy zamknięty, hermetyczny świat, z którego nie sposób się wydostać. Nie ma początku i końca tej historii. W jakimkolwiek punkcie się znajdziemy, zawsze będziemy w środku wydarzeń.

– To będzie koszmar – wyszeptałem. – Dla nas obu.

– Nie ma nas – stwierdził. – Jestem tylko ja.

Mnich podniósł dłoń i wykonał palcami jakiś znak. Poczułem, jak powietrze wokół gęstnieje. Ze studni wychynęła mgła i zaczęła pochłaniać otaczającą nas rzeczywistość. Najpierw zniknęły góry, potem zachodzące słońce i niebo. Wreszcie osiadła na blankach zamku i basztach.

– Nie rób tego! – krzyknąłem. – To jak jazda w kółko na karuzeli. Naprawdę chcesz wiecznie przeżywać to samo i mieć tego świadomość? Będiesz wiedział, co się wydarzy, i nie będziesz mógł tego zmienić. Nigdy nie wyrwiesz się z tego przekłętą kręgu! A ja wraz z tobą...

– Za późno – rzekł. – Tak postanowiłem.

Z niepokojem spoglądałem na mgłę, która powoli sunęła w naszym kierunku. W całym tym mikroskopijnym świecie pozostały jedynie studnia i kawałek dziedzińca.

Nagle coś sobie przypomniałem.

– Czym są niebieskie błyski w tunelach czasoprzestrzennych?

Starzec zawahał się.

– Nie zaprojektowaliście ich, prawda?

Mgła zatrzymała się.

– Podejrzewam, że to kolejne błędy wynikające z ograniczonego miejsca na informacje – odparł.

– Jak błękitne marudery?

– Tak.

– A nie pomyślałeś, że to mogą być przebłyski z innego wszechświata?

– Bzdura – prychnął starzec. – W naszym pozostały już tylko kwarki.

– Nie powiedziałem, że z waszego.

– Co masz na myśli?

– Twój wszechświat nie musi być prawdziwy – odparłem. – Może i on został sztucznie stworzony, a cała wasza rasa to tylko symulakry dla kogoś potężniejszego. Tak jak my dla was.

Mnich dłuższą chwilę spoglądał na mnie, a potem wybuchnął gromkim śmiechem.

– Doprawdy, spodziewałem się po tobie czegoś więcej niż takie nedorzeczne hipotezy.

– Nedorzeczne? – spytałem. – To, co się wydarzyło w 47 Tucanae, było celowym działaniem, świadomie wykreowanym wydarzeniem. Ktoś troszczył się o to, żebyśmy nie opuścili systemu. Zapanował nad androidami, gdy te chciały odlecieć do Układu

Słonecznego. Błękitne rozbłyski to ich dzieło. Nie mieliście o tym pojęcia...

– Zamilcz!

– Dlaczego? – Skrzywiłem się szyderczo. – Tak trudno ci zaakceptować prawdę? Dopuścić do siebie myśl, że jesteś tylko kukłą, pustym opakowaniem, którego właściciel postanowił się pozbyć?

– Dość tego! – warknął starzec i ponownie uniósł dłoń, kreśląc w powietrzu znaki. A następnie rozplynął się we mgle.

Zostałem sam. Nagle poczułem, jakby coś wdarło się do mojej jaźni. Wiedziałem już, że nie jestem sam.

Pojawił się wir i uniósł mnie nad studnię. Spojrzałem w dół i krzyknąłem przerażony. W dole znajdowała się czarna otchłań bez dna. Opuściła mnie wszelka nadzieja.

Nastała ciemność.

## Epilog

Światło. Otulałem się białym światłem, kąpiąc się w jego blasku. Przyzywało mnie. Podążyłem w jego kierunku, rozplywając się w szczęściu, jakie przenikało każdą cząstkę mojego jestestwa. Wspomnienia odpływały, żeby już nigdy nie powrócić. Powoli zapomniałem, kim byłem i co robiłem. Czekala mnie wieczność w tym pełnym błogostanie, a ja zagłębiałem się weń coraz bardziej.

Nagle coś mną szarpnęło, pociągnęło wstecz. Światło zaczęło się oddalać, wracały emocje i pragnienia. Ogarnęły mnie rozpacz i żal. Jeszcze broniłem się nieporadnie, próbowałem pozostać w stanie niebytu, ale moc, która mnie z niego wyrwała, była zbyt potężna.

Zawładnęło mną przenikliwe zimno i uświadomiłem sobie, że zniknęło przyjemne białe światło, a otacza mnie upiorny błękit. Zacząłem być coraz bardziej świadomy swojego istnienia, poczułem własną fizyczność. To wywołało moją wściekłość. I już wiedziałem, że przerodzi się ona w nienawiść i tlić się będzie całą wieczność.

Otworzyłem oczy i ujrzałem przed sobą pustynię ciągnącą się aż po widoczne w oddali góry. Niebo miało turkusową barwę. Nad horyzontem wisiała błękitna gwiazda. Nieco po prawej ujrzałem statek kosmiczny. Jakiś człowiek w bioskafandrze właśnie z niego wyszedł i zmierzał w moim kierunku.

Oszołomiony nie wiedziałem, kim jestem ani co tu robię. Resztkami dawnej świadomości przypomniałem sobie, że przecież ciało zniszczyłem. Więc jak to możliwe, że wróciłem?

Uniosłem ręce i ujrzałem stalowe ramiona. Chciałem zawyć przerażony, ale krzyk uwiązał mi w gardle, bo moje usta nie istniały. Poczułem procesory, obwody i metaliczne ciało Goliata. Stałem się tym, czego tak bardzo nienawidziłem.

Zaraz jednak zapomniałem o tym, bo zawładnęła mną żądza zabijania. Niszczenia wszystkiego, co żywe. Spojrzałem na człowieka zdążającego w moim kierunku. Na bioskafandrze dostrzegłem etykietę z nazwiskiem. Resztką ludzkiej świadomości udało mi się odczytać napis. BAHMAN.

Niedługo mój głód zostanie zaspokojony.

# Spis treści

OSOBLIWOŚĆ	2
Prolog	5
Rozdział 1	7
Rozdział 2	25
Rozdział 3	42
Rozdział 4	61
Rozdział 5	76
Rozdział 6	91
Rozdział 7	110
Rozdział 8	125
Rozdział 9	141
Rozdział 10	159
Rozdział 11	172
Rozdział 12	189
Rozdział 13	205
Rozdział 14	220
Rozdział 15	239
Rozdział 16	260
Epilog	277
Spis treści	4
Strona redakcyjna	3